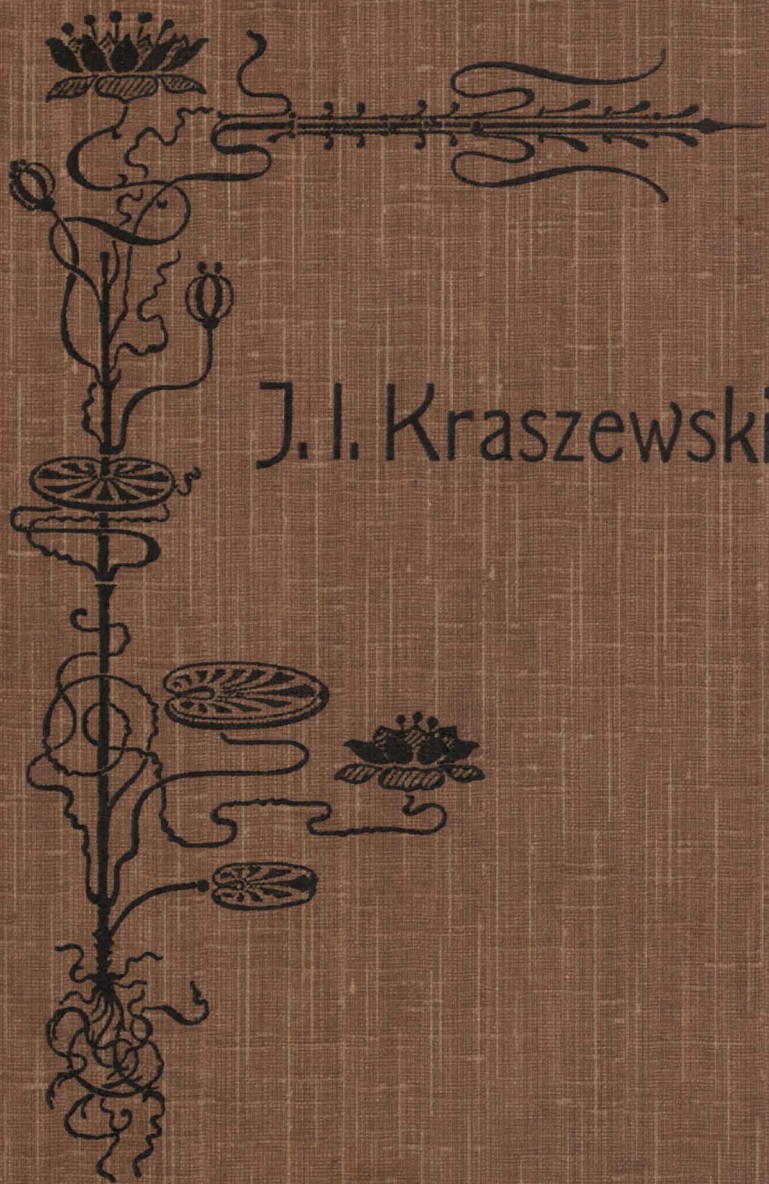




J. I. Kraszewski

JASZKA ORFANEM
ZWANEGO
ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK.

JASZKA ORFANEM

ZWANEGO

ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK.

(Jagiellowie do Zygmunta).

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Kraszewski

Tom III.



WARSZAWA.

Nakładem Michała Glücksberga.

1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Ноября 1897 г.



Mu/m/ 297

Gdy po tylu ubiegłych latach myśl moja sięga w dawniejsze czasy młodości, przebiega wypadki i ludzi, na jakich się w życiu natrafiało i ocierało o nich, za prawdę naówczas dopiero człowiek przeżyte a tak szybko upłynione dziesiątki oblicza i czuje, jaką przestrzeń ma po za sobą.

Za żywota mojego zmieniło się niemal wszystko, czy ku lepszemu, czy na gorsze, o tem ja sądu nie śmiem wydawać, tylko to wiem, iż ludzie i sprawy ich odmiennie dziś wyglądają.

Król, a pan nasz, Kaźmirz, miał do zwalczenia i przewyciężenia tak wiele przeciwności, a przetrwał je i pokonał tak szczęśliwie, iż dziwować się potrzeba sile i wytrwałości jego, od trudnych panowania początków, aż do dni ostatnich. Zazdroszczą monarchom szczęścia ich, a nie wiedzą tego, że oni pracy i troski więcej mają od niejednego wyrobnika, odpoczynku zaś nigdy, a wdzięczności dopiero doczekają się po śmierci chyba.

Było za tych czasów moich i złego siła i dobrego tyle, iż nie wiedzieć jak pojąć, że to razem jeden czas i jedna ziemia wydać mogła.

Widzieliśmy obok siebie chodzących i ocierających się takich mężów, jak owi święci i błogosławieni: Kanty, Szymon, Świętosław, Gedroń Michał, a tuż przy nich Pieniążków, Szafranców, warchołów rozbijających po gościńcach, rozumnego Ostroroga, Długosza uczonego, przy nieukach a próżniakach pnących się na najwyższe

dostojeństwa; Grzegorza z Sanoka, Rzeszowskiego, obok duchownych imienia i sukni kapłańskiej niegodnych.

Sama dawna obyczajów prostota, jaką my zwłaszcza na Litwie i na Mazowszu zapamiętaliśmy, przy napływie cudzoziemców, a podróżach młodzieży do krajów obcych, przywożące coraz nowe wymysły, stroje, nawyki, po miastach i na dworze szczególnie, zupełnie poszła w niepamięć.

Zniewieścianość się do nas z Włochami i innemi cudzoziemcami dostała, przywiozła jej też nieco królowa z Wiednia, razem z piękną ogładą.

Gdy dawniej włos na głowie u mężczyzny tak rósł i leżał jak Bóg dał, a pod hełm aby nie zawadzał, podcinano go — zaczęto za moich czasów trefić, w pukle układać, na ramiona spuszczać, tak, że zdala często przy sukni długiej, mężczyznę długowłosego za niewiastę wziąć było można. Nie od rzeczy dodać, iż królowa Elżbieta i do tego obyczaju dała pobudkę dzieciom swym, wdzięcznego oblicza Władysławowi a Kaźmirzowi, którzy na podziw obfite i piękne mieli pukle, pielęgnując je, zapuszczając i starannie codzień przykazując układać.

Wnet za niemi poszła dworska młodzież, a za tą inni.

Nierycersko to wyglądało, a starzy mężowie dziwili się temu i naśmiewali, ale młokosy się zabawiali. Z Włoch też przywieziono obyczaj noszenia sukni długich, wyszywanych wstęgami i wszelakiem bramowaniem, pętlicami, haftami, sznurami, guzami, za które drogo przepłacać było potrzeba.

Kupcy krakowscy coraz to nowe tkaniny różne zwożąc, to barwami osobliwemi, to wzorami na nich dzierzganemi, oczy porywające, wielkich za nie pieniędzy żądali i otrzymywali je.

Każdy pragnął przesadzić drugiego i na wielkie uroczystości wystąpić tak, aby innych zaćmić i wzrok obrócić na siebie.

Co dawniej szło na konia i na zbroję, teraz wydawano na jedwabie, złotogłowy, szycia, które potem marnie w skrzyniach się zlegiwały.

Starzy też ludzie zniewieścianość nie tylko ciałom, ale i sercom młodzieży zarzucali, do której strój i suknie prowadziły. Albowiem w człowieku nie jest bez znaczenia, ani to co spożywa, ni to w co się przyodziewa, czem się stroi i w czem się lubuje.

Ta próżność i chęć występowania wiodła za sobą nieustanną pieniędzy potrzebę, za tem szło, że nie przebierano w środkach nabycia ich. Patrzeliśmy tedy na możnych panów, wielkich rodzin potomków, którzy potem na gościńce wyciągali, kupców łupili; na innych frymarki niepoczciwe dla grosza czyniących, na bijących monetę fałszywą, na simonią do urzędów i dostojęństw dobijających się, aby nie kościołowi i królowi, ale sobie samym i chciwym rodzinom służyli.

Łagodniały obyczaje, to prawda, umysły się ogładzały, ale rycerski duch wygasał. Już onych dawnych Zawiszków, rycerzy Łokietkowych i Bolesławowych, dla sławy i imienia dobrego pracujących, coraz mniej było.

Za moich czasów łatwiej się stało o uczonego, wymownego mądrą, niż o prostego a mężnego żołnierza, któryby i słuchać chciał i rozkazywać umiał.

W oczach się to wszystko przeistaczało, i co dawniej mało kto ze świeckich czytać i pisać umiał, a pan każdy kanclerza z sobą woził, aby on to za niego sprawiał, jednej tylko pieczęci sam pilnując, którą miasto podpisu wyciskał, teraz niemal wstyd już było nie znać pisma i niewiasty nawet chciwie się do niego garnęły i kmiecy synowie do kościelnych szkółek chodzić zaczęli.

W samej też uczoneści zaszły wielkie zmiany, bo w niej zaczęto szukać tego, co do życia się zaraz zastósować dało, a co dawniej wszystko po łacinie musiało być, gdy mądrym być chciano, teraz i w kościele i w szkole swój język własny obok łaciny stawiał; glossy dopisywano

polskie, z kazalnicy nie sromając się, odzywano polszczyzną, nad którą pracowali ludzie znaczni, kolegiaci, opowiadając, że mowa ta tak dobrą była, tak obfitą, iż łacinie nie ustępowała.

Zjawiły się naprzód, za Jagiełły jeszcze, tłumaczenia ksiąg świętych, kazania polskie i pieśni pobożne zaczęto przekładać z łaciny, aby to, co się w niej kryło dla niewielu przystępne, uczynić zrozumiałem dla wszystkich.

Więc gdy mowa jest o tem, choć nie w miejscu, opowiem, jak za moich czasów zjawiły się te pierwsze księgi niepisane, a ciśnięte, o których naprzód głucha wieść poszła, a w początkach wydawały się one sprawą czarodziejską, niemal szatańską, i wielu wierzyć w to nie chciało, aby w istocie pismo inaczej jak piórem mogło być wykonane.

Roku już teraz nie pomnę, ale było to wprzód niż Zajner w Krakowie cisnąć próbował pierwszą swą książeczkę, gdy za kanonikiem i kolegiatem ks. Walerzem idąc ulicą ku św. Annie, spotkaliśmy w niej ks. Brzózkę.

Szedł naprzeciw nas z twarzą rozognioną jakąś, a tak przejęty i poruszony czemś, iż ks. Walerz zobaczywszy go zamruczał:

— Zaprawdę dziekan swoim obyczajem do kubka go pewnie zmusił, a głowę słabą ma.

Ks. Brzózka zbliżywszy się i pozdrowiwszy nas, począł prędko i niespokojnie.

— Ks. Stanko z Niemiec tylko co powrócił. Na Boga żywego idźcież do niego, idźcie a ujrzyście cud ów, o którym prawiono — księgę, której ludzka ręka nie pisała, a jest uczynioną tak, że pismo ręki ludzkiej prawie przechodzi!

Na to ks. Walerz odparł:

— Ojciec mój, stare to są bałamuctwa, te lichy deskami odbijane obrazki z podpisami widywaliśmy; mało co one warte, o innych zaś, choć z Niemiec donoszono,

a no Niemcy się radzi chwałą swojemi czarnoksiężnikami, ale zbliżka te cuda widząc, nieosobliwie wyglądają.

Ks. Brzózka odparł, uśmiechając się.

— Idźcież sami, zobaczcie, jako niewierny Tomasz palec włóczę, a potem mi powiecie: nie cudowna to li rzecz jest.

Ręce obie złożywszy podniósł je do góry.

— Niewysłowna łaska Boża! Miarkujecie, taż to najbiedniejszy kościółek, najmniejsza szkołka, ubogi człek słowo Boże będzie mógł za mały grosz kupić, cieszyć się niem, karmić i pomnożyć się chwałą Stworzyciela i Zbawiciela naszego.

— Amen — dokończył ks. Walerz z niedowiarstwem pewnem.

Ks. Brzózka odszedł, a ja za Walerzem ciągnąłem do ks. Stanki.

Przybyliśmy do niego, stał w kolegium mniejszem i tylko co był powrócił z podróży a sakwy rozwiązał.

W izbie zastaliśmy profesorów i bakałarzów zgromadzonych z dziesiątek.

Na pulpicie rozwarta leżała księga w deski oprawna, jak pospolite manuskrypta. Otaczali ją wszyscy. Na twarzach przytomnych malowało się niedowiarstwo, zdziwienie, niemal przestrasz jakis.

Wyszedł naprzeciw ks. Walerzowi do progu gospodarz, witając uprzejmie.

— Powiedziano wam już pewnie, com za skarb osobliwy przywiózł. Chodźcież a podziwiajcie to dzieło wielkie, zdumiewające, a chwalmy Boga, który sprawę tę natchnął.

To mówiąc wskazał na pulpit i rozłożoną na nim księgę.

Przystąpił ks. Walerz z ciekawością, ale z niedowierzaniem.

Na pierwszy rzut oka nie było w księdze tej nic, coby ją od pospolitych rękopismów, ręką biegłych skryp-

torów wykonywanych odróżnić dało. Wielkie litery widocznie nawet były malowane i złożone od pióra i pędzla.

Księga zawierała tak zwany *Catholicon*.

Ks. Walerz przerzucił kart parę, zajrzał i ramionami ruszył i odezwał się.

— Osobliwego nie widzę nic, księga tak pisana jak inne, ale ręką wprawną i jednostajną.

— W tem osobliwość, że ona pisana nie jest — żywo przerwał Stanko — jest składaną i literami pojedynczemi wyciśniętą. Nie na deskach rzezana! nie! Niemiec przebiegły wymyślił rzezać pojedyncze litery, składać je do kupy, namazywać inkaustem i na papierze je wyciskać. Tym sposobem raz złożonej księgi odbija wiele zechce. Wielkie tylko litery zostawia próżne dla dopisania od ręki, aby ludzi oszukiwał i dał to za prawdziwą skrypturę, za którą się drogo płaci.

Słuchali wszyscy zdumieni. Ks. Walerz uważniej księgę rozpatrywać zaczął i głową potrząsał.

Wtem przytomny ks. Dąbrówka się odezwał.

— Deski rzezane nieforemnie widywaliśmy dawniej. Wyciskano niemi karty dla kosterów, obrazy śmierci i świętych, gdzieniegdzie słów potrosze.

— Ale toć wcale inna rzecz — przerwał ks. Stanko — bo tu każda litera stawia się osobno, i dziś ona służy do *Catholiconu*, a jutro może do Biblii lub Lombarda. W tem cały rozum Niemca! Co dawniej rękopism kilkadziesiąt grzywien lichu przekopiewany opłacać przyszło, dziś za kilkanaście dają.

Stali wszyscy jak niemi, a przybyły z podróży Stanko ciągnął dalej.

— Powiadano mi w Frankfurcie, jaka tam gadka chodzi o tym wynalazku. Po ludzku się to stało, nie rozumem a przypadkiem, bo człowiek więcej winien trafunkom pono niż mądrości własnej. Niemiec ów, który deski rzezane z obrazami śmierci odbijał, jedną z nich roztrzaskał cisnąc i poszła w kawałki. Wzięły się niemi

bawić chłopięta... Stał wyraz u góry wielkimi literami: *omen*; połupały go i z *omen*, po kolei składały dla zabawy *nemo*, *omne*, *mone* i t. p. Nadszedł stary ojciec i wpatrzył się w zabawę tę dziecinną. Uderzyła go myśl, aby rzezać litery osobne, naprzód z drzewa, potem próbował je łać cynowe czy ołowiane, i stał się cud ów.

— Zaprawdę cud — odparł ks. Dąbrówka — bo ludzie na to oddawna byli trafić powinni. Na starych glinianych naczyniach literami wybijali garncarze imiona swe, na rzymskich monumentach pojedyncze brązowe litery przytwardzano. Cicero mówi o rozsypanych takich znakach. Szło tylko o to, aby je kto poczerpił i wycisnął.

— I na to tysiąc lat czekać było potrzeba, a od dziecka się dopiero i od przypadku nauczyć — dodał ks. Dąbrówka.

Przeglądali się wszyscy ciekawie.

— Nie do wiary! — szeptałi niektórzy, karta po karcie przepatrując.

— Musimy wierzyć, gdy w rękę mamy dowód, iż to rzecz dokonana — mówił ks. Stanko. — Nie pisany to jest *Catholicon*, ale ciśnięty i odbito ich siła, a jam przywiózł dwa, które porównywając łatwo się przekonać, że kreska w kreskę są do siebie podobne. Sprawa to wielka, potęga nowa, bo co dawniej dla niewielu było dostępne, dziś się po świecie rozejdzie... na chwałę Bożą, na ludzi pożytek duszny. Biblią już taką dają.

Stojący tuż, znany wszystkim kollegiat ks. Musiński, o którym powiadano, że szatana się nie mniej lękał jak samego Boga, a o sprawach ducha ciemności rozprawać lubił i wszędzie owego pazura diabelskiego się domyślał, głową zaczął pokręcać.

— Wy to macie za sprawę Bożą i natchnienie Ducha świętego, a ja — nie wiem. Okaże się to, czy wieczny nieprzyjaciół rodu ludzkiego nie wymyślił tego na zgubę naszą. Biblię powiadacie wyciśniętą, alboż ja

w ręce prostaczków, nieprzygotowanych do zrozumienia, dać można?

I odwrócił się do stojącego tuż ks. Walerza.

— Medyk wam to najlepiej powie, iż zdrowszego na świecie niema nic nad chleb, a chlebem się przecie zabić można. Wygłodzonemu człeku dajcie świeżo upieczonego a gorącego, niech się go obje, a pewnie rozpuknie i zdechnie. Tak i z biblią jest, że słowem Bożem, gdy je głodni zechcą pożerać.

— Hm — przerwał ks. Dąbrówka powoli — *bis sub judice*, czy na pożytek to wyjdzie, gdy ludzie się wszyscy do ksiąg wezmą. Niejednemu one zaszkodzą, niejedną prawdę wyszpeci.

— A szatan z tego skorzysta — dodał ks. Musiński — i ja to mam za chytrą sprawę jego, że Niemca nauczył cisnąć księgi, taniemi ją czyniąc. Jest w tem znamie djabelskie. Każdy, kto za tani grosz księgi dostanie, będzie się już równym sobie uważał, co żywot nauce poświęcił. Prawdy nie tyle na świat przyjdzie, co bałamuctw i obłędów. Nie wszyscy są do nauki przeznaczeni, strzegli jej wybrani, teraz pójdzie ona po niepowołanych za zabawkę i, uchowaj Boże, ku złemu będzie użyta. Djabeł nie śpi.

Milczeli wszyscy, ale ks. Stanko głową trząsał i nie chciał dopuścić, aby szatan miał z tem co wspólnego.

Różne naówczas zdania powstały o tych pierwszych księgach ciśniętych. Jedni utrzymywali, że one nigdy pięknoscią manuskryptom starym nie dorównają, drudzy, że się ten kunszt trudny rozpowszechnić nie może, a ludzie do pisma powrócą.

W kolegiach z pewną nieufnością i niedowierzaniem przyjmowano wynalazek nowy, który jedni bez miary ważnym głosili, drudzy lekceważyli.

Koniec końców w Warszawie bardzo długo się nikt nie ważył założyć drukarni, a ci, co księgi mieć chcieli, cisnąć je kazali za granicą i przywozili tutaj.

Nierychło potem doczekałem się tego, że i u nas ksiąg się namnożyło, a gdy raz je cisnąć zaczęto, potem już sypały się jedne po drugich, choć dlatego rękopismami się w szkołach posługiwano.

Właśnie o tym czasie jakoś zaszły u nas na dworze królewskim zmiany znaczne i zjawił się człowiek, który potem długo, choć cudzoziemcem był i urzędu żadnego nie piastował, na króla, na sprawy publiczne, na królewiczów zwłaszcza młodszych wielki wpływ wywierał.

Byłem podówczas jeszcze pod ks. Długoszem przy królewiczach dorastających, bo najstarszy Władek rok piętnasty poczynął, Kaźmirzowi się liczyło trzynaście, a dwanaście Olbrachcikowi.

Na stolicy arcybiskupiej we Lwowie siedział naówczas mąż sławny, wielce uczony, wysoko ceniony przez ludzi, ale w wielu obudzający obawę, bo był niepomniernie ostrego słowa i sądu surowego, nie wszystko tak widział jak drudzy, z bardzo mnogich rzeczy się wyśmiewał i szydził, gdy drudzy je zakrywali i szcządzili. On nie zważał na nic, co głupotą było zwać głupiem, co łotrowstwem mianował niepoczciwością.

Jakbym już nazwał po imieniu ks. Grzegorza z Sannoka, owego ubogiego sierotkę, który się o własnej sile wszystkiego dobił.

Z łaciny i pięknego stylu, z pisania wierszy, ze znajomości dawnej literatury łacińskiej słynał przed wszystkiemi. Dla niego też ci, co z nim się lubowali w niej, byli najulubiejsi.

Na stolicy lwowskiej siedząc, gdzie akademij, kolegiów, ksiąg, uczonych dysput i ludzi mu brakło, choć miał się czem zajmować około dycezyi swej, mówiono, że się niepomniernie nudził. Onemu co Wirgilim i Plautem rad żył, słuchać codziennie nieokrzesanej rusińskiej mowy, lub kościelnej łaciny, nie w smak było.

Każdy więc uczony, który przybywał do Lwowa, pewien był, że go tam najlepsze przyjęcie i gościna czeka.

Takie też spotkało Włocha, wygnańca z własnego kraju, który pono sprzeniewierzywszy się papieżowi, proskrybowany uchodzić musiał z Włoch i po świecie sobie schronienia i chleba szukać.

Zwano go pospolicie Kallimachem, chociaż rodowe nazwisko inaczej brzmiało, a wistocie się mianował Filipem z Buonaccorsich de Tebaldis, a dodawał sobie przydomek: Experiens.

To pewna, że chociaż pochodził z rodziny patrycyuszowskiej, ale ubożuchny był i całe bogactwo jego nauka, rozum a dowcip stanowiły.

Temi go Pan Bóg wyposażył obficie. Czy je wszystkie na chwałę jego i pożytek duszny obrócił, o tem ja robaczek mizerny sądzić nie mogę.

Opowiadali później mi o nim Włochy królewskiego dworu, o których niżej wspomnę, że się w Toskanii rodził w San-Geminiano, ale familia jego wenecką była. Od młodu okazywał zdolności wielkie i we Florencyi nauki odbywszy, za papieżstwa Piusa II do Rzymu przybył.

Tu się młodzieńcowi powiodło dostać do kolegium zwanego abrewiatorów, którzy papieżkie listy i po świecie rozchodzące się monita układali. Co tam oni zawinili, gdy po Piusie Paweł II nastąpił, trudno dociec, lecz wina być musiała znaczna, gdyż papież ich, ilu było, rozpędził i ono kolegium zamknęto.

Siedemdziesięciu skryptorów, którzy w niem pracowali, pozostali bez kawałka chleba, a ów kawałek, który postradali, smacznym być musiał, gdyż okrutna rozpacz niemi owładnęła tak, że bodaj przeciwko Ojcu św. spiskować zaczęli.

Jeden z nich, niejaki Bartłomiej Platina, ze skargami na Pawła papieża rozpisał listy do wszystkich europejskich monarchów, abrewiatorowie jakby bunt podnieśli, czego papież ścierpieć nie mógł.

Surowo więc się wzięto do nich, uwięziono winniejszych, a Kallimach nasz do Wenecyi uszedł, gdzie miał

powinowatych. Tu widać nie czując się bezpiecznym, bo Paweł się o wydanie sługi zuchwałego dopominał, puścił się na archipelag na barkach weneckich do Cypru, Rodu a potem zwiedził Egipt, Azyę, Grecyę, Macedonię, aż na reszcie do Węgier się dostał i do Polski.

Chociaż wielce uczonemu a podróżami temi w doświadczenie zbogaconemu, nie musiało się powodzić wielce, bo na tej jego mądrości łacińskiej mało kto się znał, niewiele się w niej rozkoszowało.

Zmiarkował snąć zręczny Włoch zaślizawszy, iż król Kaźmirz z papieżem Pawłem o mianowanie biskupów spór wiodł, iż tu mu będzie najbezpieczniej.

Umiął się też sprzedać i zalecić. Powierzchności nadzwyczaj pięknej, ujmującej, w obejściu zręczny, twarzy wyrazistej i życia pełnej, żywego umysłu, wielkiej znajomości ludzi, umiał sobie pozyskać tych, których potrzebował.

Przez niewiasty też, do których wiersze pisał i rad się w nich rozmiłowywał po włosku, czyniąc je bóstwami, do czego one u nas nie były nawykłe, wiele umiał zyskać.

Na Pokuciu naprzód u pięknej szlachcianki czas jakiś przesiedziawszy, a gdy o Grzegorz z Sanoka posłyszał, wprost się udał do niego.

Spragnionemu takiego towarzysza arcybiskupowi, Włoch jakby z nieba spadł. Pokochali się więc wzajem tak bardzo, iż dla Kallimacha w całej Polsce drugiego takiego człowieka nie było, jak ks. Grzegorz z Sanoka, a dla niego Kallimach nad wszystkiego świata uczonych stał wyżej.

Wszystkie ich upodobania się zgadzały, myśli mieli jednakie, sąd jeden i zabawiali się oba z równą miłością, literaturą i poezją łacińską.

Odżył arcybiskup przy nim, ale światła tego pod korcem chować nie chciał. Uważał to za szczęście, iż Kallimach do Polski się dostał, i nie miał pokoju, aż go królowi Kaźmirzowi zalecił.

Długosz miał starszych synów pod sobą. Grzegorz z Sanoka do młodszych Kallimacha rał, a oprócz tego jako doradcę, jako posła do spraw zagranicznych za nieocenione go uważał.

Stawało to na przeszkodzie, iż Włoch po polsku umiał ledwie tyle, ile potrzeba, aby nie umrzeć z głodu. I mówić się nigdy nie nauczył, ale rozumiał potem dobrze co mówiono. Król zaś ani włoskiego, ani łacińskiego języka nie znał.

Nie przyszło jednak łatwo narzucić go panu naszemu, chociaż królowa o nim zasłyszawszy, bardzo sobie życzy. Długosz bowiem wiedział też o nim, a był mu podejrzany z tego, że przeciwko Stolicy Apostolskiej nietylko dawniej występował, ale i teraz rad na Rzym sarkał i co było najczarniejszego o nim rozpowiadał.

Lękał się ks. Długosz, aby nietylko na króla nie wpłynął do większego wyłamania się z pod powagi kościoła, ale i młodych królewiczów w tych zgubnych nie wychował uczuciach i nie wykarcił niemi.

Mówiono jednak tyle o Kallimachu, o niezmiernej uczoności jego, przebiegłości, zręczności, rozumie, obyczajach pięknych, dworskości, iż go w Krakowie wreszcie choć zobaczyć zażądano.

Zjechał tedy Włoch, opatrzony tak przez areybiskupa, aby się mógł korzystnie stawić, co mu łatwo przyszło. Każda suknia na nim leżała wdzięcznie, wszelki strój umiał tak nosić, iż się na nim inaczej niż na pospolicich ludziach wydawał. Czy szedł, siadł czy stanął, umiał to tak uczynić, że oczy ku sobie pociągał. Strój też włoski naówczas po całej Europie za najpiękniejszy był uważany.

Tak samo jak w obejściu się, wymowie, w głosie mistrzem był, a ci co go nie rozumieli, samym dźwiękiem słowa i wyrazem twarzy byli zachwyceni.

Ale tu dodać muszę, że uczony wielce, czego mu nikt zaprzeczyć nie mógł, wcale inaczej nosił mądrość

swą niż poważni mężowie nasi, professorowie i kolegiaci. Można było rzec, że sobie zabawkę czynił z tego co umiał, i że to obracał na chwałę własną więcej, na popis, niż na inny ludzki pożytek.

Głosił też to nieustannie, że takich ludzi jakim on był, monarchowie, panowie możni, złotem obsypywać byli powinni, gdyż przez nich tylko do nieśmiertelności, do wieków potomnych dojść mogli.

Umiał każdym wierszykiem swym tak frymarczyć, każde pismo tak zalecić, tak wynieść, tak się do nagrody przymówić zręcznie, iż mu się i śmiech i dowcip i lada słówko sownie opłacało.

Tak samo i ludzi, których potrzebował obejść, polectać, przypochlebić się im umiał, że jak do sieci szli, nie wiedząc o tem.

Ks. Długoszowi przeciwko temu przychodniowi szeroko się oświadczać nie uchodziło dla tego, iż o popieranie własnej sprawy i zazdrość mógł być posądzonym.

Tymczasem za Kallimachem co było tu Włochów na dworze, stawało, a tych on od pierwszego spotkania i słowa wielkością swą, rozumem, mądrością olśnił. Znajdowali się naówczas w Krakowie i na dworze w różnych obowiązkach Arnulf Teclaldi, Benedykt Brognoli, Caloami di Guccio i kilku innych. Później już przybył historyk Collenuccio z Pezaro.

Ci wszyscy chórem chwałę swojego współziomka pod niebiosa wynosząc, za wielkie to królestwu naszemu szczęście poczytywali, iż szczęśliwe wiatry Kallimacha tu przyniosły.

Wychowanka niegdyś Piusa II, królowa Elżbieta też z wielką ciekawością oczekiwała na niego, spodziewając się, iż temu więcej światowo oglądanemu cudzoziemcowi, wychowanie młodszych synów, Aleksandra, Zygmunta i Fryderyka powierzonym zostanie.

Surowość Długosza, obchodzenie się jego bezwzględne z królewiczami budziły chwałę w królowej, aby

młodzi zahukani, onieśmieleni zbytecznie i nadto po księzowsku nie byli wychodowani.

Wprawdzie nie był łagodnym ani pobłażającym nasz Długosz, wymagał karności wielkiej, lecz srogim nie był i umysłowi królewiczów swobodnie się rozwijać nie przeszkadzał. Świadectwem najlepszem tego było, że gdy Władysław i Kaźmirz, wedle przyrodzonych skłonności nieśmiało pozostali i łagodni, Olbrachcik wcale się uchodzić nie dał i inną poszedł drogą.

Zjawił się tedy w tym właśnie roku na dworze Kaźmirzowym, ów naprzód zalecony i sławą poprzedzony Kallimach, gdy już o wezwanie na tron czeski Władysław najstarszego i umowy o przyjęcie korony tej prawie były zawarte.

Z tego powodu i ks. Długosza nadzór nad królewiczami musiał ustać, gdyż Kaźmirz oświadczył naprzód, iż chce, aby Długosz w pierwszych czasach towarzyszył synowi do Pragi i tam mu był radą i opiekunem wśród ludzi obcych. Władysław też bez miary dobry, łagodny, wszystkim dogodzić usiłujący, potrzebował koniecznie kierownika takiego, tembardziej, że dotąd trzymany w posłuszeństwie i zawisłości, nagle miał pełną wolę otrzymać.

Łacno go źli ludzie gdzieby chcieli przeprowadzić mogli.

Muszę też tu słówko powiedzieć o sobie, i jakem włożone na mnie obowiązki spełniał.

W pierwszych czasach stałem od królewiczów dosyć zdala, towarzysząc im milcząc w przejażdżkach, w grach na podwórcach i w ogrodzie, a czasu słoty w izbach na to przeznaczonych. Niekiedy powtarzałem im zadane pensa i rozwiązywałem w nich trudności.

Oprócz mnie było około nich służby, towarzystwa, pacholał różnych dosyć dla rozrywki i współzawodnictwa przy nauce. Pomagał ks. Długoszowi starszy ochmistrz Stanisław Szydłowiecki, mąż stateczny, dobrego serca,

miękki, ale na wzór Długosza przybierający zawsze surową postać i oblicze, choć nad miarę powolny i dobroduszny był.

Udawał nieubłaganego, ale odchodził i przez szpary patrzył, choć się co inaczej dąta niż polecił.

Starał się o miłość u swoich wychowanków i miał też ją, ale go tak jak ks. Długosza nie obawiali się i nie szanowali. Nastawiał marsa, groził, fukał, ale nigdy nie oskarżył i nie ukarał.

Z pomiędzy młodzieży szlacheckiej, która dodana była królewiczom, wyróżniał się Konarski Jan, niezmiernie pokaźny chłopaczek, który Kaźmirzowi szczególnie przypadł do serca. Byli prawie nierozdzielni, modlili się, śpiewali razem, klęczeli przed obrazami, a gdy jeden odmawiał modlitwy, drugi odpowiadał. Miłość ich dla siebie była tak wielką, że jeden bez drugiego żyć prawie nie mógł, ale że ona pobożności była podniekana, nie miał przeciwko niej nie ks. Długosz, i Konarski był nieodstępny przy Kaźmirzu.

Władysław nie jednego ale wielu miał takich przyjaciół, żadnego jednak nie wyróżniał z między nich i nie przypuszczał do zbytnej poufałości, choć nadzwyczaj miał dobre serce. Nie mniej wszakże czuł się królewiczem i do korony przeznaczonym.

Olbracht się nie przywiązywał do nikogo, ale na przemiany to się do zbytku poufalił, to dumnie stronił od ludzi. Naturę miał więcej w sobie zamkniętą, skrytą i nie lubił, aby go odgadywano.

Bracia się wszyscy kochali między sobą, ale Olbracht mniej ze starszemi żył i zwierzał się im; naturę miał inną wcale, więcej rycerską, dumniejszą, choć gdy się rozweselił i rozpuścił do zbytku z chłopiętami, sobie i im z sobą wiele pozwalał. Ale bieda była, gdy nagle się opamiętał kim był; naówczas ani się kto mógł zbliżyć do niego.

Z nim i Szydłowiecki i Długosz i ja w początkach

miałem najwięcej do czynienia. Spuścić go z oka nie było można, bo naówczas to, co najmocniej mu zakazano, pewnie zbroił. Dorwać się do dzbanka z winem, które tylko z wodą królewiczom dawano, i to bardzo pomieranie, wdrapać się na drzewo, na płot, wpaść do stajen, między gawieź, psiarzy i ciurów i z nimi żarty i swawole poczynać, najmilszym mu było. Stawiano go na pokutę potem, z czego się śmiał, nauczycielowi, gdy nań nie patrzył, przekrzywając się.

Nauka mu przychodziła bardzo łatwo, pamięć miał doskonałą, ale ochoty niewiele. Tylko historie gdy mu kto czytał, słuchał ciekawie i zaraz do siebie je stosując, opowiadał jakim on będzie monarchą.

Długosz, który o tem wiedział, starał się skarcić przedwczesną dumę i powtarzał mu, że niewiadomo, który z nich do jakiej korony dojdzie, bo ich sześcioro było, a królestw tylu do rozdania ciężko znaleźć.

Oglądano się wprawdzie na Czechy i Węgry, o czem wszyscy wiedzieli, lecz bodaj o oboje przychodziło wojsować. Najmłodszy z synów Fryderyk, od kolebki był do stanu duchownego przeznaczonym, lecz i tak pozostawało do wyposażenia pięciu, a licząc, że Litwa i Korona osobno obsadzone być mogły, jak za Jagiełły jeszcze koron dla pniał za mało było w zapasie.

Ale Olbracht nie wątpił ani na chwilę, że królem być musi.

Wszystko to, o czem piszę, działo się przed rokiem 1471, przed przybyciem na dwór Kallimacha i wyborem Władysława królewicza na tron czeski, gdy prawie razem postanowiono Kaźmirza z wojskiem wyprowadzić do Węgier, gdzie obiecywano mu jak Warneńczykowi chętne przyjęcie i gorzej się niż on zawiódł na niem.

Lecz o tem niżej.

Długosza dozór więc miał ustać, a z nim około królewiczów zmienić się wszystko. Włoch przybywał, jak widzimy, w samą porę, jak gdyby na to rachował.

Przez czas pobytu przy młodych panach, co kilka lat dobrych trwało, oni ze mną i ja z niemi się spoufałem. Lubili mnie dosyć, szczególną jednak słabość powziął dla mnie Olbracht i tego byłem najbliżej.

Jak do tego przyszło, nie wiem. Starałem się go oszczędzać, gdy co zbroił, nie stroniłem od rozmowy z nim poufalej, oddawałem małe posługi i pozyskałem zaufanie.

Powiedzieć jednak nie mogę, aby mi się kiedy zupełnie z czego zwierzył. Wyrostkiem jeszcze będąc, taką już zachowywał ostrożność, iż przed nikim całych myśli swych nie odkrywał. Badał drugich, nie wydawał się sam nigdy.

Zresztą wesół, bawić się lubił i braci bojaźliwszych, gdy mógł pociągał za sobą. Udało mu się to z powolnym Władysławem, Kaźmirz mu się opierał.

Gdyśmy przybyli w początku roku do Krakowa, wiedzieli już królewicze, że Władysław miał czeskim królem zostać. Długosz nieustannie mówił mu o obowiązkach monarchy względem kościoła i wiary, gdyż szczególnie w Czechach herezyi pobbazania się lękał.

Wszyscy synowie królewscy w pobożności i praktykach religijnych wychowani byli, ale różnie one do nich przystały. Olbracht najmniej religijnego okazywał ducha. Na swój wiek panięta wszystkie były dojrzałe i starsze umysłem i nauką niż pospolite dzieci w tych latach bywają. Odzywała się w nich mimowoli czasem młodość, jakąś swawolą, śmiechem, porywem, ale w ogóle poważni byli jak starzy ludzie i zważać na siebie musieli.

Króla jeszcze w Krakowie nie było, zmarł podówczas Siemion Olelkowicz, wielkorząda kijowski, królowi na pamiątkę przysławszy konia i łuk swój bojowy.

Potrzeba było w miejsce jego następcę wyznaczyć i Kaźmirz Gastolda z Litwy chciał tam posłać, który się długo opierał, na Ruś sobie nie życząc dla wiary, ale królowi posłusznym w końcu być musiał.

Ilekróć powracaliśmy na Wawel, a zastawali tu królowę Elżbietę, dla matki od dzieci odłączonej, dla młodszej braci i sióstr, dla rodziny całej były to dni wesela takiego, że obcym patrzącym na nie, łązy z oczów tryskały. Ja com nigdy rodziny nie miał i nie doznał tych rozkoszy, niemal z zazdrością się przypatrywałem obrazowi temu, gdy przybywających witano z okrzykami i uściski, gdy bracia i siostry pozdrawiali się, opowiadając sobie wzajemnie, co pod ich niebytność zaszło.

Strzegła tego królowa, aby i przy poufałych rodzinnych zabawach pewna dostojności królewskiej powaga zachowana była, ale młodzież utrzymać trudno. Śmiechem się naówczas rozlegały komnaty.

Gronko królewskich dzieci było liczne, bo i książeczek drugie tyle prawie co chłopców liczyło; a było wszelkiego wieku wyrostków, od Władka poczynając, który piętnaście lat miał, do trzyletniego Fryderyczka, przy którym jeszcze chodziła niańka.

Było komu do stołu zasiąść, gdy sami jedli z królem i królową, a znękany pan mógł się widokiem tego rozkwitającego potomstwa pocieszyć. Wszystkie niemal dzieci odznaczały się pięknnością lica i prawdziwie królewskim jakimś dostojęństwem.

Z młodszych Aleksander już lat jedenaście mający, tak łagodny jak Władysław, powolny, mileczącym był od dzieciństwa i nie okazywał żywości umysłu jak inni. Zygmunt i Fryderyk oba jeszcze dziećmi byli.

Król pod te czasy, jeżeli się niewiele zmienił, to ani poweselał, ani swobodniejszym się okazywał. Trosk miał zawsze wiele, nieprzyjaciół dosyć, trudności w sejmach ciągle o każdy grosz, którego trzeba się było dopraszać.

Tę miał tylko pociechę, że wiele spraw jak z Prusami, w Inflantach i w domu z biskupstwy doprowadził szczęśliwie do skutku.

Pozostawało mu jeszcze do czynienia dość, a mię-

dzy temi co króla otaczali nie tajem było, że wielkie osnawał plany, chcąc pod dynastją Jagiellońską połączyć królestwo polskie z Litwą, Węgry i Czechy. Z taką potęgą potem łatwo się mógł kusić i o odebranie Turkom tych słowiańskich prowincyj, które byli zagarnęli.

Z takimi myślami się nosząc, bolał tylko, że dzieci były zaledwie dorastające, a mężów takich, coby go zrozumieli i pomogli do urzeczywistnienia tego wielkiego dzieła brakło.

Tak samo, jak narzekano na wojnę z zakonem, gdy szło o odzyskanie ziem przez Krzyżaków przywłaszczonych, sarkali teraz nawet Wielkopolanie na to, że król niepomierną ambicyą swoją narazi kraj na wydatki znaczne i daremne ofiary.

Król przecież na to z własnego skarbcza dawał pieniądze na zaciągi, i nie żałował.

Królowa także zamiarom jego pomagała.

Uśmiechać się to mogło w istocie panu naszemu, gdyby tak ogromne królestwa związać mógł z sobą i jak mur żywy przeciwko poganom postawić.

Władka już tu w Krakowie pocichu królem witano, co mu na twarz rumieniec skromności i uciechy wywoływało. Głośno o tem nie mówiono jeszcze, bo wybór nie był dopełniony.

O Kallimachu poprzedzające go wieści nadchodziły, on sam się jeszcze nie zjawił. Mówiono o nim wiele, królowa się zajmowała.

W maju król przybywszy, wysłał zaraz do Pragi dla mającego nastąpić wyboru posłów od siebie.

Nie godziło mi się w takim składzie okoliczności myśleć, ani się starać o siebie, jednakże obawiać się zacząłem, aby mnie nie odprawiono, gdy ks. Długosz z najstarszym odjedzie. Co gorzej zaczynało gwarzyć, że trzy-nastoletniego Kaźmirza król chciał na Węgry wyprawić, choć chłopię się od tego płaczem wymawiało.

Wprawdzie i Szydłowiecki mnie zapewniał, że pod

sobą zatrzyma przy młodszych, i Olbracht ręczył, że nie dozwoli, aby mu mnie wzięto i na swych posługach zachowa, ale sama zmiana wszelka groźną się wydawała.

Polegałem więcej może na Olbrachcie niż na Szydłowieckim, lecz królewicze do ostatniej chwili wyzwolenia nie mieli własnej woli, król wszyskiem rozporządzał, a sprzeciwić mu się nikt nie ważył.

Zadora, który mało co mając do czynienia, znacznie był ociążał, utył i stracił dawną swą żywość i drapieżność, gdy się przed nim nad losem moim użalał, ruszył ramionami tylko.

— Daj pokój, twardo już wrośłeś do dworu, nikt cię wysadzić nie potrafi. Nie ma się troskać o co.

Dodał mi otuchy trochę. Poszliśmy razem rozstuchać się i rozpatrzyć po mieście. Od czasu gdy Luchnę raz ostatni spotkał w Krakowie, ani jej, ani Nawojowej nie tylko nie widział, ale mi się o nich nawet słyszeć nie dało nic. Ile razy przyszło w Krakowie czas jakiś mieszkać, dowiadywałem się pilno; mówiono mi, że niejaki czas tu przebywszy wdowa, odjechała do majątności swych i oddawna się tu nie pokazywała.

Nie wiadano o niej nic.

Idąc ulicą z Zadorą, spotkaliśmy procesyą, której tłum wielki pobożnych towarzyszył. Jakież było podziwienie moje i przestach, gdy zaraz za księdzem ujrzałem idącą, do niepoznania zestarzałą i zmienioną, a dla mnie zawsze jeszcze też samą matkę, której rysy się w pamięci mej wyryły.

Szła w sukni brunatnej, podobnej krojem do tych, jakie nosiły zakonnice św. Franciszka, wytartej i połatanej, z różańcem u pasa, boso, z głową osłoniętą czarnym rąbkiem, świece niosąc w ręku, z oczyma osłupiałemi, wymizerowana, blada, straszna cierpieniem, które się na licu jej malowało.

Wszyscy się na nią oglądali, bo była jedna w tym ubiorze pokutnicy, a sama twarz jej litość obudzała.

Nogi miała zbłocone i pokrwawione; ręce, w których świece i paciorki trzymała, trzęsły się i drżały.

Stanęliśmy zdjawszy czapki, a jam zaniemiał od tego widoku.

Nawojowa szła nie patrząc na nic i na nikogo; nagle, jakby mój na nią rzucony wzrok siłę miał jakąś i jakby go ona poczuła, zwróciła oczy na mnie.

Stanęła chwilę, oblicze się jej zmieniło przestachem, ale wnet się opamiętawszy, spuściła ku ziemi wejście i drżącym krokiem dalej postępowała.

Zadora, któremu była obojętną, wcale jej nie poznał. Nie odzywałem się do niego, dając przejść procesy i nie mogąc ruszyć z miejsca. Stałem jak wkuły.

Obejrawszy się na mnie, Zadora dopiero poznał, że coś się stało ze mną, czego zrozumieć nie mógł.

— Co ci jest? — spytał,

— Nie widziałeś nic?

— Com miał widzieć?

Dopierom mu powiedział o niej, ale wierzyć nie chciał.

— Przewidziało ci się—odparł—u stracha wielkie oczy. Zkądżeby jej od tego szaleństwa przejść było do nabożeństwa. Nie może to być, nie może.

Nie dałem mu pokoju, poszliśmy na zwiady. Zaciągnąłem go do kamienicy pod św. Michała, chcąc od ludzi Tęczyńskich języka dostać.

Zadora ludzi znał wszędzie, dopytał się i tu do dalekiego powinowatego, który na zapytanie o wdowę Nawojową, rzekł:

— A juści tu jest od pół roku, szalona baba. Zgryzotę tylko z nią mają Tęczyńscy, bo niewiedzieć nigdy, co uczyni, do czego się rzuci. Po wielkich szalach, kiedy tak dokazywała, że ją już niemal zamykać chcieli, nagle na wieś zbiegła; na zamku sama jedna osiadła, zaparła drzwi, odgradziła się od ludzi. Napadło ją nabożeństwo, skrucha, pokuta, i oto już kilka miesięcy przy klasztorze

siedzi, wdziła habit, a całe miasto się jej dziwuje. Powiadają, że się biczuje, włosiennicę nosi, posty okrutne zadaje sobie, po nocach krzyżem leży, a co ma, ubogim rozdaje.

Poruszył głową szlacheć i dodał:

— A mnie się zawsze widziało, że u tej niewiasty niespełna rozumu... Bóg wie, jak się to jeszcze skończy, a no zawsze lepsza taka pobożność, niż te uczty, które wyprawiała.

Powróciłem na zamek myśląc i przemyślając nad jej losem.

Jeżeli kiedy serce moje się ku nieszczęśliwej skłaniało, to teraz, gdy miał jawne dowody jakim męczeństwem życie jej było. A w tem życiu ja też tkwiłem jako cierń boleśny i niepozbyty.

Wyrzucałem to sobie, że jej na oczy przyszedł, lecz stało się to mimowoli, bom przewidzieć nie nie mógł. Zadora mnie widząc tak pogwałconym pocieszał jak umiał.

Nazajutrz, gdy według zwyczaju Olbrachtowi poszedł czytać historię rzymską, bo jej rad słuchał i o niej rozповідаł, a łacinę tak rozumiał dobrze, że w tem starszych braci przechodził, wsunęło się pacholę szeptać mi, że ktoś o mnie pilno się dopytuje.

Królewicz mnie natychmiast odprawił. Szedłem za chłopakiem w dziedziniec, gdzie dziada zastał, jakby żebraka z pod kościoła od zakonnic św. Franciszka, który mi powiedział, abym się do klasztoru stawił dla rozmowy z pokutnicą, którą tam zwano imieniem Magdaleny.

Szedłem natychmiast z nim, wiedząc już kto mnie wołał.

Dziad do furty zadzwoniwszy, gdy oznajmił o mnie, do izby pustej przy niej wpuszczony zostałem.

Tu mi czekać kazano, aby się nabożeństwo w chórze skończyło.

Łzy miałem w oczach, gdy szelest sukni i stapanie

usłyszałem... Zbliżyła się do mnie w milczeniu. Byłem tak przejęty litością wielką i miłością nią wzbudzoną, że nie śmiejąc spojrzeć, do stóp się jej rzucił łkając.

Chwilę milczenie trwało; gdy podniosłem oczy, ujrzałem ją, jakby ciężką walkę z sobą przebywającą, z rękami zaciśniętymi, z ustami zakąszonemi, z oczyma straszliwie rozplamionemi.

— Nie kuś mnie — odezwała się głosem złamanym — niegodną jestem żadnej pociechy, żadnej radości na ziemi, ani dziecka uścisku, ani nazwiska matki... Zwołać cię kazałam, bo powinienes i ty być narzędziem pokuty dla mnie. Nie powinnam się sromu mojego wyrzekać, ani go zrywać, ale odkryć przed światem, aby na mnie plwał i deptał mnie jak zasłużyłam.

Porwałem się przestraszony.

— Nie czyście tego — zawołałem — zaklinam was. Nie o mnie mi chodzi, ani nawet o was, gdy srom ten chcecie ofiarować Bogu, lecz o rodzinę i tych, którychbyście pociągnąć musieli z sobą... Uczyńcie ze mną, co się wam podoba, lecz szczerdźcie innych... Nie powinniście, matko moja, gdy mi tego imienia użyć wolno, czynić nic bez porady świętobliwych ludzi, a pewien jestem, że takiej pokuty żaden z nich wymagać i dopuścić nie może.

— Myślisz — przerwała sucho — że w tej pokucie tkwi chęć zemsty?

I zamilkła spuszcżając oczy.

— Bóg jest sprawiedliwy — poczęła po przestanku, z płaczem — powinien ukarać winnego. Jeżeli zasłużyła, niech mnie kaźni, ale i ten... ten... pokutować powinien... I dziecko grzechu nie może być szczęśliwym — dodała.

Siły ją opuściły, zachwiała się i padła na ławę przy ścianie.

Wlepiła we mnie oczy.

— Sługą jesteś na dworze? — spytała — sponiewieranym? bez imienia?

— Nie skarzę się — rzekłem — los mój znoszę i nie żadam zmiany jego.

— Choć inny tobie i mnie się należał — szepnęła. — Ale Bóg chciał, błogosławiona wola jego.

Otarła oczy i zaczęła gorączkowo mówić prędko.

— Nie powinnam była cię widzieć, alem pragnęła raz jeszcze. Mów co ja dla ciebie uczynić mogę? chcę naprawić to, co los popsuł.

— Nic nie żadam — odparłem wzruszony — pozwólcie mi tylko widzieć siebie i zyskać serce wasze... Jestem sierotą.

— Nie! nie! — zawołała — toby było pociechą dla mnie, a ja pokucie życiem oddała. Zakonnica niegodnam być, łaską jest, że mi tę suknię wdziąć pozwolono, ale świata wyrzec się muszę i zapomnieć. Chciałam tę pokutę moją uczynić głośną, jawną, oskarżyć się, okryć wstydem... Ale rodzina, ale wszyscy, co są z nią związani nie dopuszczają tego... zamkną... Możni są... Zadawali mi szaleństwo — rzekła cicho. — Tak... mogliby o nie obwinić.

Załamano ręce, łzy się jej z oczów toczyły. Wśród tego pobożnego pokutniczego usposobienia, czuć było wybuchy ziemskich wspomnień i uczuć, które się z niem pogodzić nie mogły.

W skrusze i pokorze tkwiło jeszcze niezgasłe zemsty uczucie.

Po namyśle wstała z ławy, czoło się jej zmarszczyło.

— Chcę naprawić choć w części niesprawiedliwość losu — rzekła — mam majątności, przekażę je tobie, niech ludzie mówią, co chcą, nie dbam o to... Mam prawo mieniem mojem rozrządzać, ale powinienesz dwór porządzić, służyć się tej wyrzec.

Nie potrzebowałem długiego namysłu, aby sta-

nowczo odrzucić tę ofiarę. Chciałem rękę jej ucałować, wyrwała mi ją.

Nie mogę przyjąć tego — rzekłem. — Jawnemby się stało naówczas, kim jestem, oskarżyłabyś siebie, a z sobą współwinowajcę, rzuciłabyś jego i siebie na łup językom i złości ludzkiej.

— Niech mnie gryzą! — zawołała — ja tego chcę, ja dlatego jawnie pokutuję. Pragnę, aby mnie wytykano, palcami.

— A jabym żyw też musiał chodzić z tem piętnem — odezwałem się — którego z czoła mojego nieby zetrzeć nie mogło. Dziś zowię się sierotą, musiałbym obelżywie wziąć naówczas nazwanie. Chceszże tego dla dziecka swojego?

— Dzieci za rodziców pokutować powinny — zamruczała ponuro. — Stoi to w piśmie... wiele pokoleń... wiele...

Zadumała się nagle.

— Nie czyńcie tego — dodałem pokornie. — Bóg takich ofiar ani żąda, ni przyjmuje wdzięcznie. Matko moja, radźcie się świątobliwych, nie czyńcie bez ich zgody żadnego kroku.

Siadła na ławie, ale oczy już miała z łez oschłe i krwawe od nich tylko.

— Cały ciężar pokuty spada na mnie — zaczęła powoli — nikt podzielić jej ze mną nie chce. Ja jedna muszę do śmierci nosić plamę i ranę niezgojoną... Tak... wypierałam się ja dziecka, teraz dziecko się mnie wypiera... A on!

Nie dokończyła, łzy z wyschłych powiek polały się znowu. Popatrzyła na mnie, ale z gniewem i wyrzutem.

— Idź już — rzekła — idź, rozdarta jest dusza moja, umysł zbłąkany; nie wiem, co czynić; cierpię i umieram, a umrzeć nie mogę, a cierpieć nie umiem... Idź.

Wstała z ławy. Schyliłem się, kraj jej sukni chcąc ucałować, odsunęła się ze wstrętem.

— Zaklinam cię, matko...

— Nie zwij mnie tem imieniem—przerwała dziko.

— Wezwijcie rady świątobliwych mężów, których tylu liczy miasto nasze; oni uspokoją, oni wskażą pokutę i drogę.

— Skarcą mnie i odepchną—przerwała gwałtownie.

I nie patrząc na mnie, wyszła nagle. Zostawszy sam, wywlokłem się przestraszony i zbolący z klasztoru.

Widziałem, że w pomoc kogoś wezwać muszę i na spowiedzi się zwierzyć jednemu z tych zakonników, którzy wpłynąć mogli powagą świątobliwości swojej na niepokojną kobietę. Lękałem się, aby oblakana tą pokutą, która się z zemsty uczuciem łączyła, nie popełniła kroku, mogącego ją na zemstę rodziny wystawić.

Cierpienie przywazywało mnie do niej. Nie chciała mi być matką, ale ja pragnąłem być dla niej dziecięciem przywiązaniem. Jak ja była sierotą, opuszczoną, zostawioną sobie samej. Trafic nie umiała o własnej sile nawet do Boga.

Wybiegłem z klasztoru nie zebrawszy myśli, nie wiedząc dokąd się udać, gdy na myśl Opatrzność mi przywiodła niejedną raz słyszane, sławione ze świątobliwości imię O. Ładysława z Gielniowa.

Widywałem skromnego i pokornego zakonnika u ks. Jana Kantego, który się nim zachwycił, tak jak on wielbił pobożnego mistrza. Oba siebie byli godni.

Jednym tchem pędziłem do klasztoru Bernardynów, u furty niespokojnie błagając aby mnie do niego wpuszczono. Był w kościele na modlitwie przed N. Sakramentem, ale jakby przeczuł, że pomocy jego ktoś potrzebuje, ucałowałszy ziemię, wstał właśnie i miał wyjść, gdy mu do nóg przypadł.

— Ojcie mój — zawołałem — zlituj się nademną, wysłuchaj mnie. Ratuj duszę, którą ty tylko możesz ocalić.

Tuż stał konfesyonał. Ks. Ładysław wszedł do niego, szepcąc modlitwę, pokłakłem ja do spowiedzi

i głosem jęklwym począłem mu opowiadać historię moją i matki.

Przed świętym mężem nie tać nie potrzebowałem. Zakląłem go na imię Boga żywego o śpieszny ratunek.

Pobłażliwie, pochylony ku mnie, słuchał staruszek, a gdy skończył, krzyżyk zakreślił nad zboląłą głową moją.

— Idź w pokoju — rzekł — uczynię to, co mi Bóg natchnie, miłosierdzie jego niewyczerpane.

Z niepokojem w duszy odszedłem na zamek do służby mojej, od której uwolnić się musiałem dnia tego, tak czułem się słabym i pomieszanym.

Dnia następnego zwiększył się niepokój, gdy pobiegłszy do klasztoru, aby się dowiedzieć o Nawojową, otrzymałem odpowiedź, iż dziś jej nie będę mógł widzieć. Czekać musiałem jutra, postanowiwszy sobie chodzić bodaj codzień i natrętnie dobijać, dopóki przypuszczonym nie będę.

Siostra furtyanka wpuściwszy mnie do gościnnej izby, czekać kazała. Nierychło dały się słyszeć powolne wlokące kroki. Ujrzałem matkę wchodzącą powoli, z twarzą łzami zalaną, ale spokojniejszą niż była. Gorączka ta, którą miała wyrytą na obliczu, ustąpiła, a w jej miejscu głęboki smutek oblókł twarz wychudzoną i zwiedła.

Upadłem jej do nóg z miłością wielką, którą poczuć musiała, bo mnie nie odepchnęła.

Siadła na ławie osłabła płacząc ciągle, lecz łzy to były błogosławione, z którymi ból z duszy płynął.

Milczenie długie ja pierwszy przerwałem, dwa dni namysłu uczyniły mnie śmielszym.

— Matko moja — rzekłem — raz jeszcze do ciebie jak dziecię miłości spragnione przychodzę. Sierotą jesteś jak ja, odpokutowałaś długie lata, pozwól mi teraz żyć dla siebie, służyć ci. Królewicze teraz będą ciągle w Krakowie, a przynajmniej przez czas długi. Służba moja przy

nich niecieężka. Zamiast klasztoru, pozwól mi znaleźć ci dom, gdziebyś modlić się jak tu mogła, a ja mógł być z tobą i posługiwać ci, pocieszać... Moja miłość sieroca, która się nie miała gdzie zwrócić, cała dla ciebie się wy-leje i może choć jeden dzień życia ozłoci.

Gdym mówił, słuchała mnie bez gniewu, patrzyła na mnie, łkała i zachodziła się od płaczu.

Nagle pochyliwszy się ku mnie, po raz pierwszy od dni dzieciństwa mojego, pocałowała mnie w głowę i z jękiem boleśnym wyszła.

Dnia tego napróżno czekałem jej powrotu; wróci-łem nazajutrz z lepszą nadzieją. Zuchwała to myśl była, którą rzuciłem, nie rozważywszy nawet, jak trudną była do spełnienia.

Wystawiałem sobie tylko tę rozkosz, jakąbym miał, pielęgnując biedną kobietę, uspokajając ją na duchu, sta-rając się przekonać, że to odrzucone dziecko kochało ją nad wszystko na świecie.

Byłem tak pozbawionym od lat wielu tego, co mogło mnie silnie przywiązywać do kogokolwiekbądź, iż odzyskanie matki rajem mi się wydawało.

Miłość dla Luchny była innego rodzaju i z tem pragnieniem serca macierzyńskiego, nie wspólnego nie miała.

Spokojniejszą znalazłem ją znowu, łzy nawet oschły. Zadumana słuchała mnie, chwytiała każde słowo, wszystko com mówił tak nowem było dla niej, jak dla mnie. Lecz i tego dnia jeszcze nie odpowiedziała na prośbę moją. Sądziłem, że wymagać będzie po mnie, abym służbę króla porzucił dla niej, lecz nie mówiła o tem.

Gorące słowo świątobliwego spowiednika wpłynęło na nią cudownie. Raz jeszcze znowu widziałem ją zmie-nioną, lecz z pociechą najwyższą, bo pokój zstępował na jej duszę, rezygnacya chrześcijańska zastępowała zemsty pragnienie.

Nie znajdując oporu wyraźnego przeciwko mojemu żądaniu, aby w Krakowie zamieszkała i pozwoliła mi słu-żyć sobie, wróciłem znowu do tej myśli.

— Stanie się jak żadasz — rzekła powoli. — Win-nam ci za to wszystko, coś wycierpiał niewinnie, a ze-cheeli świat czernić mnie i obwiniać, zniosę w pokorze. Nie zamknę się w klasztorze, chociaż sukni terecyarki nie zrzucę, ani pokuty nie zaniedbam. Kazano wszystko przebaczyć, aby Bóg nam win naszych nie pamiętał. Ka-zano przebaczyć — dodała — nad tem pracować potrzeba, aby serce własne zwyciężyć.

Gdym dziękował jej, odprowadziła mnie za głowę ująwszy i wyszła łzy ocierając. Drugiego dnia wycho-dzić miałem z zamku, gdy mnie Slizak spotkał we wro-tach. Chociaż się go nie obawiałem teraz, miałem wstręt jakiś do tego człowieka z dawnych czasów i pozbyć się go nie mogłem. Powitałem dosyć zimno.

— Do was szedłem — rzekł biorąc mnie za rękę i spojrzawszy mi w oczy dodał. — nie marszcz się na mnie. Sługą byłem i jestem, nie z tych sług co dla pieniędzy, ale co dla serca służą. Od pieluch ją kocha-łem dzieckiem, dlatego byłem gotów dla niej, choćby truć i zabijać, a gdy każe miłować, dla niej miłuję, tak jakem nienawidził.

Westchnął.

— Cuda się dzieją — mówił dalej widząc, że mu nie myślę przerywać. — Pani moja domu szuka w mie-ście, aby go kupiła... ale bez was teraz nie uczynić nie chce. Nawojowej lada dworku nabyć się nie godzi, mu-si mieć kamienicę, którejby się ani Gastoldowie, ni Te-czyńscy nie wstydzi. Brat jej po Siemionie Olelkowi-czu wielkorządcą w Kijowie. Znalazłem w rynku dom po Rejzerach pod złotym dzwonem, ale dzwon się na tarczę naszą przerobi. Chodź opatrzyć.

Sliziak się uśmiechał, był teraz tak dla mnie serdecznym, tak powolnym, iż ja trochę się rozmarzać zacząłem.

Szliśmy pod złoty dzwon, który ja zdala znałem, ale co się wewnątrz w nim działo nie wiedziałem spełna. Mieszczańskie było domostwo, lecz do zamożnych należało, więc znalazło się gdzie rozgościć szeroko. Sieni ogromne, wschody ciemne, izby sklepienie okazałe, podwórce obszerne, starczyły i dla liczniejszego dworu. Zdało mi się wszystko to dobrem a najlepszem, iż Nawojowa kamienicę nabywała. Wolałbym być wprawdzie dla niej dom osobno stojący z ogrodem, od zgiełku rynkowego i ulicznego oddalony, ale o taki trudno było. Co lepsze murowane domostwa stały w pośrodku miasta, w ogrodach zaś dworki wszystkie drewniane.

Ale Tęczyńscy mieli też trzy domy wpośród mieszczańskich stojące, a nie sarkali na to. Pod złotym domem na dole był kram, ale ten zamknąć i na izbę mieszkalną przerobić łatwo było.

Tak ze Sliziakiem obejrzawszy przyszłe nabycie, rozradowany wielce chciałem z nim iść też zaraz do klasztoru, na co się nie zgodził.

— Przyjdziesz jutro — rzekł — dziś ona musi to przebyć czego nie lubi, sprawy swoje pieniężne i majątkowe pokoić, aby była swobodna. Takiego końca jam się nigdy nie spodziewał, ale Bóg łaskaw, taki najlepszy.

Życie moje tedy, choć na pozór nie miało żadnej doznać zmiany, wistocie zmieniło się tak, jakby po nocy czarnej zeszła jutrzienka. Sliziak powiedział dobrze — stał się wistocie cud, nie miałem dosyć słów i modlitw na podziękowanie Bogu.

Lecz biedna ta niewiasta, którą zwałem matką swoją, tyle razy w życiu różnemi porywana prądami, mieniała się tak dziwnie, czy mogła wytrwać w tem nowem postanowieniu.

Drzałem o to.

Gdym znowu do klasztoru przybył, znalazłem ją, dzięki Bogu, nieodmienioną wcale, uspokojoną, jakby uradowaną z tego co się stało.

— Opowiadał mi Sliziak o dworze nowym — rzekła. — Izby na dole będą dla ciebie, choćbyś w nich nie mieszkał stale, mieć je przecie musisz. Widzisz, że się temu poddaje, byś służby królewiczów nie rzucał, najwięcej mnie to kosztuje, ale dla waszej przyszłości zdać się to może... niech tak będzie.

W czasie tym, gdy dom pod złotym dzwonem uprzątać i oczyszczać miano, Nawojowa pozostała w celi klasztornej. Przybywałem tu codzień po rozkazy, dla widzenia się, spowiadając z całego życia mego.

Była już tak daleko uspokojoną, że nie tylko o dworzestłuchała cierpliwie, gdym rozповідаł, ale sama mnie rozpytywała.

Tylko gdym o królu mówił, odwracała głowę i milczała.

Właśnie pod ten czas przypadły wielkie zmiany na dworze, bo już, już królewicza Władysława mieliśmy postradać, gdyż jakem mówił, do Czech go brano.

Jedni go im żalowali, bo jako najstarszy, mówili, powinien być po ojcu nastąpić, a wielkiej dobroci jego też nie radzi byli postradać; drudzy twierdzili, iż zbyt łagodnymby był dla polaków i lepiej było, że go Czesi brali, gdzie umysłem zgodnym mógł spory i niesnaski koić a ludzi zwaśniionych z sobą przejednać.

Postanowionem było, iżby ks. Długosz mu towarzyszył.

Tymczasem zwierzchni kierunek królewiczami obejmował Szydłowiecki, ja dozór i nagładanie, a na widoku w przyszłości naówczas już stawiano onego sławnego Kallimacha, stręzonego przez Grzegorza z Sanoka.

Tu mi wprzód, niżeli wyjazd królewicza zapiszę, wspomnieć należy, iż panu naszemu właśnie pod ten

czas ubył jeden z najlepszych, najwierniejszych sług jego, ks. Lutek z Brzezia, ten sam, którego młodym jeszcze, okrutny Świdrygiełło, gdy do niego poselstwo od Jagiełły sprawował, za zbyt śmiałe słowo policzkiem znieważył. Mąż był rozumny, jurysta uczony, gorącego temperamentu, pańsko lubiący żyć, więc zawsze grosza żądny, a na dworach i przy księżach przebywający chętnie. Nie mało poselstw, spraw, traktatów przez jego ręce kanclerskie przeszło i w pokoju z Krzyżakami też był czynny.

Umarł, powiedzieć było można, na placu boju, bo wśród sejmu, gdy przeciwko Derśławowi z Rytwian wojewodzie sandomierskiemu gorąco przemawiał; tknęło go powietrze tak, że wnet osłabłszy padł i na rękach wyniesiono go do domu, gdzie wprędce Bogu oddał ducha.

Król go niewymownie żałował, bo tak zaufanego, oddanego a świadomego wszelkich spraw królestwa, drugiego znaleźć niepodobna było.

Słyszałem z ust ks. Długosza gorzko mu to wyrzucającego, że nie ukarał przykładnie Magdaleny Morsztynowej, żony Jerzego kupca i mieszczanina krakowskiego, która niemal jawnie przeszła była na wiarę żydowską i synów z sobą poprowadziła do synagogi. Było to zgorzsenie wielkie, lecz w sprawie ciemnej co było prawdy dojść trudno. Przeczyli jedni, drudzy twierdzili, iż istotnie żydowską wyznawała wiarę.

Nie powoływano jej przed sąd duchowny, ubito milczeniem sprawę, gdy ks. Długosz wołał o to głośno, aby przykład dać i niewiastę odstępna publicznie w rynku spalić na stosie.

I byłby to uczynił z gorliwości niezmierniej, gdyby władzę miał, ale ks. Lutek wołał zgorzsenie pokryć milczeniem, twierdząc, że męczenników złej sprawie dawać nie potrzeba, bo one niemi urastają.

Wielki to był a uroczysty dzień dla króla naszego, który zwycięztwu się równał w boju odniesionemu, gdy posłowie czescy z Pragi przybyli, koronę tego zacnego

królestwa pokrewnego nam mową ofiarując piętnastoletniemu synowi Władysławowi.

Dnia 16 lipca w niedzielę w sali zamkowej, którą właśnie dokończył był malować Jan Wielki, piękny jak anioł królewicz przyjmował starszyzną czeską i w języku polskim przemawiał do niej tak pięknie, iż wymową, głosem, postawą, równie jak całą osobą swą zachwycał słuchających. Widziałem Jana arcybiskupa gnieźnieńskiego, gdy pod koniec przemówienia tego rozplakał się i łzy ocierać musiał. Płakała królowa, poruszonym był sam pan, i później Długoszowi za wychowanie dziękował, jemu przyznając pociechę tę, jaką miał z królewiczów.

Nie ociągano się z wyprawieniem młodego króla do Pragi w orszaku wielkim i bardzo wspaniałym, na który, równie jak na pierwsze potrzeby nowego królestwa, Kaźmirz ze szkatuły swej hojniełożył.

Łatwo mi naówczas było towarzyszyć mu, bo i młody pan sobie tego życzył i ks. Długosz namawiał, alem Krakowa opuszczać nie chciał dla matki i dla tej szczególnej łaski jaką mi młody Olbracht okazywał, któremu ja służyć przyobiecał.

Jak do tego przyszło, iż najmłodszy i najtrudniejszy do poprowadzenia z nich wszystkich Olbracht mnie sobie wybrał za powiernika i mogę powiedzieć przyjaciela, o com się nie starał, wytłómaczyć tego nie umiem.

Broił on często, zakrywałem go jak mogłem i od kar surowszych ochraniałem; miał zawczasie ufność do mnie, nie krył się ze swawolą, pewien, że go nie zdradzę, ale też nie pobłażałem mu, mówiłem nieraz rzeźko prawdę, naganiałem com był powinien i tego mi nie miał za złe.

Jak Kaźmirz królewicz sobie szczególnie wybrał za socyusa Konarskiego i do modlitwy i do wszelkich zabaw i rozmów pobożnych, jak mało co później (o czem opowiem) upodobał sobie Aleksander małego Erazma Ciołka dla śpiewek jego, tak mnie Olbracht sobie przy-

swoich. We wszystkim się mną posługiwał. Musiałem mu w końcu uroczyste słowo dać, że go dla nikogo nie opuszczę, za co mi złote góry przyrzekał.

Ledwie że Władysław w Pradze był, gdy król postanowił młodszego od niego jeszcze, a wcale do wypraw wojennych niesposobnego Kaźmirza, ze dwunastu tysiącami ludzi na Węgry wyprowadzić.

Temu przedsięwzięciu nawet między najposłusznijszymi króla sługami, wielu było przeciwnych. Przewidywano, co się ziściło, że siłą przeważną Kaźmirz znajdzie przeciwko sobie, a na pomoc tych co się z nią obiecywali rachować nie może.

On sam zaś nie tylko ku temu ochoty nie miał, ale się wypraszał u królowej, u króla, matkę po rękach całując i błagając, aby dla niego ludzie krwie nie przelewali, gdyż on żadnej okromniebieskiej nie życzy sobie korony.

Nie pomogło to, gdyż król od dziecka wymagał posłuszeństwa. Trzynastoletni wyrostek był tylko chorągwią, dowódcami zaś istotnymi wyprawy dobrani mężowie znani z wojennego ducha, z mężstwa i energii.

Król ich bez różnicy do jakiego obozu należeli, nawet z pomiędzy przeciwników swych wybrał, a żaden nie odmówił. Dzierżek z Rytwian wojewoda i starosta sandomirski, ten sam, dla którego Lutek z Brzezia życie stracił, Jan z Tarnowa kasztelan wojnicki, Stanisław Wątróbką ze Strzelec, Stanisław Szydłowiecki marszałek dworu i ochmistrz i wielu innych jechało z królewiczem na tę nieszczęsną wyprawę. Mistrz Jan z Latoszyna był dodany jako duchowny i kanclerz. Pomiedzy rycerstwem Spytek z Melsztyna, Jędrzej z Oleśnicy, Jan z Czyżowa prowadzili oddziały. Ale wojsko owe, choć na oko było go dosyć, a pomiędzy nimi pułki przedniejsze świetnie się stawiły, w znaczniejszej części było naprędce zebraną drużyną. Pomiedzy nią i brudnych a odartych Tatarów liczono głów tysiąc, którzy tylko do

łupieży i do podnoszenia wrzasku czasu starcia dobrzy byli.

Prorokowano zawczasu, zwłaszcza starzy co Warneńczyka pamiętali, że Kaźmirzowi się nie powiedzie.

Król zaś jakąś zuchwałą miał wiarę w szczęście swoje, którą wybór Władysława podnosił. Rachował też i na to może, że brat ustaliwszy się na tronie, poprzez Kaźmirza, byle się choć w części kraju mógł utrzymać.

Zamki zdawać obiecywano.

Dodając mężstwa i ochoty synowi, sam król już jesienią, gdy się zaciągi pobierały, odprowadził go do Nowego Sącza. Ale krótkie były nadzieje a prędko przyszło rozczarowanie po tych obietnicach Węgrów, którzy wcale ich spełniać nie myśleli.

Zaledwie wkroczył królewicz do kraju, który miał mu otwierać bramy, gdy się zdrada okazała. Nieprzyjaciel się zjawił, przyjaciel nie było wcale. Niemcy najemni, którzy łupu a nie wojny krwawej się spodziewali, pierwsi opuścili szeregi; niektóre oddziały polskie zgubę swą widząc, poszły za ich przykładem.

Zamknął się w początku królewicz w Nitrze, ale i tu oblężenia się trzeba było spodziewać, musiał więc uchodzić o mroku, zostawując tu ze czterema tysiącami Pawła Jasieńskiego, mężnego i doświadczonego dowódcę.

Po drodze do Hawy napadli Węgrzy, obóz królewiczowski i sześćdziesiąt mu wozów odcieśli i uprowadzili. Podzieliły się zdania w radzie wojennej. Co było przedniejszego rycerstwa, chciało się trzymać i walczyć; Tarnowski, Wątróbką, Szydłowiecki, Melsztyński za srom sobie mieli uchodzić, ale reszta biła w to, że drogie życie królewicza ocalić należało. Zakrzyeczano do odwrotu.

Smutnyż to był ów do Krakowa przyjazd z taką

stratą i upokorzeniem, o które część rycerstwa obwiano. Kaźmirz sam mało w tem stanowił, nie pragnął wojny, lecz byłby w niej wytrwał, gdyby nie doradcy bojaźliwi. Żle czy dobrze się stało, Bóg wie jeden.

Król był tem mocno przybity, lecz nie dawał poznać po sobie.

Kaźmirz przybył cicho, obawiając się gniewu ojca, rachując na matkę, nie śmiejąc się tłumaczyć, sądząc, że będzie strofowany surowo, ale król go przyjął czule, pocieszając, bez narzekania spóźnionych na to, co się dokonało.

Z Węgrami postanowił wejść w układy; trudności wojennej wyprawy, do których sił potrzeba było znacznych, teraz się dopiero czuć dawały. Wziąć ją na barki nie mógł król, i dlatego zachował się obojętnie, odkładając wszystko na przyszłość.

Próba ta z młodym królewiczem była stanowczą dla niego; przekonali się oboje rodzice, iż nie był wcale zrodzony do zdobywania państw. Sława rycerska, królowanie, nie pociągały go bynajmniej. Powracał znudzony, smutny i znękany, a nie odzyskał zwykłego swego humoru i spokoju, aż gdy znowu z Konarskim nie wymodlił się w katedrze, w kaplicy i we własnej izdebce, w której miał klęcznik przybrany zamiast ołtarzyka.

Zdrowie też jego nakazywało go oszczędzać. Biał był i delikatnej cery jak dziewczeczka, aż nadto świeży i żywy rumieniec lice te krasił, oczy były pełne ognia i życia, ale sił miał niewiele, męczył się prędko, oddech naówczas miał przyspieszony i kaszel go męczył po nocach.

Niespokojna matka przypisywała to do przesady posuniętym praktykom religijnym, dla których wstawał po nocach, aby pewne modlitwy odmawiać, czuwał długo, ściśle bardzo posty sobie zadawał i kłę-

zieniem się nużył. Od tego jednak wstrzymać go nie było sposobu, i ulubiony nawet Konarski, przez którego starano się ten zapał ukrócić, nie mógł go ostudzić.

Zdaje się, że król od tej wyprawy niewiele rachował na Kaźmirza, jako prawdopodobnego swego następcę; oczy jego zwracały się na Olbrachta, na Aleksandra, nareszcie na Zygmunta, bo ostatni był nieodwołalnie do stanu duchownego przeznaczony.

Nie tał się z tem ojciec, że się spodziewał go wyposażyć biskupstwem krakowskim i arcybiskupstwem gnieźnieńskim, co razem wzięte, stanowiło dotację książęcą.

Aleksander, który dorastał, tępego był umysłu, milczący, ale, jak oni wszyscy łagodny, szczodry dobry.

Właśnie gdy ks. Długosz w Pradze się jeszcze znajdował, zapowiedziane przybycie Kallimacha do Krakowa nastąpiło. Los czy ludzie tak umiejętnie układali na korzyść jego — nie wiem, lecz pewna, że lepiej się to nie mogło dla niego złożyć.

Królowa była najkorzystniej uprzedzoną, król nauczyciela potrzebował. Sławiono rozum i polityki znajomość we Włochu, a tu właśnie strata Lutka z Brzezia, opróżnione po nim miejsce w radzie nastroczała. Królewiczom dwom, nie licząc już Kaźmirza, potrzebnym był mąż europejskiego wykształcenia. Oczekiwano więc zjawienia się Kallimacha z ciekawością gorącą.

W takich razach najczęściej się trafia, że przesadzone nadzieje zawiedzionemi bywają, tym razem jednak stało się wcale przeciwnie — Włoch przeszedł nadzieje.

Wiedział on, iż od pierwszego wystąpienia, olśnienia, od wrażenia, jakie człowiek uczyni zrazu zależy wiele. Wszystko było ku temu celowi skierowane, aby się podobać.

Mówiono, że Włoch ze swych włóczęg po świecie na Pokucie naprzód do przyjaciółki swej, potem do arcybiskupa Grzegorza przybył bardzo ubogo wyposażony. Przez czas jednak pobytu we Lwowie tak umiał korzystać z łask przyjaciela, tak się okazał godnym tego, aby mógł pańsko i wytwornie wystąpić, iż Grzegorz się postarał o to, by do Krakowa już jako człowiek dostatni, któremu na niczem nie zbywało, przyjechał. Gotowy dwór dlań stanowili oczekujący na niego już Włosi, o których wspominałem.

Lecz przyznać też potrzeba, że Kallimach wistocie zasługiwał na to, aby nigdzie w tłumie nie zginął. Aecz, niepierwszej młodości, ale bardzo pięknej jeszcze twarzy i postawy, układu nader gładkiego, zręczny, bystry, wymowny, umiejący się dla każdego ułożyć i przypodobać miał wszystko czem się czaruje ludzi.

Na zamek idąc z orszakem swoich przyjaciół, między którymi przodował Włoch, sekretarz królewski, wydawał się jakby wielkim panem cudzoziemskim, chcącym cześć oddać królowi. Włożył też szaty wytworne, a tak dobrane do swej twarzy i postawy, iż malarz Wielki, który go przechodzącym widział, powiadał, że było tylko malować.

Miał oblicze cudne a pańskie, coś w nim niepospolitego, a choć się w nim i duma i szyderstwo przebiło, umiał się tak ułożyć, iż nie raził i nie obrażał nikogo.

Wielkiej był mocy nad sobą, jakim to później nauczył się znać, bo ludzi daleko od siebie stojących rychło poznawszy czego byli warci, nigdy ich nie lekceważył, miłość własną każdego szanując, jako najsłabszą człowieka stronę.

Prawda, że potem nieraz na uboczu się bezlitośnie naśmiewał z tych, którym wydawać się mogło, iż ich kochał i cenił wysoko.

Wystąpienie jego na dworze było tak piękne i rozumne, iż od razu za serca wszystkich chwyciło.

Królowej wyraził uwielbienie swe dla pięknych jej, królewskiego oblicza dzieci, przed królem się korzył, sławiąc rozum jego i trudy panowania, o których przez Grzegorza z Sanoka doskonale był uwiadomiony, kładł szczególnie nacisk na wielkie zwycięstwo, odniesione nad Stolicą Apostolską, do którego wiedział pewnie, że sam Kaźmirz wielką wagę przykładał.

Zaraz też tego dnia po łacinie z młodemi, Kaźmierzem i Olbrachtem, zamieniwszy po słów kilka, nad wychowaniem ich szczęśliwem się unosił.

Królowa służyła za tłumacza, gdyż Kaźmirz, pan nasz, po łacinie mało co, a po włosku nie nie umiał; Kallimach zaś po polsku się nie ważył, ledwie się z tym językiem zaczynając oswajać, którego i później się nie nauczył.

Z tego występu pierwszego można było już miarkować, jakie Kallimach zajmie tu miejsce, jeżeli czy to do królewiczów, czy do kancelaryi pańskiej przyjęty zostanie.

Wszystko w nim wielkiego pana znamionowało, choć chudym pachotkiem był. Lecz królowi człowiek taki właśnie dla spraw rzymskich i dla stosunków zagranicznych nieocenionym się wydawał.

Pierwsze dni spożytkował zręcznie Włoch, gdy na dworze bywając, przez królową Kaźmierzowi wmawiał, że zbyt swobody rycerstwa i szlachty koniecznie ukrócić powinien. Czuł król tego potrzebę, a w radzie, co go otaczała, znajdował wstręt i obawę do przedsięwzięcia kroków ku temu. Kallimach więc wydawał mu się i do tego wielce potrzebnym.

Z królewiczów Olbrachcik mój najpierwszy do niego przystał, zyskał też sobie i Aleksandra milczącego, Kaźmirz tylko nie garnał się ku niemu. Wcale inaczej zaraz ks. Długosz z chłopcami sobie postępować zaczął,

więcej w myśli królowej, będąc przeciwnym surowości zb ytniej, przywiązując wagę do ugłady, elegancyi i oby-
czaju.

Długosz karmił rozmówanie się w stroju, trefieniu włosów i wytworności, Kallimach je pochwalał, a na so-
bie dawał przykład, iż się bez tego obejść nie można.

W kilka dni po przybyciu jego nie ulegało już wąt-
pliwości, iż Włoch obejmie wychowanie królewiczów
i zostanie przy dworze.

Jako cudzoziemiec do wysokich dostojęstw nie
mógł być przypuszczonym, lecz po za niemi przy osobie
królewskiej pozostawało wiele do czynienia, po cichu.

Jaki tam układ stanął, o tem nikt nie wiedział, lecz
z pierwszego osiedlenia się Kallimachowego widać było,
do jakiego dążył stanowiska. Dwór osobny służbę, ko-
nie, wszystko zaraz obmyślać począł.

Ja w pierwszych dniach około matki mej i jej prze-
siedlenia się z klasztoru do dworu pod złotym dzwonem
będąc zajętem, zdaleka tylko na to wszystko patrzyłem.

Widziałem jednak, że jak z jednej strony Włoch-
wi się powiedzie pewnie, tak i to, iż mnogich sobie nie-
przyjaciół pozyska.

Tak samo jak ze dworem i królestwem, umiał sobie
postąpić Włoch z panami kollegiatami i akademią. Za-
lecony przez Grzegorza z Sanoka, miał już za sobą wiel-
kiej wagi zdanie jego, ale postarał się o to, aby go gło-
sem uwielbienia powitano, naprzód akademię krakowską
podnosząc i sławiąc z tego, co czasu soborów czyniła
i jak się korzystnie światu poznać dała. Dla panów kol-
legiatów, ich prac, niósł hołd w imieniu obcych, świata
oddalonego, ziemi klasycznej, źródła nauk i oświaty.

Nakoniec olśnił i zaćmił tu wszystkich swą łaciną,
którą tak władał, jak może żaden ze współczesnych, z ła-
twością, wytwornością, z poufałością człowieka, który
się nią karmił od dzieciństwa.

W tej łacinie, przyznać potrzeba, nikt mu tu nie

sprostał, z wyjątkiem może jednego przyjaciela jego
Grzegorza. Stosunki też Kallimacha ze wszystkimi sta-
wnymi mężami w Europie, korespondencye rozliczne
z niemi, wysoko go podnosiły.

Umiał nieustannie to przypominać, że każde słowo
jego odbijało się rozgłośnie i szeroko, że miało potęgę
wielką, przez którą i on sam stawał się mocarzem. Nie
można było temu zaprzeczyć.

Ponieważ tak wielki pan nie mógł być codziennym
dozorcą królewiczów, a był tylko ich nauczycielem, pozos-
tał więc Szydłowiecki ochmistrem i mnie z miejsca nie-
ruszono, a żem po włosku cokolwiek umiał, wypadło tak,
iż zostałem z urzędu tłumaczem Kallimachowym, co mnie
do niego zbliżyło.

Po ks. Długoszu naszym, jak mi się on wydawał,
trudno określić. Bystrzejszy umysłem, uczeńszy w ła-
cińskich rzeczach, nie miał surowości jego, płochym był
i lekkim nad miarę. W religijnych zwłaszcza zasadach
pobłażał drugiemu i sobie do zbytku, nie zdając się tego
wazyć wiele, co ks. Długosz jako nienaruszone i niety-
kalne szanował.

Zaraz w początkach, gdy królewicze mowy, jakie
im w usta kładziono, powinszowania różne i łacińskie
oracye przed nim wypowiadali, które my za wzory języ-
ka uważaliśmy, Kallimach na nie krzywić się począł i ła-
cinę ich niecierpliwie poprawiał, utrzymując, że jej na
wszelkiej elegancyi zbywało.

Jeżeli to naszemu ks. Długosza doszło, zabołec pe-
wnie musiało.

Czas wolny, który mu zbywał, dawny nauczyciel
spędzał na modlitwie lub w kronikach swych zatopiony;
Kallimach zaś życie wesołe, biesiadowanie, rozmowy tak
lubił, że na nich dnie i noce trawić był gotów.

Towarzyszem był najmilszym, chociaż nawet tam,
gdzie najwięcej osób się znajdowało, on wszędzie i za-
wsze królować umiał i tak się składało, że na niego oczy

mieli wszyscy zwrócone. Ale też nikt nadeń dowcipniejszym, uczeńszym, bystrzejszym nie był, a w rozprawach zręczniejszym, i przy nim zawsze zostawało zwycięstwo.

W ciągłej obawie, aby ów szczęśliwy zwrot w życiu Nawojowej nie został czem zwichnięty, nie uspokoiłem się ażem ujrzał ją w nowej kamienicy, z małym dworem swym osiedloną.

Czynnym byłem i pomocnym jej w tem, o ile tylko obowiązki moje na zamku dozwalały.

Przemyslałem nad tem, aby jej pobyt ten uczynić jak najznośniejszym. Ponieważ oddaną była teraz nabożeństwu i na modlitwach większą część czasu spędzała, urządziłem przy sypialni kapliczkę domową, do której od Jana Wielkiego obraz Matki Bożej Bolesnej kupiłem za własny pieniądź, sądząc, że widok jej osłodzi też cierpienie biednej niewiasty.

Sliziak, który świadkiem był, jakim zabiegał i krzątał się około domu, mógł mi oddać świadectwo, chociaż nie chodziło mi o wdzięczność matki, ale o zaspokojenie potrzeby serca własnego.

Doczekałem się iego wreszcie, iż obdarzywszy klasztor sowicie, dnia jednego Nawojowa się do kamienicy przeniósła, gdzie ją wieczorem zastałem modlącą się przed obrazem i spłakaną.

Postanowiłem te godziny wolne jej poświęcać. Sama jedna była, modlitwami się karmiąc, ludzi unikając; sądziłem więc, że pobożne książki przynosząc jej i czytając, przyczynię się jej najlepiej do uspokojenia jej duszy.

Czyniłem com mógł, bo naówczas polskich ksiąg krom kilku nie było, te więc jakie miałem po łacinie, przygotowując się zawczasu i głosy sobie zapisując, tłómaczyć się starałem.

Praca to była częstokroć twarda dla mnie, do której i porady cudzej zażywać musiałem, ale mi się ona stokrć wywdzięczała tem, że matkę moją uczyniła szczę-

śliwszą daleko w boleści jej, że ją oderwała od własnego losu i umysł zaprzatnęła.

Troskliwość, jaką okazywałem dla niej, zmięczyła też długo zamknięte serce. Sliziak opowiadał mi, że gdy na zwykłą nie przychodziłem godzinę, niepokoiła się, płakała, posyłała i lękała, abym jej nie oł uścił.

Była dla mnie tak pobłażającą, że mi o dworze, o osobach jej niemiłych, o wszystkim mówić dozwalała. Czasem na bladą twarz jej rumieniec wystąpił, ale wnet się hamowała.

Nie zmieniwszy stroju tercyarki, chodziła w habitcie św. Franciszka, alem uprosił ją, że stary i zużyty, który przez pokorę wzięła, zmieniała na nowszy i wygodniejszy. Zaczęto ją znać już w mieście pod nazwiskiem Tęczyńskiej pokutnicy.

Nie bardzo podobno miłem okiem na te postanowienia jej patrzyła rodzina, ale były powody, dla których powolną jej być musiała.

Dla mnie wyznaczone izby na dole, choć się mojemu zwały, mało mi ich kiedy zażywał i oglądał. Żądała przecież matka po mnie, abym podczas w nich skromnie przyjmując przyjął; wistocie Zadorę, Maryana i kilku innych spokojniejszych ugościłem tu parę razy, nie dopuszczając wrzawy, która dla Nawojowej nieznośną była.

Na zamku król, który wszystko wiedział, bo mu szczególnie o służbach jego donoszono, musiał już i o mojej przygodzie być zawiadomionym, ale mi o niej nie wspominał ni słowa.

Po przybyciu Kallimacha, gdy mnie za tłumacza powoływano do króla, a z łatwością mi przychodziło z tego się wywiązać, Kaźmirz się uśmiechał i klepał mnie po ramieniu!

Powiedział raz zwięźle, jak był zwykł.

— Rad jestem z ciebie.

Drugiego dnia, gdym po odejściu Włocha przyzostał, spytał nagle.

— Cóż, jak ci ten po ks, Janie smakuje?

Nie wiem zkad mi się wzięła ta śmiałość, zem mu odpowiedział.

— Najmiłościwszy panie, po gorzkim lekarstwie miodowi rade usta, ale gorycz zdrowiu pożyteczna.

— Tak—rozśmiał się król — ino i o tem wiedzieć trzeba, że i miodem doktorzy leczą.

Skłaniał się król coraz więcej ku Włochowi, bo w myśl jego mówił i sądził o wszystkich królestwa sprawach, a o wzmocnienie władzy pańskiej mocno nastawał.

Rozgłosiło się to. Kółko przyjaciół królewskich, ludzi jak Ostroróg i inni urzędnicy przy boku pańskim stojący, którzy wiedzieli co ucierpiał przez spiski przeciwko sobie, potakiwali Kallimachowi, ale byli i tacy, co wieści o tem roznosząc możnych i duchowieństwo nowym nabawiali strachem.

Cała już tu zręczność Włocha poradzić na to nie mogła, aby królowi dogadzając, miłość sobie u rycerstwa i możnych pozyskać.

Z nieufnością a groźnie poczęto spoglądać na niego zewsząd, tak że musiał powoli zamknąć się w ciasnem kółku Włochów swych, nie wielu kollegiatów uczonych i dworzan królewskich.

Niema wątpliwości, iż gdyby był chciał, z taką przedziwną umiętnością władania ludźmi i ujmowania ich sobie, byłby łatwo przyjaciół zjednał wszędzie, lecz musiał wybierać. Stał więc przeciwko panom z królem.

Przez Sliziaka i innych wiedzieliśmy, co się działo w tym obozie, który królowi niedowierzał i posądział go o jakiś zamach na przywileje rycerstwa. Tam przybyłego Włocha uważano, jako najniebezpieczniejszego doradcę nie tylko przy królu, ale wychowaniem królewiczów mogącego wpłynąć na przyszłość.

Tego się lękano, a nie bez przyczyny.

Włoch wistocie karmił młode panięta opowiadania mi ze swej historyi włoskiej, jak tam republiki umieli

stojący na ich czele obrócić na państwa sobie podległe, jak głowy możnym ścinali, więzili ich, z niezgód korzystali i władzę swą powiększali.

Ciekawy tych historyi Olbracht, który się im przysłuchiwać lubił, szczególnie przyklaskiwał, radował się, cieszył, gdy mu Kallimach opowiadał.

Wyrywało mu się często, iż ojciec powinien był tak u siebie w domu gospodarzyć, i że gdyby on miał władzę w ręku, poskromić by potrafił krnąbrnych a opornych.

Nigdy podobnych nauk królewicze nie słyszeli z ust ks, Długosza, który na to nastawał, że prawa krajowe poprzysiężone panujący szanować był powinien i im się poddać, bo one również poddanych jak królów obowiązuja.

Z ust Kallimacha słyszeli szyderstwa z tych, co nie korzystali ze zręczności a śmieszną sumiennością dali się skrepować.

Na młodego Kaźmirza nie mógł mieć Włoch wpływu żadnego i rychło to zmiarkowawszy, próżno się nad tem nie trudził. Narażać mu się nie chcąc, pobożność jego pochwalał, opowiadał mu o świętościach, relikwiach i kościołach Rzymu. Zresztą zostawiał go samemu sobie.

Przedemną raz w pierwszych latach zaraz zwierzył się, iż Kaźmirzowi pobożnemu, jak go nazywał, długiego życia nie rokuje.

Nastraszyłem się wielce tego proroctwa, gdyż chcieliśmy go wszyscy, a nie było człowieka, któryby go już naówczas jak błogosławionego nie czcił mimo lat młodych. Pobiegłem naówczas do mojego starego znajomego Gaskiewicza spytać go o zdanie, a jeśli było niebezpieczeństwo, czemu nie starali się o odwrócenie go.

Doktór zaprzeczył chorobie.

— Wyrośnie z tego — rzekł — co Włoch plecie? Zdrow, rumiany, tylko tyle, że się z Konarskim tem nabożeństwem zamęczają. Tegoby im nie trzeba do-

puszczać. Po nocach na zimnie kłęczą pieśni śpiewając, poszcząc bez miary.

Chodziłem z tem do królowej, ale ona w dziecku tej świątobliwości nie chciała powstrzymać, rada jej była i dumna nią.

Z Olbrachta mojego za to Kallimach był rad wielce i po nim sobie obiecywał wszystko, gdy na tron wstąpi. Rachował bowiem na to, że go czeka korona.

W tym to czasie, gdy Aleksander też już dorastał, zawiązała się owa wielka miłość między nim a Erazmem Ciołkiem, szewczukiem, o którym mówiłem już, a stało się to wypadkiem.

Z Kallimachem na dwór jakby inny wiatr powiał, dawna surowość i wstręt do wszelkich płochych rozrywek zamienił się w poszukiwanie ich, dla zabawienia młodzieży. Włoch bowiem utrzymywał, że wesołość zdrową jest i potrzebną.

Muzyka zdaniem Włocha, miękczyła dzikie umysły, obyczaje czyniła gładszemi, młodych rozwijała. Dla młodszych więc, przyczem i starsi się zabawiali, u królowej często zwoływano śpiewaków i cytarzystów.

Jednego wieczora ktoś o cudownem chłopięciu Ciołku rozpowiadać zaczął, tak, iż wszyscy go ciekawemi byli. Królowa go sprowadzić kazała.

Cześć to była wielka dla starego Ciołka, który się jej nigdy dla siebie i syna spodziewać nie mógł.

Obawiano się, aby Erazmek ze strachu przed królową dworem nie tak się popisał jak zwykle, lecz obawa była próżna, gdyż zarozumiałe i do zbytku śmiałe chłopię, które wystrojono w co było najlepszego, wcale się nikogo nie lękało.

Przyprowadzony przed królowę, gdy mu śpiewać kazano, tak sobie poczynął jakby w szynku u matki stał przed zwykłymi gośćmi. Śmiałość ta i nieustraszonność wyrostka niezmiernie się podobała, a głos też miał nad-

zwyczaj piękny i pieśni takie nucił, które w jego ustach dziwnie brzmiały, bo się z wiekiem nie godziły.

Rozumkiem też, odpowiedziami, obejściem się całłem, królowę, dwór, a szczególnie młodego Aleksandra zachwycił. Królewicz chodził za nim ciągle, przypatrywał mu się, uśmiechał do niego, a gdy potem Ciołka nie stało, wciąż się o niego upominał.

Szydłowiecki nie widział w tem nic złego, choć chłopię było mieszczańskie, dopuszczać je dla zabawy do królewiczów. Kallimach się temu nie sprzeciwił.

Takim sposobem przywykł nasz milczący Aleksander do rozmównego i żywego Ciołka. Sądzone, że chłopię trochę opieszale umysł królewicza rozbudzi; Aleksander jednak pozostał jak był, a Ciołek tylko przy nim, chlubiąc się tem, że go na Wawel potrzebowano, urósł w pychę i nadzieję wielkich losów. Ale chłopak był wistocie do nich stworzony, choć z gminu wyszedł, i zdolności miał tak wielkie, iż już naówczas z rozmów chwycił więcej i przyswajał sobie, niż się drudzy z ksiąg uczą.

Kallimach też zdolności widząc nadzwyczajne, nalegał na to, aby dać wychowanie chłopcu lepsze i mieć z niego niepospolitego sługę.

Z łaski królewicza Aleksandra zaczął i król o losie Ciołka myśleć i kazał mu naznaczyć żołąd do szkół.

Nie straciłem ja łaski u mojego Olbrachta, lecz teraz przy Kallimachu nie byłem już dla niego tem co wprzód. We mnie zawsze Długoszowy duch nieśmielszy mieszkał, gdy Włoch szersze roztwierał pola umysłowi młodemu.

Nie zbywało Olbrachtowi na dowcipie i łatwości pojęcia, ale krew w nim zawczasu bardzo grać zaczęła i od nauki go odrywała.

Lubił słuchać, żywym słowem się karmić, ale szukać w księgach, grzebać w nich — niecierpliwiło go. Z rozmów z Kallimachem wkrótce takiej nabrał wprawę

w języku łacińskim i tak wytwornie się nim a łatwo posługiwał, iż w podziwienie wprawiał wszystkich.

Innemi też językami mówił dobrze, ale z łaciny był dumnym. Nikt z królewiczów tak jej nie posiadał jak on, co też Kallimacha do niego przywiązywało. Prorokował mu świetne losy.

Gdy się to działo, a Włoch coraz mocniej na dworze się gnieździł, tak, że już bez niego się tu obejść nie umiano, tak się stał potrzebnym, szczególniej królowi; w tym samym stosunku nienawiść do niego rosła.

Zadawano mu, jak wyżej się mówiło, to że królowi rady zgubne dla rycerstwa dawał, a przytem i życie jego budującym nie było. Mniejsza z tem, że miłosne wiersze składał na wzór Horacego i Owidyusza, w których się lubowano, że pisywał i takie co rumieniec na lica wywoływały, ale też niewieściego ladajakiego towarzystwa nie unikał, a w Krakowie się to utaić nie mogło. Nauczycielowi dzieci królewskich nie bardzo to przystawało, ale Włochowi pobyłano. W domu jego po nocach ucztoowano czasem nadto hałaśliwie swobodnie. Tłómaczyło się to obyczajem niby obcym, a nawet u wielu uchodziło za większą ogładę, którą miano za coś wyższego od polskiej surowości zbytniej i surowości namiętnej.

Sprzeczało się to wielce wistocie stojąc obok światłości ówczesnych takich mężów, jak ks. Jan Kanty, Władysław z Gielniowa, Świętosław, Kazimierczyk, Gedroń i tylu innych; nie wiedzieć jak było pogodzić tu rozpasanie, tam okrucieństwo względem siebie, ale też wkrótce tych świętych i błogosławionych nie stało.

I nie wrócili podobni im za moich czasów na tę ziemię, a Bóg wie jeden, czy kiedy ich ona zobaczy.

Kallimachowe obyczaje nie były w początkach tak jawne, aby zgorszenie czyniły. Zamykali się Włosi w swej gromadce z niemi.

W obcowaniu jednak w rozmowach, w każdej chwili nam nienawykłym dawało się czuć, że to byli ludzie

zupełnie innego rodzaju i narodu, innych nawyknień, choć jednej wiary z nami.

W tych rzeczach religijnych oni a my różnie nawet z Bogiem obcowaliśmy, inaczej się modlili. Myśmy z pokorą i poszanowaniem, ze trwogą szli do kościoła, Włosi wesoło, poufale i wcale ducha nie nastrajając do nabożeństwa. Wśród niego przerwać sobie śmieszką, mruganiem, roztargnieniem było im pospolitem.

Kallimach zaś sam, chociaż od kościoła nie stronił, ale jakby z obowiązku tylko i z musu do niego uczęszczał, a serca do modlitwy nie nakłaniał.

We wszystkim tak wyższość swoją i pewne lekceważenie rad był okazywać, sądząc może, iż tem w mniemaniu ludzkim wyżej stanie.

Wysoko szacując rozum jego i przymioty, nie mogę powiedzieć, abym go miłował, przeto niesprawiedliwym może jestem względem niego.

Sarkano wielu jak ja przeciwko Włochowi, ale większość olśniewał i zachwycił. Mówiłem już, czem królowi i królowej w łaski się wkupił; ale śmiało jego plany pozostały między czterema ścianami zabawką w rozmowach, a do wykonania ich nigdy nie przyszło.

Chwili pogodnej oczekiwano, a ta się nie nastęczyła.

Część ta żywota mojego jednostajniej i spokojniej upływała. Nieznacznie, i choć o zmianie żadnej w obowiązkach moich mowy nie było, przeszedłem ze służby przy młodych paniętach do Jana Olbrachta. Ten mnie sobie wyprosił do osoby swej, o czem król wiedział, i odtąd wolniejszym byłem, a czasu nauki, gdy go Kallimach brał, mogłem do matki na miasto zejść i czuwać nad nią.

Nie śmiałem wspomnieć jej nigdy o Luchnie, ale miałem jakąś nadzieję, że gdy wprzód ją przy sobie miała, a teraz też dworu i służby żeńskiej potrzebowała, zażąda mieć ją przy sobie. Mówić o tem, aby nie ściągnąć podejrzenia na nas oboje, nie mogłem. Sliziaka zaś

choć teraz żyliśmy z nim w zgodzie, użyć wstret miałem jakiś.

Zdałem to na opatrność Bożą, na którą od niejako czasu nawykłem był wszystko składać. Stań się wola Twoja powtarzając.

Nauczył mnie tego drogi mistrz ks. Jan Kanty, że własna wola najczęściej na błędne drogi prowadzi. Chciałem patrząc na niego nabrać tego spokoju ducha i pogody a równości umysłu w dobrej i złej doli, jaką on miał. Lecz któż takiemu wzorowi mógłby dorównać?

O wszystkim co się mnie tyczyło, król chociaż tego po sobie nie dawał może poznać, zdawał się być uwiadomionym, nawet o mojem ucześnieści do Nawojowej i stosunku jej ze mną,

Gdy Kallimach się już na dobre rozgościł w Krakowie, objął wychowanie chłopiąt i niemal codziennie powoływany był do króla, u którego godzinami przesiadywał, gdy się rada zbierała, rozeszło się to rychło po ludziach i starzy panowie Kaźmirzowi niechętni powiadać zaczęli z przekąsem, że wziął nauczyciela nie do dzieci a dla siebie.

Kto rozmowy potajemne i rady Włocha zdradzał i wynosił z zamku, tego dociec było trudno; to jednak pewna, że prawiono o nich wiele, szeroko i zdaje się nie z palca wyssawszy.

Kallimach jak w religijnych rzeczach tak i świeckich sprawach był jednym. Z Panem Bogiem za pan brat, a z tem co u nas jako prawo się szanowało i uważało za nietykalne, on radził siłą się rozprawić.

Sam słyszałem gdy w domu, w towarzystwie Włochów swych powtarzał:

— W tem królestwie, tak jak ono jest dziś z przywilejami możnych, rycerstwa i duchowieństwa, rządzić i nie począć nie można. Machina to nie potem, przerobić ją musi król, chcieli aby czegoś dokonał. O każdy mizerny grosz prosić musi i zwoływać zjazdy, na nich

słuchać jak mu pod nos burczą, grosz wymawiają i skąpią, częstokroć grożą i łają. Raz temu koniec położyć musi, co hardszym kilka głów uciawszy!

Gdy takie słowa powtarzano po świecie, łącznie zmiarkować, jakie one oburzenie wywołały w tych ludziach, których ojcowie na szablach pargamin przed Jagiełłą rozniesli, gdy im obiecanych praw nie chciał potwierdzić.

Z króla cała niechęć przeszła na Włocha. Zaczęto się na niego odgrażać głośno, ale i to muszę mu przyznać, że odważny był. Śmiał się z pogroźek. Znał przytem naród nasz pochopny, a do czynu nieskory, chyba gdy z wielkiej gorącości język szablę poruszył.

Kallimachem teraz posługiwano się do wszystkiego niemal. Pominawszy to, że królewiczów wychowanie na barkach miał i niem rozporządzał, jako chciał, w kancelaryi pańskiej wszystkie sprawy rzymskie i zagraniczne związki z monarchami obcemi przez jego szły ręce.

Poprawiał łaćinę w listach, ale i treść dyktował, królowi wmawiając, że potężnym jest, być powinien i żadnemu z monarchów nie ustępuje, więc też i dać im to czuć powinien. Według niego, większej tylko władzy w domu brakło królowi, aby ją i poza granicami dał poznać.

Król słuchał tego chętnie, ale nie było zrzeczności aby z gadaniny coś się narodzić mogło.

Włochowi życie płynęło tak szczęśliwie, że istotnie Polskę mógł nazwać drugą ojczyzną swoją. Wcale też nie myślał ją opuszczać, ani na inną zamieniać.

Następnego roku, kiedy już go tu zupełnie ustalonym widzieli wszyscy, usłyszałem pierwszy raz z ust Włocha imię tej pani, u której na Pokuciu przebywał, i uderzyło mnie to, że ją zwał Świętochną, właśnie tak, jak się owa Luchny pokrewna nazywała.

Opiewał on ją pod imieniem Fanii w pieśniach

swoich, bo mu pierwsza gościnność wyświadczyła, gdy się z Węgier tu ubożuchnym dostał, i pokochała go.

Teraz jednak po upływie lat kilku, śmiejąc się powiadał, że choć wdzięczność dla niej zachował, innego uczucia trudnoby mu już z piersi dobyć i zmarłą dla niej miłość odżywić.

Ze zwykłą sobie dosyć bezwzględna otwartością pawił o tem przed przyjaciółmi, nie zważając na przytomność moją.

— Zważcie moi mili—dodał—w jakim położeniu będę, gdy owa Świętochna, jak zapowiada, gotuje się przybyć dla nawiedzenia mnie w Krakowie. *Tempora mutantur!* Niewiasta postarzała... jam ostygł, lecz słuszną, abym za gościnność się wypłacił... i dziś, do portu dopłynawszy, zawdzięczył przytułek rozbitkowi dany.

Jeszcze nie przypuszczał, aby te dwie Świętochny jedną być miały, gdy wkrótce potem przybywszy do matki, od Sliziaka się dowiedziałem, iż gościa ma jej teraz niemiłego, przybyłą daleką powinowatą Świętochnę, którą się niegdyś posługiwała, ale jej dla płochości obyczajów znieść nie może.

Nie wiedziałem sam, czy mam się wstrzymać od ukazania u matki, pozostawując ją samą ze Świętochną, czy iść tam, aby niemiłe obcowanie z nią sam na sam skrócić, gdy mi służebna Nawojowej przyszła oznajmić, ażebym szedł do pani.

Nigdy Świętochny nie lubił dla jej malowanej twarzy, odmładzania się, gadatliwości i fałszu; pamiętałem jej to, że się ofiarowała mnie ściągnąć w zasadzkę, a i Luchny wstręt do niej do mojego się przyczyniał.

Szedłem jednak, gotów zawsze rozkaz matki spełnić...

Zastałem Świętochnę przerażająco zestarzałą, ale jeszcze straszniej niż ongi wymalowaną, strojną śmiesznie, z włosami po młodemu utrefionemi, a głosem wielką wesołość zdradzającym.

Siedziała naprzeciwko Nawojowej, która w swej sukni zakonnej, z różańcem w ręku, chmurna, słuchając zdawała jej szczebiotania z odrazą.

Gdym wchodził, odwróciła się ku mnie uśmiechając Świętochna, i poufałem skinieniem głowy pozdrowiła.

— Wszystko się więc widzę, szczęśliwie skończyło — zawołała — tylko ta suknia i pokuta niepotrzebna! Pan Bóg już o wszystkim zapomniał.

Zmierzywszy mnie od stóp do głów wzrokiem śmiałym, dodała:

— Doprawdy, wyrósł na przystojnego mężczyznę i pięknie się prezentuje... A cóż to — rozśmiała się — o Luchnie zapomniał?

Zarumieniłem się mocno, bo matka wlepiła oczy we mnie.

— Nie zapominałem — rzekłem, kłamać nie chcąc, — ale...

— Co z oczów, to z myśli! powiadają ludzie — dodała Świętochna.

— Znajdzie on sobie, gdy czas przyjdzie, stosowną parę—przerwała żywo matka. — To moja rzecz, aby mu ją wyszukać i nastreścić. Nie chcę, aby się rychło żenił, bom zazdrośna. Przywiązałby się do żony, a o mnie zapomniał. Służba też, w której zostaje nie dopuszcza mu się żenić.

Zmleczalem, w tem Świętochna zwróciła się ku mnie.

— Ale! Wszak przy królewiczach byliście czy jesteście... zacie więc Kallimacha?

Nie wiem, czy mówiąc to zarumienić się chciała, bo bielidło rumieńca dojrzyć nie dozwalało, ale zrobiła minkę dziewczęcia, które się sroma... Uderzyło mnie to mocno.

— Codzień go widuję i mam szczęście z nim przestawać, a za tłumacza mu służyć—rzekłem.

— A! takich ludzi ziemia nasza nie rodzi!—poczę-

ła z zapalem. — Pod szczęśliwszem niebem przychodzą oni na świat! Jakże go porównać nawet z temi grubiańskimi mężczyznami naszymi, którzy uczuć ani obyczajów delikatnych nie znają i we krwi nie mają. Zaprawdę, lepszego nauczyciela król synom wybrać nie mógł — ciągnęła dalej z zapalem. — On sam jak królewicz wygląda!

Milcząc pochwał tych słuchaliśmy. Nie odpowiedziałem też na nie i po chwili dopiero spytałem, zkądby go znała.

Zakłopotana się pozornie i chusteczkę, którą na kolanach trzymała szarpiąc, odezwała się oczu nie podniósłszy.

— O! to historia długa i ciekawa. Miałam to szczęście, naówczas na Pokuciu przebywając, mieć go u siebie w gościnie. Nieszczęśliwym naówczas był, obcym, ograbionym na Węgrzech. Grożono mu tem podobno, że go papieżowi wydać chciano, który mu stał na gardło; schronił się więc pod skrzydła pana naszego. Wziął go potem ks. arcybiskup odemnie, ale teraz przecie ludzie się na nim poznali. Nieprawdaż? król go podobno kanclerzem uczynić ma?

— Nie sędzę — odpowiedziałem chłodno — gdyż obcy tego urzędu piastować nie może.

Widząc znużenie wielkie na twarzy matki, nie opowiadałem już, rozmowy nie chcąc przeciągać. Świętochna też zdawała się zabierać do odejścia. Zwróciła się tylko do mnie z zapytaniem, gdzie Kallimach mieszkał, czy z królewiczami razem i kiedy doma bywał.

Odpowiedziałem dwuznacznie, że w domu go zastać zawsze było trudno, gdyż więcej na zamku przy królu przesiadywał, a gdy powracał, naówczas mnóstwo już ludzi na niego czekało i zawsze tłum otaczał...

Skrzywiła się na to... Skończyły się przecież odpowiedzi, ale oznajmieniem, iż Świętochna dwór sobie nając tu chciała i czas jakiś pozostać w Krakowie. Do-

myślać mi się było łatwo, iż to dla Kallimacha czyniła, który gościowi pewno nie bardzo rad być musiał.

Wiedzieli już wszyscy o nowych jego w mieście miłostkach, bo bez tych żyć nie mógł, utrzymując, że pocie nie wiasta tylko mogła dać natchnienie.

Wieczorem musiałem z polecenia króla iść do Włocha, znalazłem go z przyjacielem Boufilim ale zachmurzonym i smutnym.

Nie spostrzegł mnie, gdy wchodził, a zobaczywszy potem, nie zważając kończył poczęte zwierzenie się przyjacielowi.

— Do kata! babę tu lichu mi przyniosło! Zestarażała okropnie, i śmieszna się stała, chcąc dziewczeczkę skromną udawać. Naturalnie miłość jej wzrosła o tyle, o ile moja ostygła. Nie mogę się jej pozbyć, a życie mi zatruje!

Zacytował ostry wiersz Juwenalisa, dołożył drugi Horacego i dopiero się zwrócił do mnie.

I jakby sobie coś przypomniał, zagadnął:

— *Ni fallor*, ona mi o was wspominała? Znacie więc panią Świętochnę?

— Więcej ona mnie, niż ja ją — rzekłem zimno. — Niegdyś widywałem ją tu w Krakowie.

— Prawda to? Tęczyńskich się głosi powinowatą? — pytał.

— I być nią musi — odparłem — ale u nas co szlachta jest, wszystko z sobą powiązane.

Na tem rozmowa się skończyła.

Przybycie Świętochny do Krakowa miało większy wpływ na losy Kallimacha, niż on i ktokolwiekby był mógł przewidywać.

Widziałem go następnych dni zafrasowanym i ciągle postów Świętochny odprawiającym pod pozorami różnem z tem, iż się stawić nie mógł.

Skończyło się pono tragicznie, bo Świętochna dowiedziała się o tej, która jej serce Włocha odebrała.

Jak się z nim rozprawili, nie wiem, musiało przyjść do srogiego starcia, gdyż od matki dowiedziałem się, że Świętochna Kallimachowi wojnę wypowiedziała.

Zastałem ją u Nawojowej potem rozdąsaną. Zobaczywszy mnie, odezwała się z przekąsem:

— Cóż tam na dworze słyszać? Mówią, że Kallimach się żeni?

Winszuję tej, co go sobie weźmie. Szatani są ci kuglarze Włosi, niczem u nich uwieść i oszukać niewia-
stę, ułożyć się, przypochlebić, omamić. Toż samo czeka i króla naszego, którego on zdradzi. Słyną z tego Włosi, iż chytry są... a kłamcy bezczelni.

Nie mogłem się wstrzymać aby jej nie przypomnieć, że niedawno Kallimacha pod niebiosą wynosiła.

Rozgniewała się na mnie za to wspomnienie nie w porę.

— Nie umieliście się poznać na tem—rzekła—jakem to mówiła! Zły człowiek jest, zły, zawszem to twierdziła, lecz nie damy mu długo tu gościć na zgubę królestwa naszego, które radami swemi chce podkopać. Poznali się tu już na nim ludzie i gotują dla niego z niespodzianką. Nie ujdzie ztąd cało! ani go król mocą swą zasłonić potrafi.

Z wielką gwałtownością wyrzekłszy to, zamilkła nagle, zapędziwszy się zadaleko.

— Nie wiem — odezwałem się—co komu przewinił, żeby go prześladować i mścić się na nim miano. Przystaje tylko z królem, z kilku uczonemi a z panem z Rytwian, ma przyjaciół wielu, o przeciwnikach nie słysząc.

— Ślepym jesteś młokosem — zawołała gwałtownie, nie umiając się już powstrzymać. — Wszyscy wiedzą, jakie on królowi rady daje, że na panów i rycerstwo a ich przywileje godzi; a włoskie tu rządy chce zaprowadzić, ale niedoczekanie jego! pójdzie precz ze wstydem, tak goły jak przyszedł.

Rozśmiałem się, umyślnie jej sprzeciwiając.

— Król nie dopuści do tego—rzekłem.

Zobaczycie! — przerwała — zobaczycie. Tyranów my takich u siebie nie ścierpimy jak Włosi.

To mówiąc wstała i pożegnawszy się prędko wyszła.

Nie próżnem to było, co mówiła, bo w istocie niechęć ku Kallimachowi, podżegana z wielu stron rosła.

Gdy ks. Długosz z Pragi napowrót przybył, szedłem do niego w parę dni potem, aby pozdrowić starego mojego dobroczyńcę i mistrza. Znalazłem go jeszcze smutniejszym, mocniej namarszczonym niż zwykle, stęskającym boleśniej.

— Macie więc Włocha?—rzekł do mnie bez ogródki poczynając. — Gładki człowiek, łacinnik doskonały, niewiastom miły, panom pochlebiać wprawny, a do rady jedyny! Radziście mu? a chłopięta moje! chłopięta moje!

Westchnął i ręce załamał.

— Oduczy ich bojaźni Bożej i wstydu, bo obojga sam nic ma—rzekł—ale gładki, ale przystojny, na izbach zamkowych pięknie się umie postawić, język wyprawny, rozum siłą, tylko...

Nie dokończył i kładąc mi ręce na ramionach rzekł:

— Wszystkich was już w sieci swe złapał?

— Ojcie—odpowiedziałem—wielki czarownik jest, tego nikt zaprzeczyć nie może. Umysły chwyta, lecz serca nie wiem czy zyskać potrafi?

— Chłopięta moje? Kaźmirz?—zapytał.

— Zdala od niego—odparłem—a i Kallimach zyskać go sobie się nie stara. Broni go pobożność. Gorzej z moim Olbrachtem, bo ten całkiem do niego przystał i u warg jego wisi, słuchając złotych a miodowych słów, któremi go karmi.

— Toż będzie z młodsze—westchnął Długosz.—Takie było przeznaczenie snadź królestwa tego i rodu Jagiełłów, który, choć liczny jest, nie potrwa długo, gdy

błogosławieństwa Bożego mieć nie będzie... Mówią, że i króla uwiódł, do zamachu na prawa duchowieństwa i rycerstwa nakłaniając. Tem go zgubi. Chcieli panować, szanować muszą co ojcowie ich i oni zaprzysięgli.

Z czułością potem rozpytywać począł o królewiczów.

— W Pradze — rzekł — zatrzymać mnie chcieli. Znalazłbym był tam na starość spokój i chleb i poszanowanie u ludzi, ale tu mnie moja bursa, moje kościołki i probostwa, moje pozaczynane budynki i fundacye, moja kronika i rejestra ciągnęły. Serce moje zostało przy akademii, gdym jechał do Pragi, i za żadne skarby świata nie byłbym tam pozostał. Tu kości moje chcę położyć, a rychło, rychło im i mnie spocząć potrzeba... Znużonym się czuję, drży pióro w ręku, myśli się płaczą. Tyle do uczynienia zostało, a czasu tak nie wiele... Za życia spuściznę chcę zdać w takie ręce, aby marnie nie zginęła.

Wrócił potem do Kallimacha.

— Olbracht łaciną będzie zdumiewał — rzekł — skorzysta przy takim mistrzu niewątpliwie, ale co z nią razem od niego weźmie — balsam, czy truciznę?

Podniósł ręce spracowane do góry.

— Uczeni są, pięknych słów ludzie, ale z pogańskiego świata ciągną soki, nim żyją i o Chrystusie zapominają. Horacy im miłszy od św. Chryzostoma, Virgilego wolą niż św. Augustyna, Senekę niż św. Pawła! Chrześcijańscy pisarze złą łaciną dobre myśli wyrażają; oni doskonałą płochemi nas zarażają.

Splunął Długosz.

— Księgę całą miłosnych wierszy napisał wasz Kallimach, dzieci królewskich nauczyciel, nauczy więc je też przedwcześnie cielesnym żądzom hymny śpiewać i w nich się lubować, *quod Deus avertat!*

Słuchałem nie śmiejąc wtrącić słowa, gdy ks. Długosz z boleścią jakąś znowu do chłopiat wrócił i boleć nad niemi zaczął.

Nie mając czem innem, pocieszałem go mówiąc o pobożności Kaźmirza, o pokorze i rezygnacyi, z jaką zniósł świeżą próbę, na którą był wystawiony, o dobroci jego anielskiej.

— Nienasycona pycha a żądza panowania! — zamruczał kanonik. — Mają przecież dosyć ziemi, zdobyli bez krwi rozlewu Czechy, jeszcze im Węgier potrzeba, dla których jużemy stracili tego pana, tego bohatera, więcej może godnego chwały niż oni wszyscy.

— Ojciec mój — ośmieliłem się przerwać dotknięty tem. — Pozwólcie mi, jako wiernemu słudze pana mego, ująć się za nim. Nie tak głośne jest jego bohaterstwo, ale i on też męczennikiem jak tamten i od wstąpienia na tron nie miał może jednej chwili spokojnej i szczęśliwej, nad te, które spędza ze swą rodziną.

Zamilkł ks. Długosz na moment.

— Winien sam, że lepiej mu nie jest. Szuka walki — rzekł — zrobił sobie nieprzyjaciół, a teraz, gdy mu przybył doradzca co kraju nie zna, i zechce go przerabiać na cudzoziemski sposób, łatwo jeszcze gorzej być może. Sam winien — dodał — niech mu Bóg miłosiernym będzie!

Na tem się skończyła ta rozmowa nasza.

Wprędce potem dowiedziałem się, że Świętochna dwór najęła i pomimo, że z Kallimachem wojnę rozpoczęła zajądła, z Krakowa się oddalać nie myślała. Knuła zemstę. A że potrzebowała być ciągle uwiadamianą o tem, co się z jej niewiernym miłośnikiem działo, rzuciła okiem na mnie i poczęła nasyłać z nieustannemi wezwaniami do siebie.

Kobieta sama była mi wstrętliwą, a to donosicielstwo, którego po mnie wymagała, obrzydłem i nieznośnem. Odpowiedziałem więc bez bez ogródki, iż ani czasu na odwiedzinę nie mam, ani ochoty do nich.

Wolałem już, żeby się gniewała na mnie i skarżyła przed matką, która mi tego naganić nie mogła.

Przebiegła niewiasta wzięła się na inny sposób.

Spotkawszy mnie w ulicy sama, podeszła ku mnie ze zwykłą sobie śmiałością.

— Nie łaskaw wasze na mnie? — zawołała szydersko. — Nie chcesz ani zajrzeć do starej Świętochny? Jak wola! jak wola, ale posłuchaj tego, co powiem. Oto nie upłynie dni kilkanaście, a będziesz się dobijał i prosił, abym cię wpuściła do mnie, a ja ci drzwi zamknę przed nosem, pamiętaj!

Odwrociła się i poszła. Zrozumiałem bardzo dobrze jaką myśl mieć mogła, że zamierzała do siebie Luchnę sprowadzić. Serce mi zabiło. Nie było już rady, aby jejmość przebłagać; zostawić to musiałem czasowi.

Kiedy się to działo, a ja codziennie do matki uczęszczałem, która dotąd w swoim pokutniczym stroju i życiu trwała, zwróciły się niepotrzebnie na nią ludzkie oczy i języki.

Urodzona Gastoldówna, siostra wielkorządcy na Kijowie w tym czasie właśnie podziału majątności między rodziną, otrzymała znaczne dobra na Litwie, które brat jej puścił, jako spadek po matce i część należną po ojcu.

Tęczyńscy dowiedziawszy się o tem, trochę zaniebaną zaczęli nawiedzać i kłaniać się jej. Mówiono o jej życiu, o przeszłości, w jaki sposób do mnie to najmniej dojsć mogło, ale snadź rozprawiano wiele.

Czy mnie za syna jej miano, czy za przybraną sierotę? nie wiedziałem i nigdy się jawnie do żadnego powinowactwa nie przyznawał, powiadając się raczej jej sługą.

Musiano i o tych wielkich majątnościach, i o jakiejś przeszłości, a stosunkach rozpowiadać wiele i obudzić tem ciekawość ogólną, gdy nawet Włoch mój jednego wieczora niespodzianie mnie o wdowę Nawojową rozpytywać począł, którą głoszone bezdzietną i księżęcej fortuny panią. Zwracał się z tem do mnie najniezręcniej, bo ja właśnie mu najmniej powiedzieć mogłem, zbywając go kilku słowy zinnemi.

Miałem naówczas lat trzydzieści, a matka moja nie więcej nad czterdzieści kilka. Żywot ciężki i boleściwy zestarzył ją przedwcześnie, uczynił zwiędłą; lecz teraz, gdy odzyskała spokój, życie zmieniła a i samą pokutę uczyniła znośniejszą — zdrowie jej powróciło. Widziałem z pociechą wielką, iż rumieniec na twarzy się zjawił, lice się wypełniło i jakby odbłask jakiejś młodości je rozjaśnił. Cieszyłem się tak wielce w duszy.

Pokuta nie ustawała dotąd, lecz tak surową i pochłaniającą wszystkie godziny nie była. Nawojowa mniej unikała świata, więcej się o ludzi, dwór i t. p. rozpytywała.

Nie widziałem w tem nic zdrożnego, gdy w ostatku suknia tercyarska ustąpiła zupełnie, a matka oświadczyła mi, że dziwowiskiem dla ludzi być nie chce i tylko w pewne dni na nabożeństwo wdziewać ją myśli.

Gdy z Litwy przybyli z majątności ci co niemi zarządzali, dzierżawcy i tenutorowie, a z niemi przypłynęły i znaczne summy pieniędzy, matka się dała namówić Sliżiakowi, aby i dwór swój, kolebki, woźniki, czeladź, stosownie do stanu dała urządzić. Mnie się o to nie pytano i nie mogłem mieć nic przeciwko temu, co matce miało uczynić przyjemność, jej, co tyle przecierpiała.

Statecznie tylko dotąd odmawiałem, gdy mi nadto świadczyć chciała, czemby na mnie oczy zwracała niepotrzebnie. Przyjmowałem konia, rząd, zbroiczkę, drobne podarki, alem nic okazalszego nie chciał mieć.

Gdy zwolna zmiany te u nas w domu pod złotym dzwonem zachodziły, Świętochna jak sobie postanowiła, tak uczyniła — sprowadziła tu Luchnę.

Nierychło się o tem dowiedziałem.

Jaką myśl miała, czy mnie do siebie pociągnąć, abym jej za narzędzie służył do pomsty nad Kallimachem, czy za zimne przyjęcie nad matką moją chciała też mścić się, mnie mimo jej woli upłatawszy... dość, że Luchna przybyła.

Nad wszelki wyraz chytra i przebiegła kobieta, w pierwszych dniach po przybyciu mojej Luchny wypuściła ją samą do kościoła, nie wątpiąc, albo raczej przeczuwając to, że my się spotkać musimy i dowiemy o sobie.

Tak się też stało — jest Opatrzność nad temi, co się uczciwie miłują. Nie powiem jak byłem szczęśliwy spotykając ją i jaką chwilę spędziliśmy razem, choć z obawą, aby nas nie spostrzeżono. Luchna, która dobrze знаła swą powinowatą i przed którą ona już się wygadać musiała, przestrzegła mnie, abym ostrożnym był, bo tu znowu przeczuwa zasadzkę.

Tym razem jednak rachuby Świętochny, które niewątpliwie miała, omylone zostały zbiegiem nieprzewidzianych wypadków, dla mnie równie nieszczęśliwych jak to co z innej strony czekać mogło.

Wielki rozgłos imienia Kallimachowego, stanowisko jakie zajmował na dworze, codziennie rosnące znaczenie tego człowieka, wszystkich ciekawość obudzało. Każdy chciał widzieć go, słyszeć, zachwycać się tym czarodziejem.

Wyprawiano dla niego uczty, ugaszczano, obsypywano darami, a na te on wcale obojętnym nie był. Znajdował to bardzo naturalnem i niejako obowiązkiem, gdy mu za kilka pochwalnych wierszy łacińskich kilkadziesiąt sztuk złota przynoszono. Powiadał otwarcie, że za bezcen daje nieśmiertelność, albowiem nie wątpił, że dzieła jego mieć ją będą.

Kallimach był zwierzeznikiem moim, bardzo więc łaskawie znalazła się matka moja, dnia jednego oświadczając mi że chce Włocha dla mnie pozyskać, przyjmując go wspaniałą ucztą w swym domu, na którą dozwoliła mi zaprosić osoby, jakie jemu miłe a mnie potrzebne być mogły.

Piękną bardzo pozłocistą czaszę i misę srebrną przeznaczała jako dar i pamiątkę dla Kallimacha.

Rzuciłem się jej do nóg, dziękując za tę troskliwość

dla mnie, ale starałem się wszelkiemi sposobami odwieść ją od tego, a szczególnie od uczty, która spokojne jej życie mogła zamącić.

Nie szło o kosztą, bo te nie mogły dla niej być znaczącymi, hojną była i miała czem szafować, lecz wstręt czułem do tego otwarcia domu i ściągnięcia lub potwierdzenia podejrzeń, czem ja byłem dla niej.

Powiedziałem to otwarcie.

— Ale ja, dziecko moje — odparła zimno — nie kryję się z tem co już się utaić nie daje i dozwalam niech świat mówi co chce. Dla mnie to dziś obojętne!

Okazała tak stanowczą i nieprzełamaną wolę, że mnie, nawykłemu do spełniania jej rozkazów, sprzeciwiać się nie było podobna.

Wystawiałem jej to nadewszystko, że raz otwarte drzwi domu, już się znowu potem zamknąć nie dadzą, że spokoju mieć nie będzie.

— Gdy go zechcę odzyskać — rzekła — bądź pewien, że potrafię. Znasz mnie, iż mam silną wolę; gdy co postanowię, pewnym być możesz, iż w domu nikomu pannaować nie dam nad sobą.

Próżne już były usiłowania moje.

Sliziak odebrał rozkazy co do uczty, którą ja do niewielkiej liczby Włochów i pana Dersława z Rytwian, szczególnego przyjaciela Kallimachowego, ograniczyłem.

W czyjem imieniu i pod jakim pozorem ja do domu Nawojowej Tęczyńskiej zapraszać miałem, musiałem spytać. Matka mi na to odpowiedziała:

— Nazwiesz mnie opiekunką swą. Nietrzeba więcej, ale chcę abyś mi gospodarzem był i wyręczał we wszystkim.

Dodać tu muszę jedno, że już naówczas w Litwie się znajdowali mnodzy, którzy dzieje jej i rodzin litewskich pisać i zbierać zamierzali. Ci, słusznie czy nie, utrzymywali, że pierwsze i najstarsze rodziny litewskie pochodziły od włoskich przybyszów, którzy niegdyś tu

wylądowali i osiedli. Wyprowadzano Paców od włoskich Pazzi, a Gastoldów od Castaldich bodaj. Ztąd na dworze starego wojewody Włochy bywały i języka tego potrosze dzieci uczono.

Nawojowa go wprawdzie zapomniała, ale cośkolwiek jej zostało w pamięci. Kallimacha więc językiem tym mówiącego zrozumieć mogła.

Z dnia na dzień tę niemłą mi ucztę okładając, gdy wreszcie dzień nadszedł naznaczony, musiałem Kallimacha prosić i jego towarzyszków, z pokorą wielką, bo dla mnie to wielka cześć być miała takiego mieć gościa w domu mej opiekunki.

Dersław z Rytwian, który nieskory był do uczęszczania po domach mniej znanych, dla Kallimacha zaprosiny przyjął.

Wdowa kolebkę swą najprzedniejszą, ze czterma siwemi woźnikami i służbą w barwie nowej posłała po Experiensa.

Nad spodziewanie moje Włoch nie tylko że zaprosiny przyjął nader chętnie, ale się z największym staraniem wystroił na nie po pańsku i humor wiozł z sobą jaki rzadko widywałem u niego.

Matka moja od czasu jak strój pokutniczy złożyła, ubierała się bardzo poważnie i skromnie; dnia tego jednak, aby uczcić gościa, ujrzałem ją tak wspaniale przybraną, klejnotami okrytą, a tak jeszcze piękną, mimo że piątą krzyżkę kończyła, iż zobaczywszy ją zdumiałem się.

Wesołość też do stroju przybrać umiała taka, a pański obyczaj, że zdało się oglądać królowę.

Kallimach słodki zawsze, tu chciał się ze szczególną pilnością okazać czarującym. Łatwo mu to przychodziło. On sam prawie mówił, pytał, odpowiadał, zgadywał myśli i obracał tak rozmowę, aby mógł miodem pochlebstwa nakarmić.

Posadzony u stołu przy matce mojej, z wielkiem

poszanowaniem nią jedną się zajmował, ją zabawiał, ku niej zwracał.

Był bohaterem uczy, ale umiał się za to wywdzięczyć. Wszystko w tym domu znajdował przedziwnem, a chwile tu spędzone, jak powiadał, do najszcześniejszych w życiu zaliczał.

Cieszyłem się tem, iż ucztą się powiodła, dar został wdzięcznie przyjęty, matka moja zamiast znużenia miała rozrywkę, która ją wprawiła w niezwykle wesołe usposobienie.

Dziękowałem jej na klęczkach, lecz przyznaje się, że to zbliżenie do Kallimacha i obowiązek niejako utrzymania z nim ściślejszych stosunków, ciążyły mi nieco.

Oświadczeniom Włocha, który codzień szafował tym chlebem powszednim pochlebstw i- kortezyi, nie wierzyłem wiele. Ten był skutek jednak czaszy i misy a uczy, że ja w oczach Kallimacha podrosłem nieco, a na matkę moją zwrócił szczególną uwagę.

Świętochna tymczasem spiskowała przeciwko niemu.

U niej zbierali się po staremu ci, co na zjazdach przyszłych królowi do oczu skakać mieli, a teraz przeciwko Włochowi spiskowali.

Jak się niegdyś na kardynała Zbigniewa hussyci odgrazali, że go zamordują, tak na Włocha też grozili niechętni, że go gdzieś przydybawszy zgładzą ze świata.

Mówiono o tem Kallimachowi, lecz wcale się nie zdawał lękać i postępowania bynajmniej nie zmienił.

Ja z Luchną zaledwie kiedy w kościele lub ulicy mogłem się na chwilę spotkać. Sama ona obawiała się, aby mnie Świętochna nie wplątała i na gniew matki nie naraziła, która jej drzwi zamknęła.

Kallimach się stał tego powodem, gdy matka moja znosić nie chciała potwarzy jakie nań rzucono, a Świętochna z wściekłością przeciwko niemu powstawała.

Przedłużał się ten stan rzeczy, gdy raz do matki wieczorem przybywszy, zastałem ją niespokojną i rozdrażnioną.

Uprzedził mnie o tem Sliziak, iż z Litwy od majątności jej niedobre wieści przyniesiono, iż się tam działy sprośne nadużycia a grabieże, zamek jeden jej spalono i t. p.

Chodziła po izbie nadaśana zaledwie paru słowami mnie przywitawszy, gdy jakby ją myśl jakaś uderzyła, niespodzianie odezwała się do mnie.

— Jedź ty na miejsce ze Sliziakiem, ład zaprowadzicie. Wolałabym nie mieć majątności, niż je łupić bezkarnie.

Zdumiałem się temu postanowieniu, jak gdyby zapomniiała o tem, iż ja zależnym byłem, w służbie i oddać się na czas dłuższy nie miałem prawa, a w rzeczy obawiałbym się nawet oddalenia, aby mnie nie zastąpiono innym i ze dworu nie wypchnięto.

Łaski matki wprawdzie zapewniały mi do czasu życie swobodne, ale na przyszłość — nic. Nie mogła, a kto wie czyby chciała los mój zabezpieczyć, na siebie przez to zwracając oczy.

Musiałem jej przypomnieć zależność moją.

— Jesteś mi tam potrzebnym — odezwała się — nie mam nikogo, a Włoch przecie wyrobić to potrafi, aby cię na kilka tygodni puszczono.

— I bez Włocha — odpowiedziałem — sam ja to mogę wyjednać przez Szydłowieckiego, iż mnie uwolnią; ale Olbracht nawykł do swojego sługi, łaska pańska nie stała, gdy go mieć nie będzie, dobierze sobie innego.

Matce mej nie zdawało się to trafiać do przekonania, nastawała, abym jechał na Litwę, wreszcie poczęła tego wymagać jako dowodu przywiązania i posłuszeństwa, narzekać na swe osierocenie i wdowieństwo, nastawała na mój obowiązek posłuszenia jej.

Wieczora tego wysłuchawszy tylko nalegać, nic jeszcze nie postanowiłem; rozeszliśmy się, a ja wziąłem rzecz do namysłu.

Wahałem się mówić o tem nawet na dworze. Ol-

bracht właśnie mnie jako towarzysza i dozorcey potrzebował do jesiennych łowów, które mu dozwalano.

I on i młodszy Aleksander mieli już swe psiarnie, konie i myśliwstwo z tym tylko zakazem, aby na dzikie i drapieżne bestye się nie porywali.

Olbrachtowi myśliwstwo już dlatego miłem było, że żywego temperamentu, lubiący swawolić i gwarzyć z ludźmi prostymi, w lesie mógł więcej dokazywać i puścić cugle sobie.

Wtem ku wieczorowi niespodzianie zagadnął mnie Kallimach, na jak długo ja oddać się myślę?

Stanąłem oniemiały. Naówczas dodał, iż pani Nawojowa żądała, aby mnie dla posług jej na kilka tygodni odpuszczono, o czem on, Kallimach królowi mówił, a król się zgodził na to.

Rzecz była załatwiona i postanowiona. Wpadł też na mnie zaraz Olbracht wyrzucając mi, że go opuszczam.

Tłómaczyłem mu się, że tego z dobrej woli nie czynię. Nałajał mi wesoło i skończyło się na tem, żebym jak najrychlej powracał.

Związany byłem i cofnąć się już nie mogłem.

Posłuszny więc, nazajutrz pożegnawszy królewiczów, a szczególnie Olbrachta, rozstawszy się z Kallimachem, który mi żartobliwie polecał, abym mu futer pięknych nie zapomniał przywieźć, udałem się do kamienicy pod złotym dzwonem.

Tu Sliziak już wszystko był do drogi przysposobił. Nie mogłem się uskarżać, gdyż mnie jak paniątko wyprawiano. Podróż odbywać mieliśmy konno, ale wóz kryty szedł za nami, luźnych koni para dla zmiany, a czeladzi aż dziesiątek miał towarzyszyć.

Chciałem matce odradzić, aby mnie tak kosztownie i gromadnie nie wysyłała, lecz wnet mi usta zamknęła tem, że z jej ręki nie mogę tam się okazać bez pewnej powagi i występu. List pod pieczęcią jej otwierał mi wszędzie wrota i dawał moc rozporządzania ludźmi,

pieniężdmi i sprawami, jakieby ukończenia potrzebały.

Pieniądze znaczne miał sobie powierzone Sliziak.

Nie wiem dlaczego, choćby się podróż taka młodemu uśmiechać była powinna, więcej mi ona trwogi czyniła niż uciechy. Nie czułem się zdolnym do rozstrzygania spraw, ani dosyć wprawnym do tego, abym surowo umiał wystąpić.

Szło głównie o to, abym widział naocznie spustoszenia o których donoszono, krnąbrnych dzierżawców i niepocziwych rządców precz porozpędzał i co się dało oddyszał.

Pożegnanie moje z matką było bardzo czułe. Jam zawczasu prosił, aby pobłażliwą mi była, jeżeli włożonym na mnie obowiązkom nie podołam, żadnego doświadczenia nie mając.

Lecz o tem ani słuchać nie chciała. Oddalając się na czas długi, bo Sliziak zapowiadał, że się to kilku tygodniami nie obejdzie, musiałem o sobie dać znać Luchnie, a że innego nie było sposobu, wprost zajechałem z moim pocztem przed dwór Świętochny.

Od owego spotkania w ulicy i groźby wcale jej nie widziałem.

Byłaby może pieszo przychodzącego i stukającego do drzwi, wedle obietnicy precz odpędziła, lecz ją to uderzyło, że z taką przybywał kalwakatą i dworem.

Udałem dobry humor z musu.

— Miłościwa pani — odezwałem się od progu — chociaż wiem, że się gniewacie na mnie, na dłuższy jednak czas opuszczając Kraków, miałem za obowiązek was pożegnać.

— I Luchnę, o której wiesz — dodała złośliwie — bo o mniebyś nie pamiętał.

— No i Luchnę — rzekłem spokojnie — tembardziej, że mi się jej nawet widzieć nie dostało.

— Czemużeś się nie starał o to?

— Kiedyż mi miłość wasza zapowiedziała, że przystępu do domu jej mieć nie będę.

Pokręciła głową.

— Możebym się była zlitowała — rzekła. — Lecz cóż to za podróż! czy królewicze uciekają gdzie na zamek jaki!

— Ja sam jadę!

— A poczet ten? — spytała wskazując przez okno w ulicy.

— Dodany mi przez Nawojowę, bo ona mnie ztąd wysyła.

Świętochna posłyszawszy imię matki mojej, zerwała się gniewna.

— Ha! ha! — zakrzyknęła. — Pokutnica, która uczy dla Włochów wydaje! Kallimacha, słyszę, czaszą i misą obdarzyła! Jam mu też niegdyś więcej, bo koszulę dała, gdy jej na grzbiecie nie miał. Brac on umie, ale na tem koniec.

Wtem podumawszy trochę, dodała:

— Z Nawojową sprawa inna! dłużej może ją obdzierać i nie tak prędko porzuci. Ciebie wyprawują precz, aby im samym swobodniej było.

Oburzyłem się niezmiernie i krew mi do głowy nabiegła, tak, że z gniewem odpowiedziałem, ażeby matki mej do niego nie przyrównywała... dodając, że to co uczyniła dla Kallimacha, nie w innej myśli było, tylko aby mi go pozyskać.

Świętochna się rozśmiała, a widząc mnie tak zburzonym, aby ułagodzić zawołała na Luchnę.

Wiedziała że tem mnie uspokoi.

Wyszło całe zarumienione dziewczę, które pozdrowiłem nie zważając na przytomność gospodyni, a razem uwiadomiłem, że zmuszony jestem na dłuższy czas Kraków opuścić.

W kilku słowach wytłumaczyłem, iż to nie z własnej woli czynię, ale rozkaz opiekunki mej spełniam.

Świętochna cała w myślach jakichś, niewiele na

nas zwała. Udobruchana nagle rozkazała przynieść wina osłodzonego, kubki i owoców a ciasta. Sama przepiła do mnie roztargniona i poczęła wypytować o Kallimacha.

Odpowiedziałem jej żartobliwie, iż tak jest chwytany a psuty wszędzie, niewiasty za nim a on za nimi tak goni, że nawet zliczyć niepodobna, ile ich uczyni nieszczęśliwymi.

Pomówiwszy jeszcze z Luchną, która niespokojnie na ten mój wyjazd niespodziany spoglądała, łzy mając na oczach a zmuszając się do uśmiechu, pożegnałem narzeczcie gospodynią i w imię Boże smutny wielce puściłem się w drogę.

Jakem ją odbywał i com począł na miejscu, gdy tam spadł jak piorun na ludzi wcale się nikogo nie spodziewających, opisywać nie będę. Majętności były rozległe jako państwa oddzielne, w lasach ogromnych, w przestrzeniach bezludnych rozrzucone. Ci co tu gospodarzyli, niektórzy już od kilku pokoleń, niemal się za dziedzicznych panów mieli, więc też prawie siłą od nich wymagać było potrzeba posłuszeństwa. Prawdy dochodzić nie było łatwo. Mieli tu swych ludzi, a w niewielu majątnościach ucisk wywołał skargi, za które się pomsty obawiano. Trzeba było na najdrapieżniejszych przykładu. Musiałem wyrzucać siłą, karać i zmuszać do posłuszeństwa, a sam się mieć na baczności, bo na życie się zaszadzono... i Słizak czuwać musiał, abyśmy cało i bez sromu wyszli.

Ale jak przepowiadano, tak się stało. Nie starczyły tygodnie te, na które liczyliśmy. Częstokroć w jednym dworze po dni kilka trzeba było siedzieć, nim się dopytało końca.

Naostatek, gdy niemal wszystko sprawiwszy nie wszędzie szczęśliwie przyszło jeszcze do Wilna jechać dla spraw sądowych, już zima nadchodziła. Raz jednak musiałem je załatwić, mówiąc sobie, że powtórnie dla nich nie będę potrzebował odbywać podróży.

Wilno uśmiechało mi się wspomnieniami, choć za tartemi dzieciństwa mojego. Zaledwie z konia, pobiegłem do Gajdysów.

Dworek stał jakby opustoszały, ledwie się dostałem; stary, złamany, przygarbiony przyszedł mi drzwi otworzyć, oczyma krwawymi przypatrując się przybyszowi — do niepoznania zmieniony Gajdys.

Mój Boże! on to był. Żonę i córkę stracił, wnuczątko tylko boso biegło za nim. Głos mój posłyszawszy z płaczem rzucił mi się na szyję.

Toż samo, większe może ubóstwo zastałem tu co dawniej, ale dobrowolne.

Stary skapił dla wnuka.

Boleść, praca, całe życie nieustannych trosk na umyśle tak samo przybiło go jak na ciele. Płakał nieustannie. Opowiadał mi zgon żony, zameęcie córki, jej pożyacie, chorobę, śmierć, swoje sieroctwo... skarżył się na tę dolę.

— A! dawnobym ja sobie u Boga uprosił, żeby mnie ztąd wziął, ale dla tego biedactwa żyć muszę. Póki go nie odchowam, nie mogę umrzeć! nie mogę! a żyć tak ciężko! a każdego dnia, gdy się dźwignąć trzeba, tak lata przygniatają!

Sierotkę trzymał, mówiąc to, na kolanach i obejmował ją zmarszczonemi, spracowanemi rękami, na których stawach wiek kościste narości i dziwne powyciskały piętna.

Musiałem i ja mu mówić o sobie. Wykrzykiwał z podziwienia i radości, a gdy gościńce od matki i od siebie oddawał, płakać zaczął i już łez tych zatamować nie mogłem.

Miałem zamiar krótko zabawić w Wilnie, gdyż mi bardzo pilno było z powrotem, ale tu nieznajomy, nie rychłom mógł gdzie było potrzeba trafić i pozatapiać sprawę moje.

Wiedziano, że z Krakowa przybywam i na dworze

królewskim służę, osaczano więc pytaniami i narzekaniami zarzucano.

Litwa ta, którą Kaźmirzowi jako ulubienicę ciągle w Polsce wymawiano, że jej zbyt folgował, sarkana na dawniej ukochanego. W Wilnie chciano koniecznie osobnego mieć pana, swojego Wielkiego księcia, któryby życie z sobą przyniósł do obumarłej stolicy. Narzekano, że król synów mając tylu, którzy dorastali, dawał ich Czechom i Węgrom, a Litwie nie chciał.

Możni się głośno z tem odzywali, iż po Kaźmirzu nie dopuszczają już, aby stolica wielkoksiążęca opróżnioną została.

Ciągle na ustach miano Witoldowe czasy, Witoldowe rządy, Witoldową moc i potęgę. Skarżyli się, że wszystko teraz Polska im pochłoneła.

Mówić nawet z nimi o tem było trudno, potrzęsali głowami i słuchać nie chcieli. Smutek i pogńębienie widać było na licach.

Przybywszy do Wilna prostośmy zajechali do Gastoldowego dworu pod zamek, bo ten stał pusty, a Sliziak tam był z dawniejszych czasów jak w domu. Jeden tylko burgrabia i kilku stróżów około niego straż mieli: Oprócz nas wielu przejeżdżających z Polski, gdy się gdzie pomieścić nie mieli, wpraszała się gospoda do izb, które stały opuszczone. Prawda, że w nich nawet często ław i stołów brakło, ale dach był nad głową i ognisko, około którego ogrzać się było można.

Jeszcze spraw wszystkich nie pokończył, gdy powracając jednego wieczora do dworu na nocleg, Sliziaka zastałem chodzącego po izbie tak zafrasowanego czegoś, że mnie nawet wchodzącego nie zobaczył.

Zły był i jak niedźwiedź pomrukiwał.

— Co ci to stary? — zapytałem.

— Nic, co ma być — odparł — tylko mi się chce już powracać do Krakowa. Długo my tu siedzieć będziemy.

Odpowiedziałem mu, że nie wiem.

Rzucił się niespokojnie. Widocznie coś mu było, o czem mówić nie chciał i próżno go naciskałem. Powtarzał tylko, że powracać potrzeba.

Nazajutrz nie opuściło go to znudzenie i niecierpliwość, a pod wieczór urosły jeszcze. Znając go trochę domyślałem się, że to bez przyczyny nie było, ale też wiedział, że gdy powiedzieć czego nie chce, zmusić go niepodobna.

Radził mi w końcu, abym do licha sprawy zdał jakiemu juryście, a sam do Krakowa nawrócił.

Miedzy innemi pobudkami do tego stawiał i długie moje oddalenie od dworu.

Czułem coraz mocniej, że coś innego wprawiło go w tę tęsknotę za Krakowem, lecz z niczem mi się nie wygadał. Gdy nareszcie, Gajdysa pożegnawszy, siadł na koń i ruszyliśmy z Wilna, odżył mój Sliziak, ale mi zapowiedział, że ani nas, ani koni oszczędzać nie będzie.

W pół drogi w lepszy humor wpadłszy, po trosze mi się wygadywać zaczął.

— Ludzkie języki... nie ma nic gorszego na świecie nad nie. Nikogo one nie oszczędzą. Plotą koszałki opalki, a człek się darmo gryzie i frasuje.

— Cóż ci takiego splełali w Wilnie? — zapytałem — że nagle tak się do Krakowa zachciało.

— A no nie pytaj — rzekł — pewny jestem, że to łgarstwo, ale...

Pokręcił głową, umilkł nagle i więcej z niego dobyć nie nie mogłem.

Ułakłem się o zdrowie, a nawet o życie matki, lecz o to mnie uspokoił, chociaż dał do zrozumienia, że plotki istotnie się jej tyczyły.

Trwogi mi napędził niemałej, ale musiałem już z nią do Krakowa prawie jechać, bo dopiero u wrót mi się przyznał, iż w Wilnie od dworzanina królewskiego słyszał, jakoby po mieście rozgadywano, że Włoch Kalli-

mach miał się żenić, czy nawet ożenił się z wdową z Nawojową Tęczyńską.

Oburzyłem się na to i śmiać począłem, ale Sliziak pozostał chmurny i zadumany.

W kamienicy pod złotym dzwonem zastaliśmy wszystko po staremu, matka mnie dosyć czule powitała. Znalazłem ją wesołą, kwitnącą, zdrową i więcej niż zwykle ożywioną. W domu około niej ta tylko zmiana widzieć się dawała, że świetniej i wytworniej służba występowała i życia było więcej. Tegoż wieczora o zmroku przybył Kallimach, na którego, jak się zdawało, oczekiwano z kolacją na sposób włoski. W obejściu się jego z matką, w znalezieniu się ze mną było więcej poufałości i jakiegoś tonu rozkazującego niż przedtem.

Zaniepokojony tem, co mi zwierzył Sliziak, dostrzegłem w istocie, jakby Włoch tu wcale się nie czuł obcym. Dawał ludziom rozkazy, z moją matką szeptał i rozmawiał na uboczu, a co się tyczy mnie, choć uprzejmym był, ale zdala jakoś trzymał i zdawał się lekceważyć.

Matka moja rumieniła się, spoglądała ku mnie, starała okazać obojętną i poważną, lecz zdradzała się co chwila z wielkiem zajęciem gościem swoim.

Nie mogłem ani pytać co tu zaszło, anim miał prawa matce czynić jakichkolwiek przedstawień. Była panią swojej woli, majątku i losem swym rozporządzać miała prawo.

Dla mnie nazajutrz jawnem było, że czy z własnej woli, czy z porady czyjej, starała się trzymać mnie zdala od siebie i od dawniejszej poufałości odzwyczaić. Zrobiła mi tę uwagę, iżbym powinien z zamku się teraz nie oddalać, abym u królewicza i u króla łaski nie stracił.

Po tej skazówce, naturalnie, żem dni kilka pod złotym dzwonem nie postął. Dawniej, gdy się to przytrafiło, przysyłała matka dowiadywać się o mnie, powoływała, teraz się wcale nie zdawała troszczyć.

Jakem bolał nad tem, nie chcę mówić o tem. Je-

dyny skarb mój na ziemi, miłość matki, nierychło zdobyta, nienawistny los mi wydierał.

Była to sprawa tego człowieka, któremu ani o serce, ani o przywiązanie wcale nie chodziło, ale o znaczne majątności, jakimi wdowa bezdzietna rozporządzała. Wiedziałem, że on sam potem z jej łatwowierności naśmiewać się będzie. Nie szło mi to, co jej wydrzeć mógł, lecz o zawód, jakiego doznać musiała.

Drugiego dnia po powrocie, gdym z królewiczem Olbrachtem przybył do domu Kallimachowego, na pierwszym wstępie uderzyły mnie łupy, które już miał czas z domu pod złotym dzwonem przenieść do siebie. Opony poznałem, któremi się Nawojowa chlubiła, naczynia srebrne, które widywałem u niej, świeczniki, nalewki, szyte obrusy i ręczniki.

Włoch się z temi zdobyczami nie ukrywał wcale, ale chlubił prędko nabytymi dostatkami.

Mnie boleść, jakiej doznawałem i jakiś srom nie dopuszczał już nawet iść na miasto.

Lecz z drugiej strony obawiałem się, aby matka z tego nadąsania nie wносиła, iż ja w jej sprawy się mieszam i naganiam to, co czyni. Przez ludzi wiedziałem, iż Kallimach codzień raz, jeśli nie dwa, u wdowy bywał, tam przesiadywał, i—co więcej, tak się tam czuł u siebie, iż gości spraszał, ucztę wydawał, na których nie zawsze Nawojowa bywała, ale kuchnia jej, piwnica i służba.

Ludzkie więc plotki i gadania nie były próżne — niestety.

W mieście jedni twierdzili, że Kallimach się ożenił z wdową, księdza nawet mianując, który ślub dawać jej miał, drudzy przepowiadali, że ją odarłszy porzuci.

Po oponach i srebrach, przeszła jedna kolebka do wozowni i cztery najlepsze konie z uprzężą taką, iżby się jej wojewoda nie powstydział.

Przestałem prawie zupełnie chodzić do matki. Niekiedy na chwilę zjawiałem się rano po rozkazy... przyj-

mowała mnie zimno, zakłopotana, jakby zawstydzona, a że jej przytomność moja przykrość się zdawała czynić, ustępowałem.

Upłynęło dwa tygodnie po powrocie, gdy po mojej niebytności kilkodniowej u matki przyszedł stary Sliziak. Myślałem zrazu, że przysłany był, odpowiedział mi zbiedzony wielce, że sam z siebie nawiedził mnie i dowiedzieć się przybył. Jak noc siedział chmurny i wzdychał.

Nigdy z nim o matce nie wdawałem się w rozmowy, tembardziej teraz, gdy wstyd mi było i boleść usta zamykała.

Z postawy i twarzy starego czytałem, że i on okrutnie był pognębiony i wzburzony.

— Czemu bo — rzekł w końcu — przestałeś przychodzić? Zdałbyś się może, gdyby na ciebie częściej patrzyła pani nasza.

— Nie żądają mnie tam — rzekłem.

— Żle się dzieje — wybuchnął stary — krwawemi łzami płakać chce się.

Wstał ręce załamując.

Nie wierzę, ale powiadają, że czasu niebytności naszej korzystał... przeklęty Włoch, wdowę opłatał, a może i ślub z nią wziął.

— Dlaczegożby się z tem kryć miała? — zapytałem.

— Boi się może Tęczyńskich, może brata, albo ja wiem! — począł Sliziak. — Mój Boże! Ktoby to był przewidział, że się to tak sromotnie dla niej skończy.

Lzy ocierał stary.

— Można by wnosić, że chyba w istocie się ożenił z nią — dodał Litwin — bo dom tak nam plądruje i ogłać, tak się w nim samowolnie rządzi, jakby tu panem był. Wiem, ile w skarbcu zostawiliśmy wyjeżdżając, a co jest dzisiaj.

Poruszył ramionami.

Długo tak bolał i wyrzekał stary. Kochał on panią swą, najdziwniejsze jej zachcenia spełniał aż do okru-

cieństwa, poddawał się fantazyom, ale sromu jej znieść nie mógł, a sromem się mu wydawało zamażpójście za przybłądę, obcego człowieka, którego on za prostego chłopca uważał.

— Cóż poradzić! teraz z nią i mówić o tem nie można!

W całym mieście jeden głos był i powszechne mniemanie, że Włoch w istocie ożenił się z wdową; to przynajmniej pocieszało, bo jakiegokolwiek wyjście za mąż lepsze było, niż życie na wiare.

Kallimach, choć czuł pewnie i widział to, że mi krzywdę wyrządził i srogo dotknął, wcale postępowaniem swem nie starał się wrażeń tego złagodzić. Był nieco ostrzejszym dla mnie, a nie widując mnie pod złotym dzwonem, nawet nie raczył spytać, dlaczego teraz tak rzadkim byłem tam gościem.

Im matka zimniejszą się okazała dla mnie, tem i ja musiałem dalej trzymać się od niej.

Dawniej miała zwyczaj obsypywać mnie podarkami, teraz zupełnie one ustały i przez Sliziaka tylko na święta małą sumkę pieniędzy przysłała, żądając abym nie dziękował.

Na dole izby, które się nazywały mojemi i gdzie część moich mizernych sprzętów chowałem, wkrótce potem okazały się potrzebne dla zwiększonego dworu. Półgębkiem oświadczył mi Sliziak, iż pani radziła, abym królewicza pilnując, całkiem się wyniósł na zamek.

Była to odprawa. Nie pisałem słowa nawet i tegoż dnia sobie u Szydłowieckiego izbę wyprosiwszy, w zamku przy wieży, choć wilgotna była, i wiedziałem, że mi tam pognije wszystko, przeprowadziłem się do niej.

Bóg mi świadkiem! nigdy nie ja wielkich po matce dostatków, mienia, łask nie spodziewałem, nie rachowałem na nie, ale serca jakie mi okazywała, przywiązania, które się zrodziło, dosyć nie mogłem opłakać.

Znowu padłem w sieroctwo, i niedarmo imię Or-

fana mi dano. Jak niespodzianie zabłysło mi światelko macierzyńskiej miłości, tak nagle mi je los wydzierał.

Musiałem całe męztwo moje dobyć, aby się nie poddać rozpacz. Gdybyż matka przynajmniej tą ofiarą dziecięcia szczęście sobie kupiła. Ja co patrzyłem na Kallimacha, jego życie, postępowanie, lekkość, nie mogłem się łudzić ani na chwilę.

Można było przewidzieć już, że gdy łupieży dokona, wcale wdowy szanować ani oszczędzać nie będzie.

Jedyną korzyścią mojego osierocenia teraźniejszego było, że z musu i tęsknicy znowu się całkiem do Olbrachta przywiązałem... a było zawsze co czynić przy nim, bo go wszyscy razem, dozorca i nauczyciele zaledwie utrzymać mogli.

Chociaż później Zygmunt nad nim powaga, dojrzałością i rozumem wziął górę, naówczas z synów Kaźmierzowych on był największe rokującym nadzieje.

Słabowity i cały pobożności oddany Kaźmierz, do stanu duchownego więcej wzdychał niż do świata. Aleksander powolny, tępy, dobry, na umyśle był upośledzonym. Nic też Kallimach z niego sobie zrobić nie obiecywał, na Olbrachcie i na dwu ostatnich pokładając najwięcej na przyszłość.

Ale ani Kallimach, ani Szydłowiecki tak nie znali Olbrachta jak ja, którego się on nie wystrzegał i nie lękał. Chłopak był tak zawczasu ladajakiem obcowaniem ze służbą rozpuszczony, rozbudzony, swawolny a zuchwwały, że niepodobna było go upilnować.

Dwa czy trzy razy dorwawszy się do wina, tak go nadużył, że z największą biedą potrafił to pokryć, składając na chorobę.

Wybryków podobnych i gorszych było mnóstwo. Tailem jakim mógł, alem myślał już, co to dalej będzie.

Kallimach zasię na to bujanie młodzieńcze patrzył przez szpary.

Królowi i pod te czasy nie zbywało na kłopotach

i troskach, bo z Węgrami układy szły tępo i opornie... i tu się nic zyskać nie dawało. Z Pragi też przychodziły wiadomości, które w obojgu rodzicach trwogę obudzały o los Władysława. Ktoś tam do patrzącego przez okno z łuku strzelił, inny pono truciznę mu gotował. Władysław się na górny zamek do Hradszyna schronić musiał.

Stracił król ulubionego sobie Gruszczyńskiego, którego do stolicy arcybiskupiej gnieźnieńskiej doprowadził—żał był po nim wielki. Duchowieństwo nie wszystkie go lubiło, bo pod suknią kapłańską obyczaj miał i serce rycerskie, a królowi tak oddany był, iż dlań wszystko czynił, czego chciał. Kaźmierz też wiele z jego przyczyny cierpiał.

W ciągu tych lat musiałbym się powtarzać, gdybym wszystko spisywać chciał, co się na Węgrzech i w Czechach działo, bo tam wodę warzono bez skutku. Ale król miał swój upór chwalebny, który mu rozpoczętego dzieła rzucać nie dawał.

Pomijam i to, żeśmy się dwakroć Kallimacha pozbyli na czas: raz, gdy go w poselstwie do Turcyi wyprawiono; drugi — gdy szlachta na zjeździe w Piotrkowie tak królowi tym doradcą Włochem dopiekle, że na chwilę go oddalić musiał. Ale o tem niżej jeszcze.

Do spraw węgierskich i czeskich, pruska też, choć zakończona a odnowiona przybyła. Pomijam i to, jak powtórę wygorzał Kraków, a napomknę, że na to sławne przyjęcie mistrza krzyżackiego w Malborgu, gdzie król w zdobytym na zakonie głównym grodzie, wydzieńczonego pana jego, przyjmował prawdziwie po królewsku—patrzyłem, u boku Olbrachta się tu znajdując. Miał król przy sobie i starszego Kaźmirza, poczet senatorów wielki, dwór wojskowy i świecki wspaniały wielce.

Tu widzieć było potrzeba onych panów krzyżackich we własnem gnieździe gośćmi, gdzie na każdym kroku dawna ich moc, a dzisiejsza słabość się przypominała.

Większego zaprawdę upokorzenia może nigdy nie

doznał przewrotny ten i zdradziecki zakon, jak naówczas, zmuszony kłaniać się zwycięzcy a panu, którego w duszy nienawidził.

Więc te ich trzy grody, mury ogromne, owe sale olbrzymie, na granitowych słupach oparte, owe majestatyczne gmachy, izby, kaplice, obrazy, oglądać w ręku cudzych i w nich wydziedziczonym z pokorą stać, zmuszając się do obojętności a uśmiechu—srogą być musiało kaźnią.

Pomnę, jak tu Kaźmirz z Kurowskim zachwyceni wielkim obrazem Maryi Matki Boskiej, który Krzyżacy dali wystawić kunsztem nadzwyczajnym, lampami go wieczór oświecili i poszli z czeladzią pieśni śpiewać przed nim w ulicy. Zbiegowisko ludu było wielkie.

Olbracht zasię więcej po gmachach latając dokazywał, bo mu ich wielkość i rozmiary bardzo przypadły do smaku, że w nich choćby kilkaset osób naraz ucztować i zabawić się mogło.

Nie dziw, że potem rok nie upłynął, a Krzyżacy knuli znowu i spiskowali. Następnego lata jechaliśmy całym dworem do Wilna, z królową, z dwoma starszemi królewiczami i zapusty odprawiali w Trokach, dla łowów.

Na sejm szlachta nadąsawszy się na króla i za Kallimacha, i za to, że Rytwiańskiemu Janowi, którego Włoch popierał, dano było razem marszałkowstwo i kasztelania—zbierać się nie chciała.

Nie po raz pierwszy przychodziło ją, to cierpliwością, to różnemi wpływy uchadzać, więc się roku następnego ułożyło po myśli pańskiej i w Piotrkowie podatek wiardunkowy uchwalono.

Gdyśmy na Litwie byli, ona też dawno zażalona, że własnego pana nie miała, na królu wymódz zamierzyła koniecznie, aby jej z synów jednego dał.

Byliby się chętnie pobożnym Kaźmirzem zaspokoili, ale jemu rządów powierzyć dla słabego zdrowia nie mógł ojciec, a pominąwszy go też Olbrachtowi dać nie chciał z innych powodów.

Był Olbracht w leciech, o których mówię, dziećmiastoletni już; krwi gorącej, rozrzutny, samowolny i nierozważny. Puścić go samego nie mógł Kaźmirz; obawiał się, bo znał Litwę, że albo by ją ku sobie zniechęcił, lub zbytnią powolnością od Polski oderwał znowu. Mawiał zawsze król i stał przy tem, że oddzielnego pana mieć Litwa nie powinna; a jeden na te dwa kraje starczyć może i musi—inaczej się to powtórzy, co za Witolda i Świdrygiełły bywało.

Markotni z tej odmowy pozostali wielce Litwini, lecz pocichu mruczeli, iż kiedyś na swem postawia, a W. księcia sobie posadzą na Litwie i wziąć nie pozwolą.

Tę przestrzeń sporą czasu aż do 1480 roku tak przebiegam, jakem ją przeżył, nie doznawszy w ciągu niej nic na los mój wpłynąć mogącego.

Mogę powiedzieć, że zupełnie matkę utracił, która się odemnie odsunęła, zapomniała i zatrzeć się starała pamięć tego, co dla mnie dawniej czyniła.

Kallimach mężem jej czy też przyjacielem był, nikt dociec nie mógł, lecz postępował sobie tak, iż go za pierwszego miano. Choć płocho życia swego nie zaniechał i zabawił się gdzieindziej, nie zaniedbywał zupełnie wdowy, bo ta zawsze pomocną mu być mogła i wielkie posiadłości trzymała, których wydrzeć jej nie było sposobu.

Ztąd dla niej respekt i względy Włoch zachowywał, starając się łask nie stracić.

O mnie w pierwszych latach tego związku niekiedy sobie matka przypominała, przysyłała czasem podarek mały, ale dawała mi to czuć, że się do mnie przyznawać, ani losem moim zajmować nie myślała.

Powoli tak coraz rzadszą była ta pamięć o mnie, a w końcu zostałem zupełnie zaniedbanym.

Kallimach choć względny i uprzejmy, o matce przedemną nigdy ani wspominał, i zdawało się, że chciał mi to okazać, abym nie narzył o zbliżeniu się do niej.

On też, jak mnie Sliziak upewniał, oddalenia mojego był przyczyną. Byłby może i ze dworu mnie postarał się dalej kędyś wysadzić, gdyby nie Olbracht, który ani o tem mówić dozwalał.

Szanował on, czczył Kallimacha i przywiązany był do niego, ale do mnie nawykły, stawał uparcie w obro-
nie mej, gdy o oddalenie chodziło, bo kilkakroć próbo-
wano tego.

Kallimach wyrządziwszy mi krzywdę, musiał mnie za nieprzyjaciela swojego trzymać i posądzał o to, że pomsty był głodnym. Z siebie sądził, gdyż nigdy nawet najmocniej dotknięty, nie żywił długo żalu do nikogo.

Mając nieprzyjaciół wielu, mnie ciągle podejrz-
wał, że im służyć musiałem, chociaż dałem mu dowód,
iż do niego nie żywiłem niechęci.

Było to w tym roku, gdy z naprawy Tęczyń-
skich, bo ci mu Nawojowej odzierania i rad dawanych
królowi przebaczyć nie mogli, uknuto spisek, aby jadą-
cego do Piotrkowa za Kaźmirzem napaść w lesie i zabić.

Wołano na naradach potajemnych, że lepiej jest,
aby jeden mizerny człek ginął, niżby król i królestwo
rozerwane cierpieć miało.

Sam Kallimach, rozповідаjąc lekkomyślnie o mno-
gich mordach i otruciach we Włoszech dla panowania
i polityki dokonanych, niejako oręż przeciwko sobie dawał.

Nigdy u nas rozmyślnie nikt na życie cudze dla
panowania nie godził, dopiero włoski ten obyczaj z jego
nierozważnych powieści znać się nauczyli ludzie.

Przeciwko niemu też go zwrócili. Ośmielony tem,
iż mu się coraz lepiej działo, że pogróżki przechodziły
bez skutku, a w łaski królewskie rosnał, nie wierzył
już w to, aby się na niego targnąć ważono.

Mnie, historję moją znając, ludzie za nieprzyja-
ciela jego poczytywali, i nie ukrywano przedemną, że
na drodze do Piotrkowa zasadzka być ma uczynioną.

Wiedziałem o tem tak dobrze, że i osoby wyzna-
czone i liczbę ludzi, i miejsce, gdzie się zacząć miano,
mógł wymienić. Tytu miał nieprzyjaciół Włoch przeciwko
sobie, że się wszyscy cieszyli tem, iż się go pozbędą.

Natchnął mnie Pan Bóg tą myślą, abym dobrem za
złe zapłacił. Szło o to jednak, by ludzi zbłąkanych nie
wydać na pomstę, a człowiekowi życie ocalić. Długom
ważył jak postąpić.

Dzień wyjazdu się zbliżał. Gotowano konie, wozy
i służbę tak Kallimachową, jak królewską. Ponieważ
Kaźmirz zawsze na te zjazdy burzliwe z licznymi pocztami
zbrojnymi jechał, a po drodze popasy, noclegi utrudnione
były, rozdzielano orszak pański na kilka gromadek, które
w odstępach dnia jednego po sobie ciągnęły. W drugim
oddziale jechał Kallimach z Włochem sekretarzem kró-
lewskim i swoją drużyną. O milę od noclegu drugiego
dnia las gęsty o zmroku przebywać musiano. Tu w heł-
mach zapuszczonych, z twarzami okrytymi osaczyć mieli
kolebkę spiskowi i Kallimacha porwawszy, życie mu
odebrać.

Wszystko było tak dobrze obrachowaniem, iż chy-
bić nie mogło, a zabójcy pewni byli, iż ścigać, ani się po-
chwycić nie dadzą.

Na dni parę przed odjazdem, rano, gdy Włoch
jeszcze się w pościeli wylegiwał, wiersze składając głośno,
bo miał obyczaj taki, że najwięcej leżąc komponował,
wszedłem do niego niepowołany. Widywaliśmy się zdala,
mówili z sobą mało i unikali wzajemnie. Zobaczywszy
mnie, że niechętnym był, brew ściągnął, dając mi poznać,
że nie w porę przychodzę.

— Przebaczenie mi, mistrzu — odezwałem się do nie-
go po włosku. — Nie bywam natrętnym, wiem, że wam
przeszkadzam, ale *periculum in mora*, mówić z wami
muszę.

— W waszej sprawie pewnie? — przerwał mi nie-
chętnie.

— Przebaczcie, nie, w własnej waszej a sądzę, że dosyć ważnej, bo o życie chodzi.

Zerwał się naprzód siadając na łożku, potem ochłoniawszy zaraz, pogardliwie odparł.

— A! znowu plotki! grożą mi tu już od tylu lat, że dawnobym ziemię gryźć powinien, gdyby tyle mieli odwagi, co złości. Tchórze są, a ja ich się nie boję.

— To nie przeszkadza — rzekłem — abyście nie spróbowali sprawdzić tego, o czym ja was chcę przestrzedz. Fałszem-li jest co powiadam, nazwiecie mnie kłamcą; okaże się istotnem, uznacie że wam dobrze życzył.

To powiedziawszy wymieniłem mu czas, miejsce, sposób, w jaki napaść miano i siłę, z którą się na niego zasadzono.

— Wyprawcie — rzekłem — kolebkę prózną jeśli chcecie, a sami jedźcie drogą inną. Przekonacie się że nie kłamałem.

Zamiast mi dziękować, Włoch gwałtownie napadł na mnie, abym mu imiona sprzysiężonych wymienił.

Odparłem, że tego nie uczynię.

Zagroził mi królem; powiedziałem, że ani król, ani tortura nawet do zdradzenia ludzi, którzy zbrodni nie popełnili i kajać się mogą, mnie nie zmuszą.

Sprzeczailiśmy się tak dosyć żywo, ucierając przez dobrą chwilę, poczem wyszedłem.

Kallimach nie nalegał więcej na mnie, ale rady mej posłuchał. Wyprawiono kolebkę, w której nikogo nie było, i sprawdziło się to, com oznajmił. Uczyniono naprędce co było można, by napastników pochwycić, lecz to się nie powiodło, uszli wszyscy.

W Piotrkowie Kallimach się wcale nie ukazał, bo tu na sejmie królowi głośno posługiwanie się nim wyrzucano. Król zaraz potem do Wenecyi go wyprawił na czas dłuższy, aby się umysł uspokoił.

Nie zyskałem przeto wdzięczności u nikogo, owszem

popadłem w podejrzenie, że z nieprzyjaciółmi króla miał stosunki.

Włoch zmuszony oddalić się z Polski, zabiegając temu, aby matka moja dla niego nie zubożała i nie przestała go z bogacać, namówił ją do podróży z sobą.

Pojechała więc — a Sliziak, który jej towarzyszył, opowiadał mi ile cierpiała od człowieka, obchodzącego się z nią nielitościwie, gdy ona bałwochwalczo przywiązana była i wszelką wolę jego spełniała.

Wychowanie albo raczej prowadzenie młodych królewiczów przy Kallimachu, wcale czem innem było niż pod naszym Długoszem, który sam bakałarzem, był dozorcą, towarzyszem i opiekunem.

Włoch w wielu rzeczach na innych się zdawał, przytem oddalał się często; nagle napadała go żarliwość wielka i po całych dniach zabawiał się z panietami, aż znowu tygodniami do nich nie zajrzał. Jednego najwięcej pilnował, to, ażeby sobie miłość ich i zaufanie zaskarbić, i tego dopiął w zupełności. Ale też wiele czynił przeciw wyraźnej woli króla i z tem się tał, a starszym nietylko pobłażał, ale niemal do swawoli ich podzegał, powiadając, że młodość ma swe prawa i wyszumieć się musi, a wyburzyć jak młode wino w kadzi.

Pierwszy Olbracht z tego korzystał, a miało to wpływ na całe życie jego, jak zaraz opowiem.

Przed starym ojcem ukrywano wiele, a królowa matka, choć wiedziała, tała i nazbyt surową dla synów być nie chciała.

Ja zawsze w łaskach u Olbrachta, przez postępowanie z nim Kallimacha często w najprzykrejsze wprowiany byłem położenie. Co starszy dozwalał, temu ja się sprzeciwiać nie mogłem, a czułem w sumieniu mem, że to niedobrem było.

Z pomiędzy wielu domów bogatych mieszczan, do których Kallimach rad uczęszczał, bo go tam szczerze i poczęstnie przyjmowano, skarbiąc sobie przez niego

opiekę i łaski, przedniejszym był niejako Montelupiego Genueńczyka kupca, który naprzód z kupią przybywszy do Krakowa, gdy mu się to powiodło z jedwabiami, wstęgami i wyrobami złotniczymi, sklep tu założył, stale stę osiedlił i mieszczaństwo krakowskie otrzymał.

Miał Genueńczyk już przybywając do Polski majątek znaczny, a ten szczęśliwym handlem nadzwyczaj prędko urósł tak, iż się już stary Montelupi liczył tu do najzamożniejszych. Dom też trzymał taki, że i największych panów w nim mógł przyjmować. Obdzierał ich pewnie na tem co im sprzedawał, ale gdy ich miał u siebie, niczego nie żałował. Najprzedniejsze wina, łakocie, owoce, ciasta na srebrnych misach podawano lepiej jak u króla.

Montelupi stary nie miał włoskiej giętkości Kallimacha, wydawał się rubasznym, prawdomównym, prostym człowiekiem, ale tą dobroduszością okrywał niezmierną zręczność i ludzi znajomość.

Robił też interesa tak szczęśliwe, że gdzie drudzy tracili, on zyskiwał. Oprócz handlu zdaje się, że Montelupi na monecie wiele zarabiał, lepszą wybierając z kraju a gorszą wprowadzając ze Szlązka i z zagranic, którą w obieg puszczał tak zręcznie, że go na tem ułapić nie było można. Sam bowiem jej nie wydawał, ale miał takich, którym to zwierzał.

Trzeba-li było mieniać srebro, dostać złota, przesłać za granicę znaczniejszą sumę nie narażając się na rozbój, oddawano to Montelupiemu.

Maso Montelupi starszy, w wieku już, otyły, oliwkowej cery, bujnego siwego włosa jak drut twardego na ogromnej głowie, oczów jak gałki czarnych, ust odętych, stał na czele domu. Synów miał dwóch: Andreę i Michała. Z tych starszy żonaty z Włoszką Wenecyanką, dzieci miał już małe. A że do nich dozoru potrzebowali i chcieli mieć Włochami potomstwo, służbę mnogą z Wenecyi i Genui ściągali.

Wedle obyczaju włoskiego służba niemal do rodziny się liczyła i poufale z nią przestawała. Nierzadko było przy stole i w izbie gościnnej widywać biegające i krzające się dziewczęta Włoszki, z których młodziszka, wyrostek, czerwono-włosa Lena, Wenecyanka szczególnie z piękności się zalecała.

Mogła mieć naówczas lat czternaście, ale to wiadoma rzecz, że pod niebem górętszem ludzie, kobiety szczególnie, prędzej dojrzewają. Dziewczę było tak rozbudzone i pewne siebie, jakby miało lat dwadzieścia.

Nie powiem ja, ażeby mi piękność jej wydawała się taką jak drugim. Naprzód, co drudzy osobliwie a cudnie znajdowali urodziwem, włosy miedziano-złotego koloru, acz bujne, obfite i lśniące, raziły mnie. Wedle naszych pojęć, rude włosy judaszowskie zawsze źle człowieka piętnowały.

Do tego trzeba dodać dziwactwo natury, bo brwi i rzęsy miała ciemne, oczy czarne a płeć śnieżnej, mlecznej, dziwnej białości delikatnej. Co do postaci samej, tej nie zarzucić nie było można, bo choć pewnie chłopianka prosta i nędznej ekstrakcyi, ale nóżki i rączki miała gdyby królewna.

Nie umiała nic, bo nawet czytać ni pisać nikt jej nie uczył i tyle może, iż modlitw cokolwiek na pamięć ją szczebiotać zmuszono, ale szatan w tej głowie siedział. Niewiastom natura daje częstokroć co miała Lena, chwytają z powietrza wszystko, łapią z rozmów, uczą się śpiąc. Jest w tem tajemnica.

Prosta służąca przy dzieciach Montelupich, ta mała Lena, gdy się do rozmowy zaczepiona wmięszała, trzeba ją było słuchać. Nic jej nie było obcem, wiedziała, znała wszystko, a dowcipu miała tyle, że się starzy zdumiewali i słupieli.

Młoda pani Montelupi sama piękna i lubiąca aby na nią patrzano, nie rada była Lenie w izbach przy gościach, bo gdy się ona ukazała, zwracano się ku niej, zaczepiano i ona się stawiała heroiną.

Kallimach, jak wszystkie niewiasty bez wyjątku czcili i sławili z kolei, pochlebiał im i przez nie sobie na świecie drogi torował, tak i młoda panią Montelupi wielbił, gdyż stary Montelupi synową tę bardzo kochał.

Spędzał tu Włoch jeśli nie całe wieczory, to długie godziny, a raz na przejażdżkę z Olbrachtem i Aleksandrem się wybrawszy za miasto, w progu znalazłszy starego, który uprzejmie na kubek wina zapraszał, choć nie sam był, wraz z paniętami do kupca wstąpił.

Kupcy to sobie mieli za wielkie szczęście, że królewicze próg ich domu przestąpili... Stary dobył co miał najlepszego, aby ich ugościć; nakarmił, napoił, obdarzył, bawił... i tak dobrze im tu czas zszedł, że i przejażdżki trzeba było zaniechać, a o zmierzchu na zamek wrócono — ale o tem wara mówić było.

Znajdowałem się ja przy Olbrachcie, który tu już dorosłego mężczyzny grając rolę, poczynął sobie bardzo śmiało, lecz bardzo przystojnie.

Mówił wiele i dowcipnie, zabawiał się ze starym i młodszym Montelupim, z jejmością, ale mnie tknęło jak żelazem w bok gdy dostrzegł, że posługującej przy stole Leny z oka nie spuszczał.

Było to tak uderzającym, że i inni się na tem poznać musieli; nie umiał się ukryć, nie starał nawet utaić.

Dziewczę, które wiedziało, że to królewicz był, gdy się jej oczy spotkały z jego wejrzeniem, poczęło strzelać ku młodzikowi nawzajem.

Nie wiem co sobie powiedzieli, ale choć jedno do drugiego słowa się nie odzywało, pewien jestem, że od tego pierwszego spotkania zawiązała się miłość między niemi.

Naówczas nikt ani mógł przypuszczać, aby młokos Olbracht miał tak rozgorzeć dla prostej dziewczyny.

Płochym był od piętnastego roku życia i na zamku skargi na niego ciągle zanoszono, ale to za dzieciństwo uważano.

Wzbraniano mu wstępu do izb fraucymeru królowej, karciała matka, strofował ojciec, a skutek był ten tylko, iż w wybrykach swych stał się skrytszym i ostroźniejszym.

Ja, o ilem tylko zdołał, powstrzymywałem od nich i nieraz byłem na gniew narażony. Dawniej z młodszym szło to łatwiej, teraz, gdy dochodził lat dwudziestu, na kiel brać zaczynał i prosto sobie drwił ze mnie.

Parę razy w nocy, z dworzanami przebranego i wybierającego się na miasto, gwałtem musiałem i groźbą zawrócić. Wreszcie to dodać muszę, że gdy go prosił i do serca mu przemówił, często zmiękł. Ale krew była nieunoszona, młoda a temperament szalony.

Gdyby Długosz był do końca wychowanie prowadził, inaczejby go może do karności nałamał—z Kallimachem wszystko było dozwolone, byle publicznego zgorzenia i hałasu nie wywoływało.

Ledwieśmy z miasta na zamek powrócili, gdy Olbracht mnie do siebie zawołać kazał.

Chodził po komnacie śpiewając, włosy długie rękami rozrzucając, śmiejąc się do siebie, postawy różne przybierając, bo jeszcze wino pana Montelupiego w głowie było.

— Jaszku! — zawołał nagle—alboś ty mi wiernym sługą, lub na wieki wrogiem! Przyszła godzina, że się to okaże.

— Jam myślał — rzekłem — że miłość wasza dawno o tem wiesz, gdzie mnie liczyć masz.

Stał, porywając mnie za ramiona.

— Jaszku, ja oszaleję! — krzyknął — ta dziewczyna... Zmarszczyłem się.

— Jaka? gdzie? znowu?

— Jak gdybyś ty nie wiedział i nie domyślał się—ciągnął zapalczywie—a ta Włoszka u Montelupich, z płomienistemi włosami, a oczami jak dyamenty czarne!

Chwycił się za pukle swe rozrzucone i targać je począł.

— Jaszku! ratuj! — zakrzyczał.

Spojrzałem na niego surowo, ale razem jakby o miłosierdzie prosząc.

— Wasza miłość wiesz — odparłem — że ile razy chodzi o podwikę, ja nie pomagam a przeszkadzam. I teraz inaczej nie będzie.

Twarz się Olbrachtowi ściagnęła i pofałdowała namiętnie, groźnie się postawił.

— To wcale co innego jest niż bywało — rzekł. — Oczarowała mnie bestya.

— Ależ to dziecko — odparłem — a i miłość wasza jeszcze...

Nie dał mi dokończyć.

— Dziecko czy nie — zawołał — ja tę dziewczynę pochwycę, ukradnę, porwę, nie wiem co uczynię, ale ona moją musi być!

Nie było sposobu wpół żartami mówić o tem, począłem surowo, naprzód mu stawiać za przykład brata Kaźmirza, który nawet wejrzenia na niewiasty unikał, a jak dziewczę skromnym był, potem starałem się go gniewem ojca ustraszyć, gdyby się dopuścił jakiego szaleństwa, naostatek wręcz oświadczyłem, że nietylko pomagać nie myślę, ale będę przeszkadzał.

Odpędził mnie precz, wyszedłem już za drzwi, odwołał nazad.

— To szatan nie dziewczę — zawołał — nie schodzi mi z oczów. Ale cóż to ma za znaczenie? Prosta jakaś służebna.

— Tak — rzekłem mu — i wasza miłość gościnnie przyjęta w domu Montelupich, wywdzięczysz się im czyniąc przykrość, bałamucąc dziecko, nad którem oni mają opiekę?

Olbracht się zadumał, westchnął.

— Przyznasz — dodał — że wyrostek ten jest tak dziwnej piękności, iż nie służbą, ale panią godzien być. Co za oczy! a jak one patrzeć umieją... we mnie gorzało, gdy na mnie spojrzała.

— Jutro wasza miłość ostygniesz — przerwałem — i zapomnisz.

Chciał jeszcze przedłużyć rozmowę, ale pod pozorem zajęcia mu się wymknął.

Tymczasem tegoż wieczora z Kallimachem się zszedłszy, Olbracht się tak utrzymać nie umiał, iż jemu wyznał, jakie piękność dziewczęcia uczyniła na nim wrażenie.

Włoch zamiast skarcić go, począł się śmiać, o włoskich pięknościach rozprawiać, rzymskie jeszcze nad weneckie podnosząc, opowiadając o genueńskich, o bolońskich, o florenckich i opisując wszystkie, czem się odznaczały.

— Weneckie może nie mają takich rysów wspańiałych jak Toskanki i Rzymianki, ale życia w nich więcej, a tylko blask życia piękność uroczą czyni.

Nie zganiwszy królewiczowi, iż się do Wenecyanki zapalił, nie w tem źródła nie widząc, znajdując to w młodym rzeczą naturalną, ośmielił Olbrachta, a mnie pohamowanie go utrudnił.

Miałem go na oku — wystrzegał się mnie, lecz czułem i widziałem, że nietylko nie ostygł, ale coraz goręcej się tem zajmował, jak w domu Montelupich zawiązać stosunek.

Nie dościgłem tego nigdy, kim się posłużył i jak potrafił się znieść z dziewczyną, ale to pewna, że ona w kilka dni wiedziała o tem, iż się sam królewicz nią zajmował i ona mu głowę zawróciła.

Dziewczę było tak niedoświadczone i głupie, że się tem zaraz przed swą panią pochwaliło i pokazało pierścień z oczkiem, który jej Olbracht posłał.

Zrobił się w domu alarm wielki. Co tu począć?

Jejmość naprzód Lenę chciała wyprowadzić do Wenecji z powrotem, stary Montelupi głową potrząsał.

— Król niemłody — rzekł — wszelkie podobieństwo zatem, że po nim się Olbracht na tron dostanie...

Zamiast go sobie pozyskać, narazić i uczynić nieprzyjacielem, a to dla jednej dziewczyny... nad tem się trzeba namysleć.

Wezwano pono Kallimacha do narady, a można było przewidzieć co z tego wypadnie. Postanowiono ani pomagać, ani przeszkadzać, a patrzeć przez szpary i jakby niewiedzieć o niczem.

Montelupiowa jednak dziewczęciu w sekrecie pogroziła i zapowiedziała, że jej płochoci żadnej nie przebaczy.

Kallimach zdaje się wcale nie myślał przeszkadzać. Przedemną już królewicz nie wspominał o Lenie, nie mówił o tem co przedsiębrał i krył się.

Na czas jakiś przerwało się wszystko tem, że król ile razy na Litwę jechał na czas dłuższy, zabierał z sobą żonę i starszych synów: Kaźmirza, Olbrachta i Aleksandra.

Na zjazdach, przy przyjmowaniu posłów, w uroczystościach panięta w szkarłatach, z włosami utrefionemi stawały obok króla przy tronie, a ludzie się ich piękności, postawie i twarzom miłym przypatrując, odchwalić nie mogli.

Litwa ile razy Kaźmirz tu przybył, pamiętna tych lat jakie spędził w Wilnie i nie mogąc się odżalować, że jej nie pozostał, strzymała go, prosiła aby mieszkał, nie puszczając od siebie.

Tymczasem z Polski najeżdżano z takiemiż prośbami, ciągnąc go do Krakowa, a małopolscy panowie utyskiwali, że taki do nich serca nie miał.

Trudno to rozstrzygać, ale tam, gdzie miłość była większa a władza nieograniczona, pewnie królowi pozostawać łacniej było, gdy w Krakowie sarkano, przeszkadzano i sprzeciwiano mu się nieustannie.

Królowa może wołała Kraków, ale małżonka nie rada była opuszczać.

Olbracht przy królu w Wilnie, Grodnie, Trokach, zapominał potrosze Wenecyanki, biegał za mieszczankami i lada młodą twarzyczką, bo płochy a gorącej krwi był.

A że w tych skrytych wyprawach to się przebiegało, to za dworzanina królewskiego podawał, zuchwałym przytem będąc, spotykały go nieraz takie niemiłe zajścia, iż ledwie uszedł cało.

Mnie się z tem wystrzegał, a dopiero gdy bieda groziła, na ratunek przyzywał.

W tych corocznych podróży naszych, byłem już pewien, że tę nieszczęsną Włoszkę zabył, ale gdyśmy tylko do Krakowa nawracali, wnet ją miał na ustach.

Dwa lata to trwało... dawał do myślenia ten upór nadzwyczajny. Pocieszałem się tem, że dziewczę albo zbrzydnie, lub za mąż wyjdzie, lub do swoich Włoch powróci.

Inaczej się stało.

Gdyśmy drugiego roku na Wawel zawitali, a mnie wypadło nazajutrz podle domu Montelupich przechodzić, ujrzałem w progu Lenę i aże staną, aby się jej przypatrzyć. Zmieniła się mało, tylko rozkwitła ślicznie, wyrosła trochę, z chudości dziecinnej wyszła, a że strojna była zalotnie—oczy rwała ku sobie.

Snadź jej na niczem nie zbywało, bo i ubiór i ozdoby stroju aż do przesady miała błyszczące i obfite. Na szyi łańcuszki weneckie jak nici cieniuchne, na rączkach pierścienie, w uszach kolce, we włosach szpilki i grzebienie. Patrzała tak na ludzi z góry, pewna panowania nad niemi, oczyma szyderskimi ich mierząc, aż dreszcze przechodziły.

Powiedziałem sobie w duchu.

— Daj Panie Boże, aby jej nie widział!

Wcalem tego świadom nie był, iż królewicz tam już miał swe drogi, ludzi ujętych i schadzki umówione.

Mnie podówczas sieroctwem mojem a nieszczęśliwą dolą matki przygnębionego, co innego zajmowało.

Patrzałem się na ten świat, który z młodości mej pamiętałem, tak mi się mieniący w oczach, iżem go nie poznawał.

Owe grono ludzi świętych, pobożnych, natchnionych, które już tu Kapistrana witała tak gorąco, a jego wpływem zwiększyło się i pomnożyło nowymi wybranymi, wymierało i schodziło... Szli jeden po drugim do grobu ci, co żarliwością swą i pobożnością świecili nam i ogrzewali.

Władysław Węgrzyn, uczeń Kapistranów, z jego ramienia tu pozostawiony, zmarł w Krakowie przed kilku laty. Z tych, co za Kapistranem poszli, choć świat ich wabił ku sobie, senatorskie dziecię, możny pan Jan z Melsztyna, który sukienkę dzieci św. Franciszka przyoblekł, a w zakonie imię Wiktoryna nosił, zgasł też przedwcześnie w Tarnowie. Zmarł tak samo królowi ulubiony wielce Michał Bał, syn Jana z Nowego Tańca, stolnika sanockiego, ten, którego Czesi w Pradze na biskupstwo prowadzić chcieli, pożegnał się z tym światem na lat kilka przed zgonem Anioła Ostrowskiego, także w liczbie Kapistrana uczniów zapisanego.

Nie było nas wówczas w Krakowie, gdy mój najdroższy nauczyciel, opiekun i dobroczyńca, błogosławionym za żywota uznany Jan Kanty, w samą wigilię Narodzenia Pańskiego poszedł do niebios po nagrodę za to, co przecierpiał, a uczynił ludziom na ziemi.

Zostałem tylko w kolegium uświęcone jego modlitwami i żywotem cele puste, w których duch jego jakby mieszkał jeszcze, i obrazy stały, przed którymi zwykły się był modlić.

Na drzwiach celi niestarty jeszcze widniał napis, ręką jego położony, jako prawidło obchodzenia się z ludźmi:

Conturbare cave, non est placare suave,
Infamare cave, nam revocare grave.

O wielu cudach jego życia chodziły wieści przed zgonem, chociaż tał się z tem, co czynił, zaprzeczał i wypierał, lecz dopiero gdy zmarł, cała świętość jego

i wszystkie dzieła dobroczynności, miłosierdzia, pokory na jaw wyszły i opromieniły zmarłego. Chłubiła się nim akademia, chociaż nie samą uczonością swą słynał, ale sercem na wzór Chrystusowy urobionem, chlubił Kraków i całe to królestwo, które w nim orędownika nowe w niebiesiech pozyskało.

Bolesnem mi to było nad wyraz wszelki, żem ani za trumną jego pójść nie mógł, ani raz jeszcze wyprosić u niego błogosławieństwa.

Naostatek przedwcześnie przyszło mi stracić drugiego opiekuna i dobroczyńcę w ks. Janie Długoszu, zmarłym w r. 1480, gdy nie mając nad lat sześćdziesiąt i pięć, mógł jeszcze sędziwszego dożyć wieku, gdyż był silnie zbudowany, acz suchy i na wszelkie niewygody i prace zahartowany. Twarz miał surowego wyrazu, nos pociągły orli, oczy żywe, głos przyjemny, chociaż jąkał się trochę.

Życie jego wstrzemięźliwe i skromne, od wszelkiego zbytku dalekie, zdawało się mu rokować lata sędziwsze, ale praca go zabiła. Zachorzał był wraz po powrocie z Pragi na kamień, z którego naówczas doktor Jan Stanko szczęśliwie go uleczył. A gdy chorzał, i król i królewicze okazywali mu tę miłość wielką, na którą zasłużył, odwiedzając i czuwając nad nim.

Od tej pory stękał i niedomagał ciągle, ale pracy nie rzukał. Zliczyć ile podróży, poselstw, pielgrzymek do Jeruzalem, do Rzymu, po różnych krajach odbył, przy niewygodach, pośpiechu, troskach, ile przeżył zmian losu, ile przeczytał, umiał i pozostawił po sobie ręką własną napisanego, a mozolnie pobieranego, nikt podobno nie potrafi.

Żelaznych przekonań był mężem, surowości wielkiej, pracy niesłychanej... W ostatnich latach przyszło mu budując swoim kosztem, fundując bursy, stawiać plebanje, pamiętać o każdej cegle i kamieniu, o każdym wozie i koniu, co je miał przywieźć, o rzemieślnikach, o gro-

szu na nich... A przytem nie schodziły z pulpitu kroniki — nie przebierało się rękopismów i kart, które czytał i spisywał do ostatniej żywota chwili.

Wspaniałym pogrzebem uczcił go król, bo choć była chwila, gdy żał miał do niego i z innemi musiał karać, aby wymódził posłuszeństwo — szanować umiał charakter niezłomny, pobożność wielką, żywot czysty i przykładny.

Szli za trumną jego królewicze i ja z niemi, opłakując nieodżałowanego męża. Królewicz Kaźmirz szczególnie po nim bolał, był też jemu najulubieńszym. Czekala go infuła i arcybiskupstwo, lecz nie potrzebował ich aby zostać w pamięci narodu.

Dla mnie też strata to była wielka, bom w nim miał opiekuna niepokładającego, ale do którego serca i rozumu w złej mogłem uciec się doli.

Odgrażał się Kallimach w początkach, z innemi razem sławiąc zmarłego, iż żywot jego napisze, tak jak dobroczyńcy swojego Grzegorza z Sanoka — ale słowa pono nie dotrzymał. Zbyt wielka była między niemi charakterów różnica, aby się miłować, a nawet zrozumieć mogli.

Celował pięknnością i wytwornością słowa Włoch, czego mu nikt nie zaprzeczy, lecz słowo u niego było wszystkim.

Tak pochwywszy notatki Grzegorza, opisał wymownie dzieje tej wyprawy, w której zginął Warneńczyk, a Grzegorz przy nim był naocznym świadkiem, ale tam swojego nic nie dodał, oprócz pięknych słów i mów w usta zmarłym włożonych. Długoszewego zaś żywota sławić nie mógł, cnoty w nim znajdując, których ocenić mu było trudno, bo ich nie miał.

Tknaćby też był musiał jednej rzeczy nikomu nie tajnej, z której nieboszczyka ani chwalić, ani mógł nawet uniewinnić, to jest: jawnej jego niechęci do rodu królewskiego, nad który Piastów przekładał.

Wziął to uczucie Długosz od pierwszego swojego pana a mistrza Zbigniewa Oleśnickiego, i do końca ży-

wota zachował. Króla szanował, przebaczyć mu nie mogąc, że z Rzymem wojnę wiodł o biskupstwa i na swem postawił. Nie sam też jeden Oleśnicki, nie sami Tęczyńscy, Długosz i garstka mała niespokojnych ludzi ku Piastom jeszcze spoglądała. Okazało się to później, po zgonie króla, gdy do wyboru Olbrachtownego przyszło.

Lecz o tem mówić nie pora.

Następnych lat jnz niemal same klęski zapisywałby potrzeba.

Jakom rzekł, marli ludzie świątobliwi, w ich miejsce jawili się uczeni, wymowni na wzór Kallimachowy, świecką mądrość nad inną przekładający, a obyczajem wyzwalający się z pod prawa chrześcijańskiego.

W cieniach klasztornych skrywała się resztką tych świątobliwych ludzi, która z wieku przeszłego pozostała. W rynkach już na kazania nie zbiegali się ludzie, a i kościoły niezawsze były pełne. Za to po domach życie wesole wrzało i kipiało, jakby ostatka dni szczęśliwszych używać chciano,

Nadszedł też w parę potem lat z Węgier przyniesiony mór straszliwy, który nawiedził Kraków, tak, że się z niego co mogło wynosiło w lasy i pola, a inne ziemie. Od połowy czerwca, oktawy Bożego Ciała, do połowy sierpnia powietrze straszne, śmierć czarna, przeciwko której doktorzy napróżno lekarstw szukali — wyludniła miasto znacznie.

Szczęśliwa była doba, gdy niewiecej w parafii P. Maryi w rynku nad pięćdziesiąt osób na cmentarz wywieziono.

Ludzie padali w ulicach rażeni nagle i często, nim ksiądz pośpieszył z wiatykiem, w okropnych boleściach życie kończyli. A do którego domostwa zastukała kostucha, już tam mało kto, albo nikt nie pozostał. Starzy i młodzi kładli się z kolei.

Trwoga okropna opanowała umysły tak, że dzieci rodziców, a rodzice dzieci odbiegali, lecz i wielkich po-

święceń, a nieustraszonego serca ludzie się znajdowali. Odznaczył się między wszystkimi ów pobożny Michał Gedroń, książę litewski, którego żebrałom i ubóstwu służyło, spowiadając, karmiąc, pojąc, opatrując, grzebiąc niezmordowanie we dnie i w nocy. On i kilku odważnych zakonników, jedni w mieście porządek utrzymywali, a złym i rozpasanym nie dopuścili łupieży i gwałtów. Śmierć bowiem wszystkie węzły posłuszeństwa i poszanowania targała, i jeden tylko ksiądz jeszcze wrażał jakąś trwogę.

Nie stawało trumien, więc na wozach zrzucone ciała wywożono do wielkich dołów, tam je grzebiąc co rychlej, gdyż doktorowie od zwłok gnijących w skwarne dni lata gorszej jeszcze obawiali się zarazy.

Nie było nas ze dworem w Krakowie, wyjechała i matka moja do Nawojowa sama, a Kallimach z nami; więc to tylko wiem, co mi za powrotem opowiadali ci, którzy własnymi oczyma na te dnie sądu patrzyli.

Wszystkie bogatsze mieszczaństwo, więc i Montelupowie do Wrocławia i na Śląsk zbiegli.

W klasztorach zaś nie tylko się nie wyludniło, ale przybyło zewsząd sług bożych, gotowych na śmierć i męczeństwo dla chwały Zbawiciela i oddania mu świadectwa.

W popłochu tym, gdy co żyło, opuszczało miasto, ja na pamięci mając matkę, choć nie chciałem się jej narzucać—pragnąłem ratować.

Pobiegłem do Sliziaka potajemnie. Gotowano się do drogi, myślałem, że z powodu Kallimacha, nie wątpiąc, iż żoną jego jest, matka moja za dworem ciągnąć może.

Sliziak, który strasznie postarzał i nogami suwał, a podróże teraz, nie chcąc pani opuścić, odbywał na wozie, bo już konia dosiąść nie mógł; gdym wpadł, dopytując go co zamyślają, rzekł mi sucho i smutnie:

— Jedziemy.

— Dokąd?

— Do Nawojowa.

Popatrzył na mnie długo.

— Myślicie może, iż za wami pociągniemy?

Głową potrząsnął.

Byliśmy sami; siadł stary i ławę mi ukazał wzdychając.

— U nas się też wiele rzeczy odmieniło—rzekł—czy na lepsze, nie wiem. Obrat nas Włoch, jako żywie chciał, obicia ze ścian i misy ze skarbca pozabierał, dobrze, że kubek do wody zostawił... więc i ostygł znacznie. Jejmość zawsze mu rada, a miłuje go bez miary, ale płacze i oczy wypłakuje, bo widzi, że tam u niego serca nie ma, a bodaj go nigdy nie było.

— Zapóźno, niestety—rzekłem—poznaliście go, gdy już więzów potargać nie można.

Stary ręką rzucił w powietrze.

— A któż to wie?—rzekł pocichu.—Nie byliśmy w Krakowie, gdy się to stało, i ślubu nikt nie widział. Gorsze od niego zaślepienie, które dotąd pani naszej widzieć tego nie daje, iż dla jej dostatków tylko czyhał na nią człek, który się teraz jak ze służebnicą obchodzi.

Zamilkł na chwilę.

— Płacze teraz—dodał—oczy się może przemyte otworzą!

Nie śmiałem go spytać nawet, czy kiedy o mnie nie wspomniła, lub nie dała znaku jakiego, że opuszczonego żal jej sieroty. Sliziak też niechętnie mówił i to tylko, co mu najwięcej na sercu ciążyło. Spokojniejszy o matkę wyszedłem do zamku, gdzie wozy już stały gotowe, i wyruszyliśmy w tę podróż, z której dopiero zimą mieliśmy powrócić.

Byliśmy za miastem, konno jadąc wszyscy z królewiczami, gdy Olbracht konia swego zatrzymawszy, dał mi znak i na stronę ze mną odjechał.

— Montelupowie też wyjechać musieli?—zapytał.

Spojrzałem nań zdziwiony.

— Dziewczyny mi żal i niepokój o nią mam taki, że bodaj w mórbym nawrócić, aby ją ocalić. Przecież ją w Krakowie nie porzucę?

Zburzony byłem i smutny tak, że mu wyrzucać zaczął, iż w takiej godzinie o płochych jeszcze myślał rzeczach.

— Płochych! — zawołał, oczyma mnie groźnemi mierząc. — Dla mnie to nie płocha sprawa, bom do niej się sercem przywiązał całym, a ona do mnie... a gdybym ją utracić miał, życieby mi obmierzło.

Ruszyłem ramionami.

— Ale z wami o tem nie gadać! — dodał gniewnie i obrócił się do młodego Bobrka, na którego skinąwszy, poszeptawszy z nim, uspokojony już dalej jechał, snadź dowiedziawszy się czego żądał.

Tak tedy daleko było zaszło, o czem ja dopiero teraz ze smutkiem się dowiedziałem.

Nie odjął mi łask swych, ani serca Olbracht, ale nie chcąc mu posługiwać do tych pokątnych miłostek, straciłem zaufanie jego, nie zwierzał mi się już z niczem, Bobrka do tego używał, i co dawniej wielkie czynił obietnice, teraz dawał mi to czuć, iż się na nowo zasłużył muszę.

Lubił rozmowę ze mną o rzeczach obojętnych, wiedział, że się wygadać może, bo go nie zdradzę, a ulgę mu to czyniło, gdy co miał na sercu zrzucił — lecz coraz dalej stałem od niego.

Być może, iż wpływ Kallimacha do tego się przyczyniał, a ten był coraz większy.

Wielekroć to powtarzałem, że król Kaźmirz, choć głównemi sprawy zajęty nad miarę, na które pamięcią i rozumem ledwie było w mocy ludzkiej wystarczyć, jednak i w najmniejszych drobnostkach świadomym był wszystkiego, co się synów, dworu i osób do niego należących tyczyło.

Na mnie jednak maluczkiego od dawna się nie zdawał zwracać uwagi, i zdziwiłem się, a niemal przeraziłem się tem, gdy w podróży do Grodna nie dojeżdżając, na noclegu zawołano mnie do niego.

Szedłem z bijącym sercem, lękając się, czy mnie niesprawiedliwie nie zaskarżono przed nim o pomoc Olbrachtowi w wybrykach jego, które król surowo karać był zwykł.

Zastałem go siedzącym za stołem z jednym tylko lekarzem swym, który widząc mnie wchodzącego wysunął się.

Stałem jak winowajca przed nim, ale twarz miał choć smutną, nie gniewną jednak. Podniósł oczy ku mnie.

— Niemało już lat służysz wiernie — rzekł do mnie — a nigdyś żadnej rzeczy odemnie nie żądał... Patrzałem na was i chwałę tę poczcziwość. Myślałem, że los ci inaczej zabezpieczy przyszłość, abyś na stare lata miał kawałek chleba. Słyszę, że inaczej się to obróciło.

Pomilczał trochę.

— Nie masz nic... he? Olbracht cię, słyszę, miłował i miał trzymać przy sobie, ale ten wkrótce nie będzie mógł nikomu nie świadczyć, bo wszystko strwoni... Pamiętałem o tem, abyś był słusznie wynagrodzonym.

To mówiąc król ze stołu wziął przygotowaną kartę i podał mi ją osłupiałemu ze zdziwienia. Rzuciłem się do nóg, obejmując je z płaczem wdzięcznym, lecz podniósł się zaraz i przerwał mi.

— Dosyć tego, dosyć. Bóg z tobą!

Rękę mi położył na ramieniu.

— Taka jest wola moja, abyś teraz na czas był od służby oswobodzony i jechał tam objąć, com ci dał. Powracaj rychło. Zostaniesz przy mnie, bo wiernych sług mi potrzeba, a Olbrachtowi i później będziesz mógł posługiwać.

Jakby na dany znak wszedł znowu doktor, za nim

kapelan i ks. podkanclerzy, a jam z papierem w ręku, z sercem bijącym z komnaty się wydostał, sam nie wiedząc co niosę.

Cudem mi się to wydawało.

Przy zapalonej pochodni, otoczony ciekawemi, bo się wszyscy cisnęli dowiedzieć co mnie spotkało, począłem czytać owo królewskie nadanie. Zawierało ono wiekuiście dar ziemi z osadami włościańskimi pod Lidą, Pacewiczami, Horszyszkami i Druskawą.

Temu, co nigdy nie miał nic, ani się cokolwiek posiadać spodziewał, było to bogactwem niezmiernem. Anim jednak wiedział co mam.

Z Litwinów, którzy na dworze byli, żaden nie znał miejscowości i objaśnić mnie nie umiał. Natychmiast musiałem się wybierać na grunt, aby wioski objąć w posiadanie, ale i w tem była trudność niemała.

Żołd mając nie wielki, nie było z czego oszczędzać i zapasu zrobić, przeżywało się na dworze często to, co dawano ze skarbu, i więcej. Naówczas więc w kieszeni nie miałem nad parę kop groszy, z którymi się w drogę puścić nie było sposobu.

Poratowałyby mnie pewnie przyjaciel Zadora, gdyby z nami był; ale od lat kilku tak się haniebnie rozżył, rozpał, że go w podróż nie brano, a na czas niebytności dworu w Krakowie, do rodziny wyjeżdżał na wieś spoczywać i tam piwo z grzankami pijąc, jeszcze się tylko więcej rozpasał.

Inni towarzysze nie wiele też mieli grosza. Przemysliwałem więc, jak radzić sobie, gdy nazajutrz podskarbi mi od króla wręczył zasiłek na podróż tak, żem nie ociągając się już mógł wyruszyć.

Po drodze przepytując, dowiedziałem się o przyszłej majętności mojej, iż choć opuszczona, bo dzierżawami była dawana, ale dobry kawał chleba dać mogła. Ziemi i lasu było pod dostatkiem, woda, stawek i młyn... więc tylko Panu Bogu i łaskawemu panu dziękować.

Teraz, gdy mi przychodzi po latach już wielu mówić o tem, jakim po raz pierwszy wjeżdżał na tę ziemię, którą moją nazwać miałem prawo, zdaje mi się, że nigdy nie potrafię uczucia tego, z jakim na granicy u krzyża ukląknę, opisać i wypowiedzieć. Budziła się jakaś osobliwa miłość, jakaś radość z tego związku pomiędzy tym kątem a mną—niewysłowna. Zdawało się tu wszystko innem niż na całym świecie, lepszem i do duszy przemawiającem. Mogę to rzec śmiało, żem był jak pijany i tak szczęśliwy, że zajechawszy do Pacewicz, nie zważałem na to, co mnie tu spotykało i czekało!

Nie powiem już nie o dworze, a raczej starej chałupie, którą dzierżawca tyle tylko że podpierał, bo mając obok własną majętność, o Pacewicze nie dbał i z nich tylko co mógł wyciskał.

Miałem nadanie królewskie, o którym tu już wiadano, ale odebrać majątek natychmiast było trudno. Tysiącznemi wykrety bronił się, albo raczej wytargować na mnie chciał dzierżawca wykup. Składał rachunki, świadczył się ludźmi, podpierał zwyczajami, tak, żem musiał, niecierpliw będąc wnijścia w posiadanie, dobrze mu się opłacić.

Brałem wprawdzie majętność znaczną, ale spustoszoną i bez żadnego inwentarza. Ten, który dzierżawcy był zdany, okazano jako wymarły i zginiony dla mnie. Sam na gospodarstwie nie mogąc tu pozostać, bo mi król na służbę nie już do Olbrachta, ale do siebie powracać kazał, musiałem szukać człowieka, któremubym Pacewicze powierzył i grosza na zagospodarowanie.

Wiedziano o tem, żem królowi służył i przy nim stał; cokolwiek mi to miru u ludzi dawało, ale karmiono mnie słowy i pokłonami, ale z mieszkaniem każdy się trzymał ostrożnie.

Raili mi tam zaraz ożenek w sąsiedztwie z dziewczką szlachecką, która wiano miała i rodzinę, mogącą się zająć Pacewiczami, alem ja ochoty do tego nie miał, Lu-

chny z pamięci nie mogąc wypuścić — a cobym z żoną miał czynić przy dworze?

Służby zasię przy królu moim, dopóki żywota jego, nie mogłem rzucić przez wdzięczność samą.

Przyszło więc naostatek tak radzić sobie, jak od wieków u nas wszyscy — u żyda na lichwę pożyczyć pieniędzy, a ubogiego szlachetkę ugodzić i posadzić na wiosce — Bogu resztę zlecając. Grosza na teraz dla siebie nietylko żadnej nie było nadziei, ale go jeszcze szukać musiałem na zagospodarowanie. Dwór nowy stawić, młyn upadły podnieść, inwentarz skupić było potrzeba. Wszystko to raczej ciężar niż bogactwo stanowiło, ale człek sobie myślał, iż dach własny ma i schronienie, a ziemię rodzicielską pod stopami, z której go nikt, chyba Tatar, mógł wygnąć.

Śpieszyło się jak mogło z tem, a jednak czasu dosyć upłynęło i dopiero w końcu lutego wybrałem się gonić za królem, który już z Wilna jechał do Grodna.

Po drodze doszły mnie wieści smutne, iż królewicz Kaźmirz, owa perła czysta pomiędzy dziećmi pańskimi, najprzedniejszej wody, coraz słabszy, kaszlący, wątły, bez oddechu, w kolebce wieszonym być musiał, a lekarze serce królowej przygotowywali do strasznego ciosu.

Miała Elżbieta dzieci poddostatkiem, lecz zawsze to jest najulubieńszem, które tracimy, a wistocie Kaźmirz u rodziców i u wszystkich miłość taką miał jak żaden.

Nie było już ratunku, tak choroba górę wzięła. Przypisywali ją lekarze temu, iż żywot prowadził żadnej krewkości młodzieńczej nieprzystępny, czysty a anielski. Myślano go żenić, lecz otwarcie wyznał, iż czystość Bogu ślubował.

Słabowitym tak będąc, gdy noce często całe spędzał na modlitwie pod krzyżem na zimnie, albo w kościele krzyżem leżąc, poszcząc tak surowo, iż po kilka dni często tylko chlebem i wodą się żywił, nie dziwnego, iż w końcu siły zupełnie utracił.

Osobliwszem zaś było, że nigdy tak pięknym anielsko nie był jak naówczas. Włoch Contarini, który przez króla był niegdyś przyjmowany w Trokach, nie mógł się dosyć nachwalić piękności Kaźmirza i Olbrachta; ale od tych lat królewicz rosnąc, można powiedzieć, jeszcze cudniejszym się stał na obliczu.

Coś tak słodkiego, anielskiego miał w uśmiechu i wejrzeniu, iż ludzie patrząc nań, na twarze padać chcieli. Zdawało się, że nie na ziemi tej zrodzony był, ale na nią zstąpił... i tylko skrzydeł mu brakło, aby aniołem być.

I oblicze to wcale nie uwodziło; był bowiem niewysłowionej dobroci, a kto chciał mieć orędownika, lepszego nie znalazł nad niego, zaś co sam miał, niewiele tego było, rozdawał tak, że mu sukni często brakło a grosza zawsze.

— On też dla siebie nie potrzebował nic i gdyby się był w najuboższym stanie narodził, nieby mu to nie dolegało.

W tem dobrowolnem ubóstwie bił od niego taki majestat królewski, jakby w złocie i purpurze chodził, których nie cierpiał, bo napodziw pokornym był. Tylko gdy mu nakazano, suknię szkarłatną przywdziewał i tę natychmiast i otem zrzucił.

Dworacy często tę pieśń śpiewali, że po ojcu tron mu się należy, na co, uśmiechając się pogodnie odpowiadał, iż królestwo jego nie jest z tego świata.

Król dla dzieci surowy, a teraz nawet na Władysława czeskiego zagniewany, bo mu nie dosyć posłuszeństwa okazywał, Kaźmirza można powiedzieć, szanował i nigdy go w tych latach nie strofował nawet.

Nie sprzeciwiano mu się już, gdy wbrew lekarzom, posty i modlitwami się męczył. Mało było nadziei żywota.

Gdym przybył ostatnich dni lutego do Grodna i zaraz przy królu komornika objął służbę, dowiedzia-

łem się, iż Kaźmirz drogą znużony osłabł bardzo, gorączki dostał i doktor mu spoczywać kazał. Nikt jednak, oprócz niego samego, zgonu tak rychłego nie przeżywał.

Marcowe pierwsze dni ostre były i zimne, zamczy-sko w Grodnie, choć niby opatrzone na przyjazd króla, izby miało chłodne, dymne, a piece, w których po całych dniach palono, źle je ogrzewały.

Nie dawano się już królewiczowi nawet do kaplicy wychylić z komory, więc ze swoim Konarskim ołtarz zaraz w niej zbudował, obraz N. Panny, który zawsze z sobą miewał, nad nim zawiesił i po całych dniach modlili się przed nim i śpiewali.

A że wielki post był właśnie, więc dni suchych w tygodniu połowa, gdy doktorowie posiłek lepszy zalecali, ale napróżno... Jedzenia, które przynoszono, królewskie psy pono zjadały, a oni żyli chlebem i wodą.

Czwartego marca wreszcie poszedł anioł do nieba, a kto go widział zmarłym w trumnie, nigdy nie zapomni, bo ta piękność, jaką się za żywota odznaczał, po zgonie jeszcze stokroć cudniejszą się stała. Zdawał się uśpio-ny uśmiechać błogo.

Zalu po nim opisać trudno.

Nawet Olbracht, który do płaczu wcale skłonny nie był, a z bratem tym, choć się kochali, mało obcował, bo ludzie byli zupełnie odmienni, przez dni kilka jak osowiały chodził.

Olbrachtowi teraz prawo starszeństwa koronę zapowiadało.

Powróciliśmy do Krakowa, gdy mór już był zupełnie ustał, ale po nim jeszcze mnogie tu ślady zostały. Do niektórych kamienic, w których ludzie wymarli, nie śmieli się jeszcze wnosić nowi mieszkańcy, choć je na nowo poświęcono i oczyszczono. Brakło wielu znajomych, wspomnienie strasznych dni było na wszystkich ustach i w pamięci... Mnóstwo chodziło w żałobie.

Z duchowieństwa zabrakło Szymona z Lipnicy, świątobliwego męża, którego ciało pochowano na Stradomiu. Kraków też wogóle posmutniał i życie w nim jakby się wstrzymało, gdyż kupcy przerażeni wieścią o morowem powietrzu, jeszcze się tu przybywać ociągali. Mniejsi tylko przekupnie ważyli się potroszę.

Gdyśmy się tu znaleźli znowu, a już z inną powagą witałem dawnych znajomych jako *possessionatus* czego mi wieszowano i Kallimach też z pewnym przekąsem przywitał mnie, dziwując się, iż służby nie porzuciłem.

— Owszem, gorliwiej jeszcze teraz panu memu łaskę zawdzięczać muszę — rzekłem. — Żal mi tylko, że królewicza Olbracha opuszczam, do którego długimi laty się przywiązałem.

Nic nie rzekł na to.

Nie śmiałem pytać nikogo o matkę moją, ani nawet zajrzeć do domu pod złotym dzwonem. Pragnąłem się dowiedzieć czegoś o niej i obawiałem razem, tak że parę razy będąc na mieście, pomijałem kamienicę, nie śmiejąc spojrzeć, czy tam kto jest.

Odkładałem od dnia do dnia z obawy, aby się o czemś złem nie dowiedzieć. Ze sług i przybocznych Kallimachowych, choć mógłby był mnie może który objaśnić, nie chciałem ich badać.

Upłynęło dni kilka.

Teraz już do tego, co się z Olbrachtem działo, mieszać się i niepokoić o to nie miałem żadnego powodu. Zaraz po powrocie naszym na dworze, głośnem być poczęło, że Włoszkę od Montelupich wzięto, osobno ją osadzono, opatrzone obficie, dwór jej niewieści przydano i królewicz ze swojemi zaufanemi wieczorami do niej uczęszczał.

Pozornie jednak ukrywano to, i Włoszkę pono Kallimach miał w swej zwierzchniej opiece. Ale tajemnica na dworze i w mieście trudno aby się utrzymała, tembar-

dziej, gdy się ona tyczy królewskiego syna, który w przyszłości po nim królować ma.

Rozpowiadano więc o Włoszcze, o piękności jej i o władzy, jaką nad niestałym i płochym Olbrachtem miała, a przypisywano ją nie tylko niezwykłej piękności, ale również nadzwyczajnemu dowcipowi i talentom, które jej w tych latach przybyły. Śpiewała bowiem, grała na cytrze i we włoskim tańcu zachwycającą być miała.

Gdy Olbrachtowi grosza częstokroć brakło, około Włoszki był przepych wielki.

Zalecano się przyszlęmu panu, obsypując podarunkami kochankę.

Zarazem też niezbyt pochlebne o niej głoszone rzeczy, jako płochą była, zalotną i przewrotną. Mówiono, że z królewicza się z innymi naśmiewała a nie tała z tem, iż wcale go nie kochała.

Z doświadczenia znając ile ludzkim językom wiary dawać można, puszczałem to mimo uszów, nie myśląc sprawdzać, gdy marszałek dworu wezwawszy mnie do siebie objawił wolę króla, abym starał się bliżej poznać ten stosunek, o którym już doszła go wiadomość.

Nie chciał Kaźmirz ani się w to wdawać, ani okazać, że już był zawiadomionym, a niepokoił się o syna. Wolał może, iż jedną miłośnicę miał, niżby płochą, jak dawniej, po mieście ich złada kim blakając się, wyszukiwał.

Kallimach zaś w rozmowach powtarzał ciągle, iż młodość ma prawa swe i że na wiele jej sprawek przez szpary patrzeć potrzeba.

Zafrasowałem się nie mało polecenie otrzymawszy, które mi dawnego pana mojego nakazywało śledzić a może oskarżać.

Lecz wolę króla spełnić musiałem, zwłaszcza iż ona z dobrem młodego panięcia się godziła i ono tylko miała na celu.

Nie wiedziałem zrazu tylko jak to spełnić, czego wymagano po mnie, gdy tegoż dnia, jakby z umysłu Olbracht mnie wieczorem spotkawszy przechodzącego, zawołał do siebie.

— Jużes to się tak mnie wyrzekł—odezwał się—że do mnie ani zajrzysz?

— Wiesz wasza miłość, że jakom dla niej serce miał, tak je zachowałem—odparłem — ale inni zastąpili mnie, potrzebnym nie jestem.

Poklepał mnie po ramieniu śmiejąc się

— Radbym ci się pochwalił — rzekł mrugając oczyma — i moją Lenę pokazał, ale ty, stary djabie, sromać się będziesz pójść do niej ze mną. He? Wieczorem biorę jednego Bobrka! Pójdiesz z nami?

— Dlaczegożbym zaproszony gościem nie chciał być — odparłem po namyśle — byle gospodyni mnie za drzwi nie wyprawiła.

— Jam ci tam gospodarzem—zawołał królewicz — Gotuj się wieczorem ze mną, ale wara mi od Włoszki! Zdala się tylko do niej modlić wolno, bom zazdrosny.

Tak stało się, że mnie sam Olbracht do onej Leny wprowadził.

Teraz owego skromnego dziewczęcia ani było poznać w niewieście po pańsku wystrojonej i takie sobie dającej tony, jakby wistocie panią wielką była zawsze.

Stara kobieta czy wistocie matka, czy krewna w zwykłym ubiorze prostych wieśniaczek, ale bardzo wytwornym, była jej towarzyszką. Znać w niej było chłopiankę, bo nawet językiem takim mówiła złamanym, iż się go uczyć było trzeba, ażeby zrozumieć, choć się włoskim nazywał.

Królewicz jak sam wystawność lubił, tak i tu na nią nie żałował. Przepych więc był wielki, ale ładu i czystości mało.

Wesołość panowała jakby z nakazu dla ubawienia

królewicza. Wybuchła gdy się ukazał tylko i nie ustała, aż do wyjścia naszego. Zdawała mi się udaną i sztuczną, ale Olbracht rad jej był. Więc i śpiew, i gra, i tańce, i szept, i śmiechy, i zalotne napaści przy świadkach na przemiany szły po sobie. Wino i łakocie zjawiały się na stole i nie zeszły z niego przez cały czas gdyśmy gościli.

Bobrek i ja trzymaliśmy się zdala, lecz Lena i nas zaczepiała, a że ze mną po włosku mówić mogła, zwracała się często z dowcipami, które śmiechem i oklaskami płacić było potrzeba.

Od tego czasu gdy ją widział raz ostatni stojącą we wrotach kamienicy, nie przybyło jej wdzięku, ale śmiałości, zalotności i zręczności bardzo wiele.

Młoda jeszcze twarz okazywała znużenie, chociaż już ją Lena małowała. Czy tylko miała może wyrazistsze i piękniejsze, więcej mówiące niż wprzód, choć nie nie mówiły.

Zdawała się bardzo pewną panowania swojego nad Olbrachtem, bo z nim postępowała zuchwale, i sam widziałem tego wieczora, gdy bawiać się policzek mu dała. Zecerwienił się okrutnie, lecz my z Bobrkiem udaliśmy, żeśmy tego nie spostrzegli i wnet zgoda nastąpiła znowu.

Miał na szyi łańcuch królewicz pancerzowej roboty, bardzo piękny. Nie wiem czy po raz pierwszy go oglądała, lecz naprzód zaczęła przypatrywać mu się pilno, potem zdjęła z szyi Olbrachtowi, włożyła na swoją, poszła się przejrzeć do zwierciadła i choć królewicz nadąs go mieć chciał i wykupić, nie myślała oddać.

Został przy niej. Bobrek mi podszeptał, że tak prawie codzień bywało, iż pana ze wszystkiego odzierała.

Pieniądzy też nigdy dosyć nie miała, a ciągle ich będąc żądną, dopominała mu się o nie.

Wszystko to pospolite były sprawy u niewiast ta-

kich jak ona i dziwić się nie było czemu, najgorsza zaś, że o płochości wiele rozgadywano i imiona młodzieży stawiano, które u siebie przyjmować miała, gdy się nie spodziewała Olbrachta.

Ten tak był zaślepiony, że choć go przestrzegano, wierzyć temu nie chciał. Pochlebiał sobie, że podniósłszy ją tak wysoko, na wdzięczne serce rachować może.

Wcale niezbudowany a smutny po północy już wyszedłem z królewiczem od niej.

— A cóż? — zawołał ledwie za próg stąpiwszy — nie szatanże ta Włoszka? i gdzie na świecie druga jej podobna? Nie miałem ja dla niej szaleć i rozmiłować się wściekle?

Nie wtórowałem pochwałą tym, za co się królewicz niemal nadąsał na mnie.

— Wszyscy mi zazdrościcie — rzekł — i dlatego każdy cośby jej rad zarzucić, ale to cud niewiasta.

— O tem mnie wiedzieć — odparł Olbracht. — Nie wiasty jak ona wesołe i zalotne, cnotliwsze są niż te, które skromnisie udają. Tak mówi mistrz Kallimach, Experiens — dodał śmiejąc się, a on i w sprawach miłosnych experiensem zwać się może!

To mówiąc królewicz na głos począł deklamować wiersz łaciński, który Experiens na cześć pięknej Leny ułożył.

Opowiedziałem nazajutrz marszałkowi com widział, nie tając tego, że dziewczę płochem się być zdaje.

— Tem lepiej — odparł mi — więc może się Olbracht zrazić w końcu, a dobrzeby było, aby zbyt nie przywiązywał się do niej.

Opowiedziałem i łańcucha historię, na co ramionami ruszył.

Nie stawiono żadnych przeszkód królewiczowi, przez szpary na to patrząc.

Zajęty służbą moją komorniczą przy panu, więcej teraz mogłem przypatrzeć się pracowitemu życiu jego.

Ileż to już lat ono nieustając trwało a pod koniec właśnie sprawy węgierskie i czeskie trudności mnożyły, trosk dodawały.

Kallimach widząc, jak z własnej szkatuły musiał król na zaciągi dawać ciągle, ile miał z sejmami i ziemianami trudności, nalegał bardzo na uczynienie w domu naprzód zmian takich, aby rząd królowi bez odwoływania się do zjazdów ułatwiał.

Lecz król już za starym był, aby tak niebezpieczną sprawę chciał rozpoczynać. Składał to na syna, nie ważąc się do tej walki, gdy ich i bez niej miał wiele.

Bolała go strata Kaźmirza, choć ten pomocą żadną być nie mógł, a więcej pono jeszcze niewdzięczność Władysława czeskiego, który ojcu tron był winien, a mimo dobroci swej wcale mu się nie dał powodować.

Już raz zaproszony na gody, gdy król córkę za mąż wydawał, nie przybył na nie, choć wiadano, że nic mu nie przeszkadzało, krom tylko, iż sam w Pradze z panami pod ten czas biesiady szumne odprawiał.

Zagniewanym był król wielce za to, a donoszono mu też, że na Węgrzech Władysław miał sobie przychylnych, którzy w zamiarach Kaźmirza szkodliwymi być mogli.

Dorastali królewicze, których dwu odjawszy, zmarłego i wyposażonego, pozostawało czterech do pomieszczenia. Jednemu z nich tron polski się należał i nikt naówczas ani mógł pomyśleć, aby to było wątpliwem, drugi do stanu duchownego przeznaczony już sukienkę nawet nosił, choć wcale powołania nie okazywał, a charakterem i temperamentem do Olbrachta był najwięcej podobny.

Z dwu ostatnich Aleksander powolny, milczący, miły, niewiele obiecywał, ale i nie zdawał się też siłą pragnąć, bo mu pieśni, muzyki i wczasu starczyło do szczęścia.

O Zygmuncie naówczas wróżyć nikt nie umiał.

Z pozoru i powierzchowności trochę Aleksandra przypominał, ale zdolnościami go o wiele przechodził. Milczał tak jak on, odezawszy się jednak zawsze krótko, zwięźle, rozumnego coś powiedział.

Kallimach, znawca ludzi, obiecywał po nim wiele. Twarz miał na oko surową, namarszczoną już za młodu, brwi ściągał groźnie, ale dobroci był wielkiej i charakteru szlachetnego.

Młodszy od niego Fryderyk dowcipem łatwym, umysłem żywym górował nad nim, lecz niepomiernie płochy, bawić się lubiący, niespokojny, w niczem długo wytrwać nie mógł,

Kallimach, który sam powagi nie miał, chyba gdy ona z rachuby się okazała konieczną, Olbrachta i najmłodszego najwięcej lubił, Aleksandra sobie lekko ważył, a Zygmunta nie umiejąc pozyskać, był dla niego obojętniejszym.

Całe swe staranie zwracał na to, aby Olbrachtem ovladnąć, co mu się też udało, bo mu pobiłał i pochlebiał, a samo poufałe obejście się mistrza z uczniem, już serce jego jednało.

Nim ostatek lat panowania Kaźmirzowego po krócie opowiem, o sobie też coś rzec muszę.

O matce mojej żadnych zdawna nie mając wiadomości, gdy i Kallimach zdawał się, o ilem mógł wnosić całkiem o niej zapominać, przypuszczałem iż w końcu o niewierności i przewrotności człowieka tego przekonana, musiała pozostać w Nawojowie, zerwawszy z nim, choć go mężem jej mieniono.

Mimowoli mej dowiedziałem się tego czasu, iż dom pod złotym dzwonem, który sprzedanym sądziłem, stał prawie pusty, a liczył się zawsze własnością wdowy Tęczyńskiej.

Dnia jednego, gdym się najmniej tego spodziewał, nieznanym chłopak przyszedł od Sliziaka wezwać mnie,

abym do niego przyszedł, gdyż stary podróż odbywszy niemocen był.

Wyprosiłem się natychmiast u podkomorzego i pobiegłem. Na dole okiennice dawniej zamykane stały otworem i tu mnie posłaniec wprowadził.

Leżał Sliziak na świeżem sianie i stękając mnie przyjął. Nie śmiałem go o nic pytać, taki strach mnie ogarnął.

Lękałem się o matkę.

Kochałem ją zawsze, teraz może wiedząc że nieszczęśliwą była, więcej niż dawniej. Żalu nie miałem, choć mi zapomnienie przez nią bolesnem było; czułem że przyczyną jego stał się ten człowiek, który wszystko i wszystkich gotów był poświęcić dla siebie.

Sliziak zestarzały, zgrzybiały... ledwie dyszał, patrzył na mnie i ręka, którą podniósł, trzęsła mu się... nie miał siły dobyć głosu.

Przeczuwałem już złą wieść.

Wtem drzwi się otwarły boczne rzucone silnie i w progu stojąca pokazała się matka moja... o Boże! jak strasznie zmieniona, wychudła, zestarzała, z włosami białemi, z twarzą pomarszczoną, wśród której tylko wypłakane oczy jej świeciły.

Miała na sobie dawny strój terecyarki—pokutnicy.

Rozpostarła ręce, wyciągając je naprzeciw mnie i krzyknęła głosem, który przejął mnie do wnętrzości.

— Jaszko!

Znalazłem się naprzód u kolan jej a potem w długim uścisku.

Trzymała mnie tak płacząc przy sobie. Sliziak tymczasem zwłóknął się z łoża swego i widząc jak drżała siedzenie jej podsunął, na które padła zachodząc się od łez.

— Możesz ty mieć serce jeszcze dla wyrodnej matki? — poczęła z bólem! A! ten człowiek, ten czło-

wiek spotwarzał cię, tyś był i jesteś lepszy niż my wszyscy, a ja... a ja! o mój Boże!

I rozplakała się znowu.

— Ale teraz poznałam go i sobą się brzydzę, żem się uwieść i oszukać dała. Mój Jaszku! wszystko naprawione zostanie.

— Wszystko już zostało naprawionem i zapomnianem, kochana matko—rzekłem—jak skoro łaskę mi swoją przywracasz. Więcej nad nią nie pragnąłem nigdy i nie żądam.

Po tylu latach niewidzenia znalazła mnie zestarzałym. W początku o dołę moją zapytywać nie śmiała. Odezwała się w końcu.

— Zawszeż jeszcze dźwigasz jarzmo służby królewskiej i to jeszcze pod zwierchnictwem niegodziwego sprawcy nieszczęścia mego.

— Dzięki łasce królewskiej—odezwałem się—nie ciąży mi służba, do której nawykłem. Od królewicza Olbrachta przeszedłem do boku pana naszego i jestem przy nim komornikiem. Król o mojej przyszłości pamiętał nawet—dodałem — bo choć go nie prosiłem o to, kawałkiem ziemi pod Lidą mnie obdarzył. W najgorszym więc razie mam kątek własny i schronienie.

Słuchając tego matka moja podniosła się nieco i bladą jej twarz oblał na chwilę rumieniec, ale natychmiast pobladła znowu, pochyliła się i zadumała głęboko.

Zaczęła potem słabym głosem opowiadać, jak jedynie dla mnie teraz przybyła i widzieć mnie była spragnioną.

— Nie rozstaniemy się już więcej—dodała—król was odpuści dla mnie, sług ma dosyć.

Miałem się odezwać prosząc jej, aby mi pozwoliła nie opuszczać pana, do którego się przywiązałem, gdy zaturkotano przed domem; wywłóknął się Sliziak i powrócił poruszony, bełkocąc a na drzwi wskazując. Oznajmował wylekły o przybyciu Kallimacha.

Na samą wzmiankę tego imienia, porwała się ze zgrozą matka moja i z krzykiem zawołała.

— Precz z nim! precz! niema mnie na świecie dla niego! Powiedz mu to, że umarła dla niego, że widzieć ani znać go nie chcę.

Oczy jej pały gniewem.

Idź—powtórzyła Sliziakowi — mów mu śmiało, że dom ten zamknięty na zawsze dla niego. Precz z niegodziwym.

Wyrazy te, jak się zdaje, musiał stojący podedrzwiami usłyszeć Włoch, bo gdy Sliziak wyszedł mu oznajmić rozkaz matki, już go nie było.

Odjechał, nie ukazując się tu więcej.

Znaczną część dnia tego spędziłem uspokajając matkę i starając się ją o mojej synowskiej miłości przekonać. Nigdy dla mnie się tak czuła i serdeczną nie okazała. Chciała mi nagrodzić wszystko com wycierpiał.

Znowu więc służbę moją podzielić musiałem pomiędzy starego pana i nieszczęśliwą matkę.

Pokój powracać zaczął do jej duszy razem z pobożnością, której się cała oddała. Jedyń jej troską był los mój. Chciała mnie widzieć swobodniejszym, niezależnym, majątnym a naostatek żonatym.

Gdy mnie o to naciskała, musiałem się jej przyznać, że w sercu nosił ową Luchnę, dla miłości której postarzałem bezzennym, nie wiedząc nawet co się z nią teraz dzieło.

— Czekaliście na siebie za długo — rzekła — i ona też już nie młoda i nie tak piękna jak była, ale za męża pono nie wyszła.

— Jeżeli kiedy żenić się mam—odparłem—to tylko z nią, jakkolwiek ją dziś znajdę, kochać będę miłością dawną.

Potrząsłszy głową, nic już nie odpowiedziała mi matka. Ponieważ król w Lidzkiem nadał mi Pacewicze, a ona miała ziemie swe niezbyt odległe od nich, oznajmi-

ła mi, że daru czynić nie mogąc prawnie, aby go potem nie unieważniono, chciała mi znaczną majątność sprzedać i na to sporządzić każe papiery, oddając mi ją we władanie natychmiast.

Wypraszałem się od tego daru z powodu brata jej Gastolda i reszty rodziny, lecz słuchać nie chcąc odpowiedziała mi tylko, iż brat sprzeciwiać się nie będzie, a ona to za zgodą jego, dla spokoju sumienia swego chce uczynić.

Tak tedy los mój długo niepewny i nędzny, nagle aż nadto mnie obsypywał. W Polsce sierota bezimien-ny, choćbym ziemię posiadał nie sobie rokować nie mogłem, bo tu rodów i szczytu pilnie badano, a człek nowy nie łatwo był przyjęty między ziemian.

Na Litwie zaś, gdzie szlachectwo było rzeczą nową, a stara bojarszczyzna ściagała się z różnych ludzi, pochodzenia nie patrzano, gdy kto ziemię trzymał. Tam więc i mnie o szczyt pytać nie nie mógł, a z polskiej szlachty ubogiej wielu Litwę do herbów przyjmowało za mało co lub nawet dla pobratymstwa. Przyjęcie też takie Litwina od horodelskiego połączenia nikogo nie raziło i było w obyczaju.

Mogłem więc spodziewać się, że mi teraz mego sieroctwa wyrzucać nikt nie będzie. Weselszem okiem w świat spoglądałem i na życie, od którego chociaż już wiele się spodziewać nie mogłem, wszelkiej nadziei nie straciłem. Czterdzieści z okładem lat miałem naówczas, ale się czułem krzepkim i zdrowym, bo chorób w życiu prawie w późniejszym wieku nie znałem, mówiono też, iż z twarzy na mój wiek nie wyglądałem.

Snuło mi się po głowie, że w końcu Luchnie podam rękę do ołtarza, kiedyśmy oboje sobie tak długo wiary dochowywali, a matka się szczęściu mojemu sprzeciwiać nie będzie.

Ale któż przyszłość swoją przewidzieć może?

Kallimach, którego odprawiono z domu pod złotym

dzwonem tak jak zasłużył, zgłosił się tam podobno raz jeszcze jeden czy drugi, próbując dostać do matki mojej a pewnym będąc, że ją gładkimi słowy przejedna. To mu się wszakże nie powiodło i w końcu przekonał się, że źródło, z którego długo czerpał a z bogacił się nie mało, zostało dla niego zamknięte.

Baczny człek, który się oglądać musiał na to, ażeby sobie nieprzyjaciół nie przysparzać, zmienił tryb postępowania. Widział mnie u króla i u Olbrachta w łaskach, nie chciał więc narażać na skargi.

Przy pierwszym spotkaniu ze mną sam na sam, tym lekkim tonem wesołym, który umiał tak doskonale przybierać, począł mi winszować pojednania z Nawojową.

— Dawno tego pragnąłem i starałem się ją skłonić — rzekł do mnie — ale tam domownicy wam u niej szkodzili i zniechęcili ją. Bardzo się cieszę, iż to się tak dobrze skończyło. Była mi Nawojowa czas jakiś bardzo przyjazną i łaskawą, winienem jej wiele, ale i mnie tam teraz przyboczna jej straż nie dopuszcza!

I śmiejąc się ręką zamachnął.

Nadzwyczaj starał mi się okazać serdecznym, co ja dosyć zimno przyjąwszy, sprawy bolesnej i wstydlivej nie rozmazywałem.

Król jak zawsze kłopotów miał nad miarę, bo może też troszczać się o los synów i rozszerzenie królestwa swego a ubezpieczenie go, sam ich sobie przysparzał. Targano go na wsze strony.

Wypadało znowu na Litwę ciągnąć, a mnie serce bolało, że się będę musiał od matki oddalić, gdy wieczorem przybywszy do niej na pożegnanie, zastałem ją czulszą niż zwykle, com rozstaniu przypisał.

Wzięła mnie za głowę i całując odezwała się.

— Tobie sieroto biedna, od kolebki naznaczono z życia tylko znać trud i poświęcenie dla drugich. Nie masz szczęścia, Jaszku!

— Jakto? — przerwałem żywo — albo się to ja skar-

żyć mogę? Właśnie mi Bóg dał długo czekać na szczęście, ażeby się ono wydało jeszcze większem, bo głodnemu każdy pokarm smakuje.

Matka westchnęła i spojrzała na mnie z politowaniem. Coś zdawała się mieć na uszach, a nie śmiała się odezwać.

— Jutro jedziecie z królem — rzekła — lepiej żebyś teraz już dowiedział się, że na twoją pocztową Luchnę rachować nie powinienes.

A widząc mnie poruszonym wielce, poczęła siadając przy mnie.

— Przyjmij to spokojnie. Do niej żalu mieć nie powinienes, czekała długo na ciebie, aż pono zważać musiała. Wyszło to biedactwo za męża, nie po dobrej woli, ale przez pocziwe serce swoje. Miała bowiem siostrę, która za mężem była. Zmarło się jej a sierot drobnych zostało troje i mąż, który nie mógł wychowaniu ich podołać. Zabierało się na to, że im musiał dać macochę. Ułękła się Luchna, płakała, a w końcu dla tych dzieci poświęcić musiała. Trzeba jej i to porachować, że wdowiec człowiek gwałtowny, grubijanin jak siostrze zatrul życie, tak ją też pewnie szczęśliwą nie uczyni.

Słuchałem tego opowiadania matki zdrętwiawszy niemal, ale mi się potem łez puściło z oczów trochę i tchnąłem łzej.

Nie godziło mi się słowa przeciwko kobiecie tej rzec, tylko litować nad nią.

Znajdziesz sobie inną — dodała matka — rana się zagoi.

— O tem nie myślę — odezwałem się — przeznaczenie to moje, sieroctwo, poddać mu się muszę. Wola Boża. Lat tyle nosiłem ją w sercu mojem, że i teraz ona w niem pozostanie na zawsze. Znajdę sierotkę taką, jaką sam byłem, chłopaka biednego i za syna go przyjmę. Innej rodziny mi się już nie spodziewać.

Tak rozchwiały się moje ostatnie szczęścia marze-

nia i to w tej chwili, gdy mogłem Luchnie ofiarować do-
statek i dolę lepszą od tej, którą przebyła.

Gdy ze mną los tak sobie igra, na dworze naszym
wszystko się snuło tą koleją jaką raz poszło.

Kallimach mocno już wrósł, chociaż i nieprzyjaciół
mu codzień przybywało.

Słyszałem sam, gdy z Włochami o tem poufale roz-
prawiał, iż z zimną krwią przyszłość przygotował i ob-
myślał.

— Rycerstwa tego niespokojnego butę i zuchwal-
stwo złamać potrzeba koniecznie—mówił. — Po starym
królu tego się niespodziewać. Ogląda się na Węgry, na
Prusy, na Tatarów, na Moskwę... na głowie ma siła, a tu
trzeba śmiałej i dzielnej dłoni. Do tego ja wychowałem
i przygotowałem Olbrachta, wierzy we mnie, przejął się
tem, czego uczyłem go; posłucha-li potem, uczynimy
z tego królestwa silne państwo... Gdzie wielu gospodarzy,
ładu nie ma... w jednej ręce skupiona musi być władza.

Głów może zuchwałych trochę stracić będzie trze-
ba, ale potem posłuszni być muszą.

Olbracht sam też, jak gdyby najpewniejszym był,
że po ojcu go królem wybiorą, karmił się temi samemi
nadziejami.

— Skarcić, ścisnąć, szczególnie najmożniejszych,
tych co na czele stali, reszta przypadnie.

Nikomu nie było tajemem, że Tęczyńscy i ich przyja-
ciele i niemal całe możnowładztwo małopolskie, choć
cichło, nie zmieniło swoich usposobień dla króla i dla
dynastyi.

Zbigniew arcybiskup, niedarmo Oleśnicki, wierny
tradycyom imienia swego, choć królowi staremu dosyć
się powodował, choć z Kallimachem był bardzo poufale,
w sercu Piastów nosił jak inni i czekał tylko na zgon pański.

To kumaniesię z Kallimachem serdeczne wielce oso-
bliwem było, gdyż bodaj obu im się zdawało, że się wzajem
oszukiwali, i oba chcieli sobą się posłużyć... Włoch na po-

zór sprzyjając uczonemu arcybiskupowi, szczerzy z nim
i otwarty, przecież mu się nigdy do głębi nie wydał,
a Zbigniew także za powiernika go nie miał.

Mnie się zdaje, że to, co później się jawnem okazało,
iż Małopolanie Piasta chcieli na tronie posadzić, a Jagieł-
łowych potomków na Czechy, Węgry i Szląsk odprawić,
już się dobrze za życia króla starego przygotowywało.

Lecz o tem później.

Olbracht nasz, na którego Kallimach wiele tak ra-
chowwał, tymczasem życie prowadził coraz a coraz roz-
wiązlejsze.

Prawda, że coby czynić miał nie wiedział, bo król
go do niczego nie powoływał, krom gdy uroczystości
wielkie przypadały, aby stał u jego boku razem z Ale-
ksandrem a podczas i młodszemi.

Więc szumniej coraz, hałaśliwiej zabawiano się
u Leny, a niekiedy u bogatych mieszczan, którzy ją za-
praszali do siebie, aby królewicza ściągnąć. A że widzia-
no jak Olbracht długi robił, pieniądze trwonił, kochankę
tę obsypując darami, niektóre dziewczęta miejskie lżej-
szej myśli zazdrość brała. Nasuwały mu się, nastrocza-
ły, a on choć zawsze przepadał za Leną, bo od tej go nie
można było oderwać, bałamucił się i z innemi.

Króla to dochodziło, milczał długo. Syn już doro-
sły był, trudno go miał karcić jak dziecko, gdy mu po-
szanowanie w kraju trzeba było pozyskać.

Kallimach ciągle swoje powtarzał, iż to się wyszu-
mi, jakoż szumiało, prawda, ale nie poprzestawało.

Przyszła naówczas wieść z Rusi i Podola o napa-
dzie tatarskim i o strasznem spustoszeniu i jassyrze.

Na to łotrowstwo, które bezkarnością było rozzu-
chwalone, koniecznie potrzeba było iść i to nie z ladaja-
kim poczem, małą siłą, ale z pogromem takim, aby dłu-
go czuły go te rabnsie.

Co było ludzi rycerskich, można powiedzieć, pro-

siło się na tę wycieczkę. Ochotnika nie zbywało, wodzów nie brakło.

Wtem kiedy się tak kotłuje już, kto, którego pociągnie, kto dowództwo otrzyma, ja króla jednego wieczora do snu kładłem i izbę sypialną z obowiązku opatrywałem, aby na noc mu nic nie brakło.

Leżał już w łóżku pan, powychodzili inni, palcem mnie powołał ku sobie milczący.

Podbiegłem sądząc, że jak był czasem zwykły, zechce sobie wina krztę z wodą podać, ale mi się z uchem nachylić kazał.

— Czemuście Olbrachtowi nie podszepteli, aby mi się na tę wyprawę prosił? Ja go słać nie chcę rozkazem, alebym rad pozwolił. Zdrowiej mu w polu będzie niż tu w Krakowie, gdzie się płochości uczy. Rycerską sprawę lubi, czasby ją rozpocząć.

— Miłościwy panie—odparłem pospiesznie a niebardzo rozważwszy co powiem — królewiczby pewnie pragnął wystąpić i okazać się rycerzem, ale go Kallimach więcej dworszczyzną a łaciną bałamuci.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza, oboje potrzebne — rzekł — król — a bez rycerstwa i męstwa uroku nie będzie miał dla ludzi...sercnie pozyska nigdzie łatwiej jak w obozie.

I kładnąc się dodał jeszcze.

— Ale nie z rozkazu, a po własnej woli iść powinien.

Z tem mnie odprawił.

Cheiałem spełnić królewskie zlecenie, którem dumny byłem, bo zaufania dowodziło, ale jak tu się do tego wziąć miałem.

Zrazu na myśl mi głupio przyszło, abysię Kallimachem posłużyć; ale samem zmiarkowałem, iż gdyby to było dobrem, królby mnie maluczkiego do tej sprawy nie potrzebował.

Rano poszedłem do królewicza... Trzeba było w one czasy już widzieć dwór jego i słyszeć co się tam działo, a jaka to tam drużyna się osobliwa ściągała, trwożyć o przyszłość.

Dopuszczał do siebie bez wyboru, kto kogokolwiek bawił, błaznował, przysługiwał się, rozśmieszał i poddawał do nowych zabawek myśli.

Więc obok paniczów, wyszarzane jakichś przybłądów kubraki, błaznowie, knglarze, karły a od rana do wieczora hałas, brzęk, śmiech, bez żadnego poszanowania dla Olbrachta, który tylko czasem, gdy sobie kto zanadto pozwolił, płaćnął sam lub za drzwi wyrzucić kazał.

Rozmowy były też niebudujące. Ten sam pan, który z Kallimachem szedł o lepsze w wytwornej łacinie i rozprawił o historii Rzymian, iż słuchać go było miło i dziwno, większą część dnia karmił się opowiadaniem takiej gawiedzi, co się gdzie po szynkach działo i ze znanymi nieszczkami, iż rumieniósieć musiał poważniejszy człek wszedłszy.

Ale taką miał naturę dwoistą—rozum wielki a krew niepoczeiwą i szaloną.

— Jaszko! — zakrzyczał zobaczywszy mnie.—He? To dopiero gość u mnie, a postawcież mu krzesło z poduszką i dajcie kubek.

Uśmiechnąłem się.

— Aleś ty i twoje uszy nie nawykły do tych pustych żartów, jakiemi my, młodzież, zabawiamy się. Dziewki na placu.

— No to prawda — przerwałem — że ja wolę o wszelkiem innym stworzeniu rozprawiać, niż o nich. Nawet o psiech i koniach.

— Ale bo chybiłeś powołania — odparł królewicz — za Kapistranem było potrzeba iść i Bernardynem zostać.

— Dziś zapóźnie — uśmiechnąłem się — ale o czem innym zamyślam.

— A no? — spytał królewicz ciekawie.

— Wszyscy ciągną przeciwko tej dziczy tatarskiej — rzekłem — mnie też ochota bierze. Przyznaję się, gdybym na miejscu miłości waszej był, korzystałbym z tak pięknej okazji i takżebym ruszył na poganina, na tę szarańczę paskudną.

Młodzież dokoła stojąca zamilkła, spoglądając po sobie. Olbracht się trochę zadumał.

— Jest tam już wodzów dosyć — odparł.

— Ale gdyby królewicz był, tenby wszystkim rozkazywał — odezwał się. — Nawetby z nim męstwo zaraz wstąpiło w szeregi.

Wszystkich przytomnych tak zdumiała mowa moja, iż nikt się słowa nie odezwał.

— Cóż to, myślisz ty, że jarycerskiego serca i ochoty nie mam? — odparł po chwili królewicz posępnie. — Jużci bym poszedł i wołałbym może w polu niż tu siedzieć, i jednych ciągle bajek słuchać, ale ty przecie wiesz, że my swojej woli nie mamy, choć podorastaliśmy. Co ojciec każe to spełniamy, a samym nam chcieć nic nie wolno.

I po namyśle dołożył ciszej.

— Patrzajże, iż król dotąd jeszcze Władysławowi czeskiemu radby rozkazywać, co dopiero nam! Gniewa się na niego, że go jak wyrostek nie słucha.

— Prawdą to jest — rzekłem, — spoglądając dokoła, bo płocha gawiedź, tą rozmową rozpędzona, rozechodziła się po kątach i zostawiła nas tak, jak samych — ależ mnie się zdaje, że gdyby syn ojca poprosił na wojnę, pewnieby nie odmówił, a może i ucieszył.

Wtem głupia piosenka, półgłosem nucona, zabrzmiała z kąta, Olbracht ją posłyszał, podchwycił i jakby zapomniiał, o czem mówiliśmy, krzycząc,

— To ta czarnobrewa Klinga śpiewa ją... a jak śpiewa... dziewczka, jak róża rozkwitła... który z was u niej w łaskach.

Wrzawa powróciła, a mnie aż się smutno i wstydno zrobiło. Spuściłem oczy.

Gawiedź znowu nas otaczać poczęła, nie mówiłem nic, alem nie odchodził.

Olbracht, jakby zupełnie zapomniiał o czem mówiliśmy, żartował i żarty wywoływał. Bawiło go to, ale na czołe mars mu pozostał.

Widząc, że tego razu nic tu nie zrobię, chciałem się wysunąć. Obiecywałem sobie powrócić wieczorem.

Wtem, gdy wrzawa się aż do takiego stopnia wzmogła, że już nie słyszeć nie było można co pletli błaznowie, Olbracht wstał poważny, groźny i machnął ręką.

— Precz! za drzwi! a nu!

I bez mała jak psy ich przepędził. Zostaliśmy sami.

— Wiesz ty — odezwał się po przestanku — że czasem niegłupie miewasz myśli. Gdybym tego strzepał Tatarów? bohaterstwo ma urok? nigdy ono nie szkodzi.

— Szczególniej tu w Polsce — rzekłem — gdzie ciągle na granicy stać, czuwać, i korda na chwilę z rąk puszczać nie można.

Stanął zadumany.

— To cóż? król poszle albo jakiego Litwina, lub którego z Rytwian, z Tarnowa... o mnie ani pomyśli.

— Bo wasza miłość moglibyście sami o sobie pomyśleć — dodałem. — Żaden ojciec dziecka na niebezpieczeństwo chętnie nie naraża... Ani królowa, ani on nie powiedzą: idź na wojnę... ale gdybyś zapragnął tego, sądzę, że królowi by nawet miłem to było.

Wpatrzył się we mnie bacznie, ciągnąłem dalej.

— To wiem, że na życie wesołe krakowskie król nie bardzo rad patrzy.

— Trudno młodemu nie być — zawołał Olbracht — a potem gdy przyjdzie, da Bóg, panować i do tego pługą się zaprzadź, w którym ojciec chodzi, że ledwie dysze, nie stanie czasu na życie dla siebie... Człowiekowi się trochę wesela należy.

Mówił to, a fantazyja rozbudzona w nim grać poczyniała.

W izbie sypialnej kilka zbroi wisiało. Zbliżył się do jednej.

— Patrzno — rozśmiał się — gdybym ją wdział, do hełmu pióra przypiął, złożony miecz do boku, a mój

nieodstępny mały do pasa, na ramiona płaszcz zarzucił szkarłatny, podemną siwy koń... niepięknym się ja wydawał!

— Ani wątpić — począłem wesoło — tylko dla Tatarów stroić się tak pożał się Boże. Chłopstwo to brudne, a nie rycerstwo żadne, mybyśmy to plugawstwo wymietli wnet i wysiekli.

Wieczorem Olbracht mnie do siebie wołać kazał.

— Jaszko — rzekł, siedząc na łożu — mnie do prawdy zaczyna się chcieć na Tatarów. Znudziło mnie się siedzieć tu... i Lena i Kinga lepiejby smakowały, wypocząwszy. Mówiłem z Kallimachem, nie jest to mąż rycerskiego rzemiosła, ale rozumny! rozumny! Powiada, że mającemu panować sława rycerska jest potrzebną... Nie zaszkodziłaby i mnie.

— Któż o tem wątpi? — potwierdziłem.

— Nie mam śmiałości do króla — przerwał — tak nas do pokory i posłuszeństwa wdroył, że człek i pod wąsem jeszcze się go jak młokos boi.

— A królowa? — poddałem.

Nie odpowiedział mi nic długo.

— Mam wielką ochotę — powtórzył.

— Po cóż się ociągać!

Zamyślił się znowu.

— Trochę mi złotowłosej żal będzie — szepnął.

— Mnie się widzi — zamruczałem — że wasza miłość za nią więcej, niż ona za wami zateśni.

Ruszyłem ramionami.

— Co mi tam — uśmiechnął się pogardliwie — byle gdy przychodzę, uśmiech miała na zawołanie.

— Czasby już, równie jak na wojnę, wybrać się do małżeństwa — dodałem — zdrowiejby z tem było i bez pieczniej.

— Chyba tego nie widzisz — dodał, śmiejąc się — że my do ożenku wszysej nie stworzeni. Władysławowi czeskiemu dawno czas, ani myśli... Kaźmirz nieboszczyk

nasz, kobiety imienia nie chciał słyszeć, i ja — tu głośnym parsknął śmiechem — i ja podobnie.

— Na tem przecie kiedyś skończyć będzie potrzeba — rzekłem.

— Nie, ja nigdy się zenić nie myślę — odparł stanowczo. — Wziąwszy jedną, musiałbym jej pilnować, wolę ich mieć więcej, a być swobodnym... Ale wróćmy do Tatarów — odezwał się. — Jutro powiem matce, że mi się ich zachciało wojować... zobaczymy.

Królowa Elżbieta, była to matka nadzwyczaj do dzieci swych przywiązana, ale pani umysłu wielkiego i ambicyi. Olbrachta jako najwięcej obiecującego dowcipem kochała i czuwała nad nim; może go na wojnę narażać nie bardzo sobie życzyła, ale w niej też krew pańska a rycerska odezwała się. Uściskała syna, gdy jej objawił to.

Wymowny i umiejący dowieść co chciał, bo sztukę tę doskonale przejął od Kallimacha, Olbracht gdy się rozmarzył, tak pięknie odmalował sławę, którą mógł pozyskać, iż Elżbietę poruszył.

Wszedł na to król. Olbracht zamilkł, ale matka nie zataiła z czem przyszedł. Kaźmirz głową skinął.

— Czemuż nie — odparł — ma-li serce do tego, niech idzie!

Olbrachta na razie to tak uradowało, iż przypadł do ręki ojcowskiej dziękować.

— Będzie miał starszych, wytrawnych, bywałych dowódców, co wyprawą pokierują — mówił król — bo z Tatarami wojowanie jest inne, znać ich potrzeba, ich sztuki przeniknąć, chody i napaście przewidzieć. Bóg da, poszczęścić się może... a ocalicie co ludu, odbijecie z jasyru, serce sobie tem pozyskacie u ludzi, którego nam potrzeba, bo nieprzyjaciół mamy wielu.

Zaprzeczyć temu chciała królowa.

— Nie zapierajmy tego co prawda — rzekł król — bo prawdę zawsze lepiej znać i na niej się opierać. Nie-

przyjaciół ja więcej się dorobiłem przez długie panowanie, niż druhów. Na jednej Litwie serce mam.

Tak z naprawy samego króla wyjazd na wojnę Olbrachta postanowiony został. Pierwszego dnia, gdy się to rozeszło po dworze, po mieście, jedni wierzyć nie chcieli, drudzy biegli, aby się do dworu Olbrachta zaciągnąć. On sam, gdy raz w nim ta myśl już się przyjęła, wziął ją ze zwykłą sobie gorącością i uporem do serca.

Nie myślał, nie mówił tylko o tem. Urósł w chwili i sam poczuł, że mu to dawało znaczenie, którego nie miał.

Wesół, szczęśliwy, dwa razy mi powtórzył żartobliwie:

— Ślepej kurze się ziarno udało znaleźć, wszak to ty pierwszy mi myśl poddałeś.

Chciałem i ja królewiczowi towarzyszyć i poszedłem prosić o to Kaźmirza.

— Potrzebnym mi tu jesteś — odparł chmurno — nie odpuszczę cię. Czterdzieści kilka lat z okładem już masz, na wojnę nie chodziłeś, zostaw to młodym. Zdasz mi się tu.

Gdy król raz co powiedział, wypraszać się u niego sposobu nie było, musiałem z tem zostać, choć mi bardzo markotno było. Prosił Olbracht za mną, odparł zimno.

— Masz dosyć ludzi, a mnie Jaszko potrzebny. Drugim nie zawsze zaufać mogę.

Tak pierwszą swą wyprawę rozpoczął królewicz z wielką ochotą i sercem takim, że ono zwycięstwo rokowało.

Dobór pułków, ludzi, dowódców był najtroskliwszy; ręczyli też starsi królowej, że nie dopuszczą, aby Olbracht miał być w niebezpieczeństwie i czuwać będą nad nim.

Gdy raz już postanowiono ciągnąć, nie miał królewicz chwili spoczynku, tak mu było pilno. Gorzał po prostu i rwał się. Po tej wrzawie przy wyborze na wojnę, kiedy wyciągnęli wszyscy na granicę, gdzie Tatarów mieli ścigać, nastąpiła straszna cisza.

Wiadomości długo nie było żadnych, jak to u nas zwykle z Rusi i Podola, gdzie zapadłszy człowiek jakby utonął.

Choć miano gońców posyłać i dawać wiedzieć o sobie, z początku ani wieści, ani języka. Król był spokojny, królowa coraz bojaźliwsza wyprawiała do Lwowa i dalej, aby się czegoś dowiedzieć.

Wiadomości przychodziły ladajakie, że Tatarów ómy i tabory niezmierne niszczyły pobereżne ziemie, ale więcej nic. O naszych, co poszli przeciwko nim, ni słychu.

Dopiero ludzkim obyczajem, bo inaczej nigdy nie bywa, gdy się niespokojnie czeka wieści, poczęli niektórzy z palców ssać, że naszych pogromiono i rozproszono. Drudzy już to za pewne podawali, a nawet liczyli tych, co poginęli.

Słuchy te jednak pełzały nizko, do góry ich nie dopuszczaliśmy.

Wtem, pomnę jako dziś, król mnie posłał do księcia mazowieckiego, który przybył dnia tego, aby go pozdrowił i na zamek zabrał. Nie dojeżdżając do gospody, patrzę, na ściągniętej szkapie, cały obłożony, osmarowany, brudny, ledwie go poznać, leci Bobrek, co przy Olbrachcie był, samotrzeć. Wszyscy obdarci i tak wyglądający, jakby się z rąk oprawców wyrwali.

Zobaczywszy go struchlałem, a zabiegłszy mu drogę, wołam.

— Stój! co wiesz?

A temu w gardle tchu brakło, ale oczy zaświeciły. Podniósł rękę do góry.

— Sławne, wielkie zwycięstwo! — zawołał. — Olbracht bił się jak bohater. Tatarów tysiące trupem zalega pola pod Kopestrynem, nad Szawraną.

I ledwie dokończywszy pognął z tem do zamku. Mnie się serce rozradowało tak, że ledwie poselstwo sprawiwszy, za nim poleciał na zamek, aby się lepiej rozpytać.

Ale z Bobrka, który nigdy nie pocziwie powiedzieć nie umiał, cztery razy zaczynał, nigdy nie kończył, od środka i od początku wrywał, co mu na pamięć przyszło, nie wiele się było można dopytać. Tyle tylko pewnego było, że szarańczy wybito wiele, że jeńców odebrano siła i nabrano ich w pęta tysiącami, że królewicz zdrów był, wesół i słał rodzicom powitanie z placu boju, nimby sam wrócił.

Zaraz na Wawelu odśpiewano nabożeństwo dziękczynne, radość była niezmierna, a i na twarzy króla, która nigdy się prawie nie rozjaśniała, radość widać było. Płochy dotąd Olbracht, nie myślący tylko o zabawie i krotchwili z ladajakami kompanami, okazał rycerską odwagę i serce wielkie, a Kallimach ręczył, że i w innych sprawach równie się dzielny okaże, co wszystko sobie przypisywał... chociaż co było dobrego, to pono Długosz zasiał i z tego ziarna rośło.

Królowi to zwycięstwo nad Tatarami przychodziło właśnie w porę, gdy oddawna trwające zajście z węgierskim Maćkiem Korwinem śmierć jego niespodzianie na inne przeprowadziła pole.

Chciał już uparty ten, zły i przewrotny, a zuchwały panek, położyć tym zatargom koniec, że królowną naszą myślał poślubić. Ale królowa Elżbieta oburzona temu się oparła i jeszcze go tak zwymyślała przed ludźmi, od chłopów i gorzej, że gdy to doniesiono Korwinowi, zajął się i zgody żadnej znać nie chciał.

Tymczasem zmarł bez prawego potomstwa i Węgry zostały bezpańskie, a król Kaźmirz, który od czasu onej wyprawy Kaźmirza królewicza nie spuszczał ich z oka i myśli, powziął zamiar wyprawić tam Olbrachta, posłał od siebie na zjazd, zalecając, aby go wybrano i zaciągi natychmiast gotować kazał, które z nim na Węgry miały ruszyć.

Ale królowi pod koniec życia, tak jak to bywa przy piciu lekarstwa, gdy największa gorycz na dnie osiadzie, wszystko się miało w żółć obracać.

Któżby się mógł był spodziewać tego, że Olbrachtowi, na Węgry idącemu, rodzony brat Władysław z wojskiem stanie na drodze i zaprze mu ją?

A dodać tu muszę, że jak wszystkie rodzeństwo się między sobą kochało, tak Władysław z Olbrachtem szczególnie.

Olbrachtowi jeszcze prędzej było można winować, że gdzie o koronę idzie, tam o miłości braterskiej zapomnieć trzeba, lecz Władysław miał serce tak niewieście miękkie, iż pojąć było trudno, jak Czesi go skłonić mogli do wystąpienia przeciw rodzonemu swemu.

Stary król nasz i tak rozdrażniony, zażalony przeciwko swemu pierworodnemu, gdy mu doniesiono o tem, wierzyć nie chciał, pojąć nie mógł podobnego zuchwalstwa ze strony Władysława.

Dla nas, cośmy go znali w młodszym wieku, było to owszem łatwem do zrozumienia, a nawet i do uniewinnienia.

Ulegał zawsze Władysław tym, co najbliżej niego stali i w uszy mu kładli, czego się domagali, nigdy oprzeć się niczemu nie mógł i nie umiał.

Dobroć ta jego była dla innych doskonałym narzędziem, ale jemu klęską i nieszczęściem prawdziwym. Panowie czescy niektórzy i węgiercy, pozyskani przez wdowę po Macieju Beatrycę, która młodego małżonka się spodziewała zaślubić i z nim panować, osaczyli go tak, opanowali, wmówili mu obowiązek dobijania się o koronę Węgier, iż oprzeć się temu nie mógł.

Przewidywał on gniew ojca, który i tak już prawie się go był zaparł o nieposłuszeństwo, a cóż dopiero teraz być miało, gdy on z wojskiem przeciw Polakom i bratu miał wystąpić!

Gdy Olbracht z wyprawy tatarskiej wrócił, a tu już drugą przygotowującą się znalazł, dość dobrą myślą ją przyjął w początku, ale po małym rozmyśle począł się chmurzyć.

Wiedział to dobrze z wyprawy Kaźmirza i z usposobienia Węgrów, z położenia ich twierdz, z obronności kraju, że wojna z nimi łatwą nie będzie.

Wcale inną rzeczą było wojować niesforne kupy tatarskie, które padały impetem jak szarańcza na wojsko, usiłując je oskrzydlić, zasypywały je strzałami, a gdy się nie udało rozbić go, uchodziły, i dopiero w pogoni odwetu próbowały.

Ten kto raz z nimi do czynienia miał, ogłędnie szedł, języka dostawał, dostał kroku w pierwszej chwili, zawsze ich potłuc musiał.

Tałałajstwo to ani zbroją, ani orężem nie równało rycerstwu naszemu, liczbą tylko przemagało czasem, a i tę na oko powiększali tem, iż koni luźnych z sobą moc ciągnęli.

Na Węgrzech wojna była i w polu ciężka, bo tam kraj w większej części wzgórzysty, rzeki znaczne a grody nad nimi mocne. Więc po zameczkach załogi, do których się dostać wiele czasu wymaga i trudu, a nieprzyjacielowi z nich wypaść, niepokoić, urywać bardzo łatwo. Żołnierz też zaciężny niemiecki, czeski i węgierski dobrze zbrojny i w boju zahartowany, dla obcego więc, który gościem przychodzi dobrze nie znając gruntu pod nogami — twardy orzech do zgryzienia.

Olbracht choć sobie ufał, a więcej jeszcze rycerstwu polskiemu, nieuleknionemu i z Warneńczyka czasów znającemu Węgry, przecież zcicha mówił, że się lęka, aby tam laurów zdobytych nie posiał. Ale ojciec nakazywał, nie można było się opierać — iść musiał.

Nim się to jednak rozpoczęło, król potajemnie do Pragi słał Kallimacha, któremu ja za tłumacza dodany zostałem, szczególnież dlatego, że króla czeskiego dobrze znał chłopięciem i on mnie lubił dosyć.

Ażebym nas nie śledzono i nie podejrzrywano, a wstępu na dwór nie zabronioną, bo tam przy słabości Władysława

wszystkiego się spodziewać było można, jechaliśmy z kupcem i jako kupcy do Pragi.

Ten, który nas prowadził, bywałym był i stosunki tam miał uboczne, które nam się na zamek wśliznąć obiecywały. Jechaliśmy dniem i nocą dla pośpiechu do onej złotej Pragi, o której wilem się nastuchał, alem jej nigdy nie oglądał.

Miasto samo wydało mi się wielkie, piękne i bogate, a budynkami bardzo misternymi cudnie przybrane. Kraków się z niem mierzyć nie mógł, ale choć język brzmiał tu swojsko, człowiek się obcym czuł.

Król, który w początkach na dolnym zamku mieszkał, pono gdy do niego szaleniec jakiś z łuku strzelił, przeniósł się na wysokie zameczysko do Hradszyna i tam teraz go szukać było potrzeba.

Raz w Pradze będąc, dostać się do niego nie było nam trudno, bo przy sobie na dworze służby polskiej siła miał, a ta przyjezdnym Polakom chętnie pomagała i do niego przeprowadzała.

Tak też nazajutrz zaraz jeden z komorników Powła, Kallimacha jako mniemanego astrologa Włocha poprowadził do króla.

Była naówczas astrologia w wielkiem poszanowaniu jakby wieszczbiarstwo jakie, choć na wielu tych, co w gwiazdy patrzyli i konjunkte ich tłómaczyli, sam się wielokrotnie przekonałem, iż bałamutne głosili horoskopy. Ale nie było czynności, od małżeństwa począwszy, do wojennej wyprawy, o którejby się ujście gwiazdarzy nie pytano, a oni też na wszystko gotowi odpowiadać byli.

Astrologiem takim Kallimach się dostał na zamek królewski i pozostał tam z pół dnia prawie, bo tak dobrze umiał nawet tę rolę odegrywać, że go się i inni radzili. Co, że mu podarki przyniosło, więc się wyśmiewał potem z łatwowiernych i wcale tego na sumieniu nie miał.

O skutek widzenia się i rozmowy z królewiczem pytał go nie śmiałem, poufałych z nim zwierzeń unikając;

sam mi jednak zaraz się przyznał, że choć wolę króla spełnić a Władysław boleść swą wielką najdobitniej wyraził, nie obiecał mu jednak, aby dla rozkazu ojca mógł od korony węgierskiej odstąpić.

— Choćbym wam to przyrzekł — mówił do Kallimacha — wiem, iż dotrzymać nie potrafię. Przebłagajcie ojca mojego, gdyś dziś obowiązki mam większe i bliższe, które mi nieposłuszeństwo nakazują. Królem jestem i wbrew woli narodu iść nie mogę. Pragną Czesi połączenia obu królestw i od tego nie odstąpią. Wyszle król wojsko, my i wdowa po Macieju wystawi też siłę znaczną.

Skończyło się na tem, że całe zwątpiwszy o skutku, pozwoił mi a raczej kazał, abym i ja na zamek szedł i z królem mówił. Ku wieczorowi więc tenże sam Powała mnie na Hradszyn prowadził.

Nie wiedział Władysław kto jestem, tylko mnie jako komornika ojcowskiego oznajmiono. Gdy wszedł a zobaczył i poznał, myślę że gdyby nie służba, byłby mi się rzucił na szyję.

Dziecinne i młodzieńcze lata na myśl mu przyszły, a tu we wszystko opływając, królując, choć się już przyzwyczaił do kraju i ludzi, zawsze jednak sercem i myślą do swoich uciekał.

Nie dał mi prawie ust otworzyć, zarzucając pytaniami o rodzinę, o braci, o sługi, o najmniejsze, najdrobniejsze rzeczy nasze.

Pamięć miał doskonałą, a gdy o nich mówił, oczy mu się zwilżały i głos drżał dziwnie.

Nierychło mogłem nawrócić rozmowę do celu naszej podróży.

— Zlitujcie się — rzekł król do mnie — możecież po mnie wymagać, abym ja sprawę narodu mojego zdradzał dla ojca woli, który i bez tego królestwa węgierskiego potężnym jest i będzie. Bóg widzi, że dla siebie nie żadny zdobyczy, dosyć mam troski z jednym królestwem, lecz nie moja to sprawa.

— Tak jest — odezwałem się do niego — ale nie ma na świecie narodu, któryby mógł wymagać od pana swojego, aby bratobójczą rękę podniósł na rodzonego swojego. Cóż będzie, jeśli w tej wojnie, bo wszystko się może trafić, spotkacie się na polu bitwy, z zamkniętymi hełmami, a oręż któregośkolwiek z was...

Władysław nie dozwolił mi dokończyć, krzyknął i płakać począł. Łzy mu się polały, lecz nie zdołały i one zmienić jego postanowienia.

— Łacniejże jest Olbrachtowi mnie nie napadać, niż mnie się nie bronić. Zaklnijcie go, niech nie idzie przeciw mnie.

— Król poszle innych wodzów i to nie pomoże nic. Chociaż widziałem, że wielkie na nim uczynił wrażenie, przemawiając w imię braterskiej miłości, nie mogłem sobie pochlebiać, znając go, ażeby miał taką siłę woli, któraby mu opierać się dozwoliła.

Nie też nie obiecywał, ręce łamiąc, płacząc i zaklinając mnie, bym Olbrachtowi wojnę tę odradzał.

Mówiłem mu potem jak oddawna król ojciec żałował wielki do niego, od wesela siostry począwszy, na które proszony, przybycia odmówił, jakby wszelkie z rodziną zrywając stosunki.

Tłómaczył mi się ręce składając, ale nie mógł więcej powiedzieć nad to, co wiedział naprzód, iż wszystkim zawsze odpowiadając: *D o b r z e* — tak iż sobie przydomek zyskał od tego — to zawsze czynił co mu bliżsi narzucali.

Jeszcześmy dzień jeden bawili w Pradze i Kallimach chodził na Hradszyn znowu, zyskał podarek piękny, ale więcej nic.

Nie było tu się czem ludzi i czasu trwonić, puściliśmy się z powrotem.

Jaką tam sprawę zdał Kallimach z poselstwa swojego, nie wiem, mnie zaś o nic nie pytał król.

Nie zwykł był stary nigdy ani się rozwodzić z za-

lami, ni z myślami zwierzać. Gdy raz postanowił co, dawał rozkazy, gdy się nie powiodło milczał, gdy się poszczęściło, mało co inaczej powodzenie przyjmował.

I tym razem na twarzy jego trudno było coś przeczytać.

Za to Olbracht mnie badał, tak zem mu kilkakroć rozmowę powtarzać i wszystko opisywać musiał. Słabego brata żał mu było, wojna ta niepożądana, lecz ojcu się nie chciał sprzeciwiać a i korona węgierska z polską połączona może mu się też uśmiechała.

Słyszałem dowodzącego Włocha, iż naówczas gdy Węgrów i Polaków mieć będzie, łatwiej Węgrami złamie opór ziemiaństwa i więcej sobie władzy zdobędzie, Polakami zaś Węgrów też na wodzy trzymać może.

Przewrotna ta rada tak się wydawała Olbrachtowi rozumną i doskonałą, że za nią mistrza swojego uściśkawszy, pod niebiosa go wynosił.

Szedł tedy poprzedzany sławą zwycięzcy na Węgry Olbracht, ale rychło się okazało, iż miał tu szwankować.

Na Bartyków i Koszyce puścił się z małym wojskiem, choć dobornym, królewicz do Pesztu wprost w samo serce królestwa mierząc. Szturmovano próżno do Koszyc. Nie było ani machin, ani przyrządów oblężniczych, więc daremny wysiłek skończył się zawieszeniem broni, a wojsko, jak donoszono, przez wielkie niewczasy i złą roku porę ucierpiało wiele.

Żołnierz zaś gdy na ciele dłużej boleje i na duchu zwykł tracić. Podnosi go zwycięstwo, daremny wysiłek znieważa.

Tak skończył się ten rok, a król stary, choć już widział, że się tam z Olbrachtem swym nie utrzyma, odwoływać go nie chciał i nie mógł.

Przysłany z obozu Bobrek powiadał też, iż królewicz upierał się próbować szczęścia i do bitwy koniecznie sposobił.

Czekaliśmy w Krakowie niespokojni późniejszych

wieści, a królowa nieustannie modlić się polecała strwożona o los obu synów swoich.

Nie długośmy też przeczuwanego posła przybycia wyglądali — nadbiegł z tem, że bitwę Polacy przegrali, chociaż bili się jako lwy, ale siłą ich przemógł nieprzyjaciół.

Sam Olbracht walczył z innemi i gdyby mu Krupski miecza nie podał, mógł był życie stracić, tak go osaczono i naciśnięto. Konia miał pod sobą zabitego, ze zbroją potłuczoną przerabawszy się ledwie do swoich.

Jawna rzecz była, iż tu o Węgrzech myśleć nie przystało. Okazało się jednak, iż Władysław, który czasu wojny więcej się o życie Olbrachta troszczył niż może o węgierską koronę, aby zapobiedz bratobójczej wojnie, do zawarcia pokoju dosyć korzystnego się skłaniał.

Zwycięzcom więc niemal Olbrachtowi ofiarował puścić Szlązk, Głogów, Opawę, Bytom, Koźle, Górę i posiadłości w Węgrzech znaczne z Preszowem, byle się rzekł roszczeń wszelkich do węgierskiej korony.

Było to jeszcze wielkiem szczęściem, którego sobie Kaźmirz z Olbrachtem winszować mogli i w tem się serce braterskie króla czeskiego okazało, ale stary pan nasz jak z wyprawy, z Olbrachta, tak i z tego pokoju nie był rad.

Odzyskanie części Szlązka lekce sobie ważył i mówić o nim nie dawał. Zyskał na tem Olbracht najwięcej, gdyż niezależnym się stał przez to i miał już własnego kraju kawał do rozpościerania się w nim.

Ucierpiała rycerska jego sława, z czem mu kwaśno było, choć wszyscy oddawali sprawiedliwość, iż na placu boju walczył mężnie i życia nie szcędząc. Mało mu tego było. Rycerzem go uznawano, wodzem się nie okazał.

Ja com dzień w dzień na króla patrzył i myśli jego czytał na twarzy, najlepiej wiedziałem o tem jak przygnębionym był nieudanemi na Węgry pokuszeniami. Wzdychał a gryzł się. Spadło wiele na Olbrachta, choć winy w tem jego nie było. Król go lepiej coraz poznając

z małych rzeczy, jakie do uszu jego dochodziły, rozrzutności jego i płochości nie lubił.

Zwrócił się więcej teraz ku Aleksandrowi, o którym chodzili wieści, że go chciał posadzić na Wilnie, ulegając nieustannym Litwinów domaganiom osobnego pana.

Prawdą jest, iż się pono w spisanej osatniej woli króla znalazło coś o tem, iż nie byłby wyniesienia Aleksandra na wielkie księstwo starym obyczajem przeciwny, lecz my tylko wiedzieliśmy dlaczego to czynił.

Wydawał mu się powolnym, łagodnym a nie chciwym władzy Aleksander, więc się go mniej w Wilnie obawiał dla Polski niż Zygmunta, a wiedział to, ciągle przebywając na Litwie i znając ich tam dobrze, iż postanowienie mieli niezmiennie wybrać sobie koniecznie z królewiczów jednego.

Aleksander już naówczas przed śmiercią naszego pana miał lat przeszło trzydzieści, ale nigdy królowi się niczem nie naraził. Zabawy jego były bardzo ciche, krom śpiewów i muzyki. Naówczas już Ciołek ów, chłopię z krakowskiego bruku, pierwszy ulubieniec jego, niespodzianie przez ambicję wdziawszy suknię duchowną dawał po sobie poznać, że nie zaści gruszek w popiele.

Gdyby więcej obcował z Kallimachem, gotówby był rzec, że jego duchem i naukami się przejął, lecz w nim silniej natura działała niż przykład Włocha.

Zdolny, bystry, ambitny, bo od dziecka był nawykł, że go cudownym głoszone, klaskano mu i podziwiano, w nadzwyczajnych łaskach u Aleksandra, który kosztą na niegołożył... ponieważ był synem szewca i szynkarki a dumnie stawał jak książętko, naraził sobie wszystkich.

Zdawał się wcale nie dbać o to, że nieprzyjaciół codziennie mu przybywało, nigdy przed nikim karku nie ugiął, a że rozum miał, wymowę okrutną, śmiałość przytem, rąbał straszliwie kto mu się nawinał. Tak był pewien swojego, a w dodatku obdarzyła go natura taką pańską

i piękną powierzchownością, iż z tych, co mu pochođenje liche mieszczańskie zarzucali, drwił sobie.

On sam głosił, że ojciec wprowadzie zubożawszy pod prawo miejskie się schronił, ale od wieków oni byli panoszącymi i w szczycie nosili Ciołka.

Głosili inni, że w potrzebie świadkowie się znajdują co to szlachectwo poprzysięgną. Przewidywać było można, iż raz się wywiódłszy, sięgnie przy łasce Aleksandra do najwyższych dostojności kościelnych. Tem prawdopodobniejszem to było, że w istocie gdyby nie owa ekstrakcja z szynku, godnym go ich nazwać było można, tak wiele miał rozumu i nauki.

Ano w młodym duchownym pycha raziła i odpychała. Przyjaciół jego okrom królewicza na palcach było można policzyć, niechętnych miał secinami. W kapitule, w akademii, na dworze, przy biskupach nie cierpiano go. Oddawał z nawiązką a żadnej nie pominął zrzeczności, aby słabszych od siebie czy w kwestjach teologicznych, czy w prawie kanonicznem, czy w historii wysmiać i wyszydzić.

Dodać do tego wizerunku należy upodobanie w wytworności i przepychu. Nie miał naówczas jeszcze tak znacznych dochodów, żyjąc z łaski królewicza, ale ktoby to był po nim poznać. Stroił się jak najzamożniejsi prałaci, a nawet z przepychem osobie duchownej niewłaściwym.

Przebojem tak szedł od początku.

Aleksander zaś miał i serce dobre i ten upór ludzi umysłu tępego, którzy gdy raz sobie co powiedzą, już ich z miejsca nie ruszyć.

Wracając do królewiczów, po Olbrachcie na Zygmunta patrzano. Miał lat dwadzieścia kilka, wyglądał poważnie, rycersko i rozumnie.

Tego dowcipu i łatwej wymowy retorskiej co Olbracht nie miał on, ale gdy się ze słowem odezwał, trafił w sedno i było go co słuchać. Miał taki obyczaj, że

w rozmowie marszczył się, nastawiał ucha, dawał rozprawiać, usta otwierał nieochoczo, ale co rzekł, to zostało i było tak oszlifowane jak drogi kamień.

Słabości po nim nie mogliśmy się dopatrzeć... słowem jak Olbracht nie błyskał, jak Fryderyk mało co młodszy zabaw, uczt i śmiechów nie lubił, wina mało pijał, myśliwstwa zażywał umiarkowanie, ale w nim znać było zawsze i wszędzie majestat królewski i tę jakąś zimną krew cierpliwą, którą po ojcu wziął.

Nie skarżył się nigdy na nic.

Fryderyka wyznaczonego na biskupa Krakowowi, arcybiskupa Gniezna, który królowej Benjaminską był, jako z synów najmłodszy, musieliśmy wszyscy sprawki pokrywać i tać. Wzrostu wysokiego, postaci wspaniałej, twarzy pięknej, wymowy zręcznej, dowcipu wielkiego, choć był przeznaczony nieodwołalnie do duchownego stanu, tak szalał, iż go poskromić nie nie mogło. Po całych nocach u niego ucztowano, pito, śpiewano, a może i gorzej jeszcze.

Później i on i Olbracht tak się piwem Piątkowskim opijali, że doktorowie je za przyczynę chorób a u Olbrachta trądu i pryszczów na twarzy uznawali. Szło z piwem i wino w parze, a co za młodu ledwo im go królowa po troszę z wodą pozwalała używać, konwiami teraz do stołu je przynoszono.

Przy osobie Fryderyka jego ulubieńców było nie zliczyć, ale mu to przyznać trzeba, że głupich nie lubił. Wszyscy byli uczeni i dowcipni.

Najpoufalszym później stał się Maryanus, sufragan krakowski, nie Polak nawet ale Słowak z Węgier, zakonu ks. Dominikanów, człek biegły w językach wielu: łacińskim, włoskim, niemieckim, węgierskim, krom polskiego. Ale jak rozumu miał wiele, tak też brzuch nienapechany i jadł, że było go pokazywać, gdy się do misy zabrał.

Dlaczego Fryderyka szlachta lubiła, gdy na innych synów króla z jakąś nieufnością spoglądała, trudno to

rozwiązać. Umiał on swą godność utrzymać, nie pospolitował się jak Olbracht, ale miał w sobie coś pociągającego i w obejściu się był słodkim.

Po powrocie z Włoch dodano mu za ochmistrza Tomickiego, mądrego i surowego człowieka, którego obawiał się, wystrzegał, zwał go Włochem i oszukiwał bardzo zręcznie.

Tomicki ucztował nocnych bronił, sprzeciwiał się im, jako stanowi i godności niewłaściwym. Prosił, nudził, stał pilnując, ale pomimo to królewicz go tak zręcznie w pole wywodził, a potem się tem chwalił i cieszył, że z tego u dworu ciągle były śmiechy i zabawa.

Długoszowej nauki niewiele w nim się uchowało, ale Kallimacha lubił, wynosił, obcował z nim i wiele od niego przejął swobodnego obyczaju włoskiego.

Poprzedziły śmierć starego króla mojego niemałe znaki niebieskie, które wszystkich zatrwożyły. Astrologowie nie śmiejąc głosić ich znaczenia, nie taili, że królestwo to wielki jakiś cios czeka.

Po Trzech Królach w Rybach okazała się kometa z miotłą jasną i oglądali ją ludzie codzień po zachodzie słońca, aż prawie do wielkiego postu. Potem, co gorsze jeszcze było, zaćmiło się słońce i zapanowały w biały dzień ciemności straszliwe, tak, że gwiazdy wystąpiły na niebie, w sam dzień św. Stanisława. A że on jest przednim patronem królestwa tego, mówili gwiazdarze, iż i to znamionowało klęski.

Przypadł potem mór na bydło, od którego całe stada padały, a że doktorzy obawiali się od bydła pomoru na ludzi, mięsa prawie nie tykano ze strachu.

Na wiosnę następnego roku, król jakby się już za Litwą zatęsknił, bo istotnie ją kochał i za swój rodzinny kraj uważał, będąc tam dziedzicem i panem, pociągnął w lasy pod pozorem łowów.

Chociaż nie stary był, bo nad lat sześćdziesiąt i kilka nie liczył a u Jagiellonów wiek to był nie podeszły,

widzieliśmy go w trzech ostatnich leciech znacznie na siłach podupadającym. Nie mówił o tem nic, lecz zwał, gdy się odziewał, że mu dawniej dogodnie obuwie podczas bywało ciasnem. Nogi brzękły. Smutny też był, małomówny i tylko na łowach a ze psy zapominał trosk swoich.

Osobliwym składem okoliczności i ludzi, miał ten pan wielu posłusznych i oddanych sobie, ale serdecznie przywiązanych do osoby jego mało było.

W Polsce mu zdawna możni panowie małopolscy niechętni, podejrzliwi, serca szlachty i rycerstwa odbierali. Duchowieństwu się naraził, a ono mu tego zapomnieć nie mogło, że się nie poddał i zwyciężył.

Najlepsze nawet rzeczy, które uczynił, wyszpecano tak, aby je złemi i szkodliwemi okazać. Nie dziękowano mu za zdobycie Prus, za pozyskanie teraz Szlązka, za osadzenie na tronie Jagiellona w Pradze.

Kallimach mu szkodził, bo w nim złego widziano doradcę; słowem jednym, zapłacono mu trud jego i życie spędzone w walczeniu z ludźmi i losami, czarną niewdzięcznością.

Prawda, że choć nagradzał sługi swe hojnie bardzo i wspaniale, lecz o słowo uprzejme, o zwierzenie się trudno było u niego. Nosił tę swą godność kapłańską, królewską można powiedzieć, tak, iż jej nigdy nie zrzucał. Jeżeli się rozmarszczył, rozweselił, to gdy z królową był i dziećmi. Ona na umysł jego wpływ miała uśmierzający jakiś, kojący... rozpogadzało mu się czoło przy niej i często powtarzał to, że tyle miał szczęścia, co godzin z nią spędzonych.

Zdaje się, że nigdy nawet spór pomiędzy niemi nie powstał, choć Elżbieta gdy żądała czego, umiała to do skutku przywieść nawet mimo zdania męża. Tak w sprawie wydania córki za węgierskiego Macieja, Kaźmirz byłby mu ją dał, Elżbieta go tak shańbiła zowac czem był, iż król już więcej nie nastawał.

W innych ważnych rzeczach, on co mało komu się zwierzał, przed nią nie nie tał.

Pani to była, jakem już nieraz mówił, wielkich przymiotów, uczona, bo ją w dzieciństwie papież późniejszy Pius II wychowywał, poważna, rozumna, umiarkowana i zręczna. Piękna nigdy nie będąc, później można powiedzieć, starzejąc nabrała majestatu i pewnego wdzięku. Głos miała słodki, obejście się łaskawe. Wielki ród w niej był znaczny.

Gdyśmy na Litwę jechać mieli, a dwór do towarzyszenia panu naznaczono, Kaźmirz sam mnie mieć zażądał z sobą.

Byłem temu rad, bo wiosną podróż i lasy litewskie uśmiewały mi się, a któż z nas nie lubi tych starych puszczy, w których dopiero Litwin się czuje jakby w domu.

Lękałem się tylko, aby matce z tem nie było markotno, bo teraz mnie rada była codzień mieć, choćby na krótki czas. Poszedłem tedy pod dzwon, oznajmując o tej podróży.

— Szczególna rzecz — odezwała się do mnie — jak czasem składają się wypadki. Ja też Wilno i Litwę raz jeszcze w życiu chciałam oglądać i pojadę pewnie w tym samym czasie, więc albo w Wilnie lub Grodnie, około którego w lasach nad Niemnem król polować lubi, spotkać się możemy... kto wie?

Ponieważ matka bardzo silną i zdrową nie była, zafrasowałem się więc o tę jej wyprawę, aby ciężka nie stała się, gdyby nie była naprzód obmyślana i dogodna.

— Sliziak bardzo dawniej troskliwym był — rzekłem — sługa z niego jakich mało, ale haniebnie postarzał i podupadł na siłach.

— Nic to nie szkodzi — przerwała mi matka. — Wprawdzie na konia go już wsadzić trudno, ale na wozie leżąc, gdy huknie, ludzie go słuchają, a o niczem nigdy nie zapomina. Bądź więc spokojnym, iż mi na wygodach nie zbędzie. Kolebkę biorę najlepszą, konie dzielne, sługi

dobiorę, których lubię i oni mnie kochają. Starą jestem, Bóg wie co się stanie, radabym zobaczyć Wilią i Gastoldów dwór, a ogród i te wszystkie miejsca, gdzie byłam krótko szczęśliwą.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, pobiegłem jeszcze raz do matki — powtórzyła mi.

— Do widzenia w Wilnie lub Grodnie.

Król jechał na pozór zdrów, ale ciężki, na jadło się uskarżając, iż mu nie smakowało. Doktor Jakób z Zalesia jadący z nami tem pocieszał, że podróż i ruch apetyt przywróci.

Z doktorów on jeden był z nami, bo Gaskiewicz na Wawelu przy aptece musiał pozostać i ani Welsza, ani Stanki nie wezwano. Nikt też choroby nie przewidywał a Jakób z Zalesia lekarz był doskonały, tylko zbyt mało może ufający sobie i nieupierający się przy zdaniu.

Znał on dobrze naturę królewską i tę krew Jagiellońską silną, która chorobom czoło stawiała i zwyciężała je.

Ponieważ ja coś medycyny przy Welszu liznawszy, zawszem ciekawy był i przypatrywał się chorobom i leczeniu, w podróży chętnie panu Jakóbowi posługiwał, z nim jechał i słuchał opowiadań szczególnie o morowem powietrzu, w którym on był. Miał to przekonanie, że nie w ludzkiej mocy z niem walczyć, bo to jest kara Boża, która przychodzi i ustaje z wyższej woli. Wielu z nim naówczas to zdanie dzieliło.

W podróży uczynilem tę uwagę doktorowi, że król w istocie mało co jadł, za nogi się chwytał wieczorem, i choć się nie skarżył, bo tego nie lubił, był cierpiącym.

Z mojej naprawy przybył do izby króla sypialnej doktor Jakób, gdyśmy go do łóża kłaść mieli i nogi rozwiązane z onuczek obejrzał. Były nieco zaczerwienione i zbrzękłe, lecz się to wiekiem i trudem podróży tłómaczyło.

Dał Zaleski balsam jakiś wonny bardzo, którym na noc kazał wytrzeć nogi, ale król gdy mocną woń balsamu

poczuł, krzyknął, że jej nie wytrzyma i kazał iść precz z flaszka.

Myśmy o tem wiedzieli, że jak ojciec jego zapachu jabłek, tak Kaźmirz owoców i innych rzeczy wonnych nie znosił. Pan Jakób z Zalesia chciał się upierać, ale Kaźmirz zawołał stanowczo.

— Ale preczże mi z tym balsamem! Lekarstwo od choroby gorsze, nie zniosę smrodu tego, choć wam może drjakiew ta wonieć będzie.

Chciał dowodzić doktor, że zapach był orzeźwiający, król się pogniewał i usta mu zamknął.

Nogi więc pozostały bez smarowania. Miał nadzieję Zaleski, że po wypoczynku w łóżku obrzęknięcie odejdzie w nocy i zjawił się rano, gdyśmy onuczki świeże kłaść mieli.

Okazało się, iż mało co było różnicy od dnia wczorajszego.

Nie rzekł nic.

Król zaś jakoś się w lasach orzeźwił i począł jeść lepiej. Nie skarżył się. Jednakże uważałem to, że do łowów choć się nastęrczały, nie miał ochoty tak wielkiej i mrużąc powiadał, iż mu do Wilna pilno naprzód, a łowy sobie około Trók nagrodzi.

Przybyliśmy tu, gdzie na króla oczekiwali bajorasy i kniaziowie w liczbie znacznej, a że o dniu przybycia byli zawiadomieni, sprawili mu wjazd okazały przy huku trąb, kotłów, piszczałek, a wielkich i serdecznych okrzykach.

Kaźmirzowi też lice poweselało, niemal odżył i odmłodniał.

Kochali swego Kaźmirza Litwini, to widać i czuć było; ale ten tłumny zjazd, oprócz okazania mu miłości tej, więcej coś miał na celu.

Chodziły słuchy, iż król ostatnią wolę swoją miał kazać spisać. Dotąd na największe nalegania Litwy, domagającej się osobnego księcia wielkiego, odpowiadał im

ciągle, że podzielone rządy nie dobrego nie przyniosą a narody rozdwaja.

Niezrażona tem Litwa, bo ona z żelaznego uporu słynie a jej się to chwali, trwała przy swoim.

Sprowadzili więc nawet z Kijowa osadzonego tam na wielkorządztwie Gastolda, brata Nawojowej, aby i on im pomógł króla zmiękczyć i przekonać.

Jakoż zaraz następnych dni, zaledwie Kaźmirz wytchnął, oblegli go. Nie zuchwałemi wyganianiami, ale prośbami serdecznemi usiłowali go nawrócić. Zaręczali to najuroczyściej, że dla swego niebezpieczeństwa od Moskwy nigdy sojuszu z Polską zrywać nie myślą, lecz i obyczaj i pożytek ziemi tej samoistnych się rządów domaga.

Więc nie ustąpili dnia tego ani następnych, choć Kaźmirz ich zbywał różnie, do namysłu rzecz wziąć obiecując, aż póki złamany w ostatku nie odpowiedział im, że Aleksandra gdyby wybrać chcieli, przeciwnym nie będzie. Nierychlej jednak aż po zgonie jego, gdyż on jako rzekł wstępując na tron dotrzymać chce, iż przy sobie innego księcia wielkiego nie ścierpi.

Dano im zapewnienie, że w testamencie wzmianka o tem uczynioną będzie.

Sprawiło to radość wielką między panami, a nawet wybór królewicza się podobał, znano go ze szczodrobliwości nadzwyczajnej, z dobroci wielkiej i spodziewano się opanować. A kusili się tam już niektórzy o to z niebardzo czystą myślą.

Pierwszy raz spotykałem oko w oko brata matki mojej, który był tu z dworem książęcym, z liczbą sług ogromną, z kolebkami i w oprawie się królewskim równającami.

Człek był podżyły, dumny ale ludzki, tylko dowodnie w obcowaniu mało kogo sobie równym uważał.

Król się z nim bardzo łaskawie obchodził, on z poszanowaniem, ale bez zbytniej uległości.

Panom polskim, którzy z królem byli, nie okazywał wielkiej serdeczności; można się było domyślać, iż ich za króla i ze starego obyczaju nie lubił.

Ponieważ czas jakiś na Litwie przy królu miał pozostać, a potem wracając majątności swe objechać, tuszylem więc, iż matka moja lub tu, lub gdzieindziej się z nim spotkać może, wiedząc jaka z tego dla niej radość urośnie.

Po opędzeniu wielkiej sprawy, za którą zaraz poszły pomniejsze, bo król urzędy rozdawał i o wojsku na granicy przeciwko Moskwie myśleć musiał, siedzieliśmy jeszcze w Wilnie cały maj, ale przyszły przedwczesne skwary i oznajmiono, że pociągniemy do Grodna.

Dla mnie miejsce to, zamek, bardzo smutne wspomnienia z sobą niosły, bośmy tu stracili błogosławionego młodzieńca Kaźmirza, a obraz jego w trumnie złożonego wśród zieleni i wieńców, jeszcze mi stał przed oczyma.

Na wiosnę pobyt w Grodnie na zamku znośnym był, innego czasu niewygodny dla króla, a cóż dopiero dla nas.

Od samego z Wilna wyjazdu nie wiodło się nam dziwnie. Konie padały, ludzie chorowali, łamały się wozy, gubiliśmy drogę, król dąsał się i gniewał. Zaledwie jedną biedę przetrwali, druga w tąż nadchodziła. Uważałem, że i pan Jakób z Zalesia był zasepiony i nie rad ze stanu zdrowia królewskiego, któremu próżno dobierano różne jado. Albo go jeść nie mógł, lub mu szkodziło.

Nawykły do myśliwskiego życia bez wielkich wykwintów, kiedy nieraz po chłopskich chatach jajecznie ze słoniną i kaszą ze skwarkami, albo kluski z mlekiem jadał wcale nie przykrząc sobie, król utrzymywał, że do wszystkiego był przyzwyczajony i naturze jego nie szkodzić nie mogło.

Dojeżdżając do Grodna, gdyśmy go wszyscy znudzonym bardzo widzieli, a nogi na koniu zwieszone coraz mocniej brzękły, chciał doktor Jakób namówić go, aby

do kolebki siadł, która zawsze na wszelki wypadek szła za nami, ale się na to oburzył i zburezał go.

— Cóż ty mnie za tak zgrzybiałego starca masz? — odparł. Przypomnij lata ojca mojego? Ja też naturę jego odziedziczyłem, pieścić się nie chcę. Lekarzem jesteś, więc wiedzieć to musisz, iż gdy człowiek pod piecem siedzie a zgnuśnieje, sił pozbywa.

— Miłościwy panie — rzekł pokornie pan Jakób — prawdą to jest, ale kto się niezdrowym czuje, powinien być ostrożnym.

Jechaliśmy tak do Grodna z orszakiem wielkim, bo Litwinów siła przeprowadzało: Gastold, Tabor, Zabrzeziński, Gliński i wielu innych. W drodze ciągle o Moskwie i o wojnie, a o gotowaniu się do niej rozprawiano.

Postrzegłem to ja, com go dawno znał, że pospolicie mileżący, albo krótko odprawiający każdą rzecz, mówili teraz więcej niż zwykle, i tak jakoś jakby nie po dobrej woli, ale z utrapienia i gorączki.

Ostatniego dnia, gdym, jak zawsze, jechał tuż za królem, wioząc to, czego mógł potrzebować, że się mnie, jako niemego sługi wcale nie strzeżono, a Kaźmirz otwarcie mawiał wszystko, wiedząc, że we mnie wpadnie to jak kamień w studnię, pochwyciłem mowę jego do Gastolda, który przy boku pana był.

— Zgorzkło mi życie, wierzą — rzekł do niego. — Nie wiodło mi się w niem, a to com zdobył, mogę powiedzieć, że krwią, potem i żółcią okupiłem... Patrzajże z tą Wołoszą, z Krzyżaki, z Tatary, teraz z Moskwą drzeć się muszę ciągle, chwili spoczynku nie mam. Chcę dla wszystkich dobra, czynię je a nieprzyjaciół sobie jednam. W Litwie krzyczą, że się Polakom zaprzedał.

— Miłościwy panie — chciał przerwać Gastold, ale mu król mówić nie dał.

— Ale tak jest, a w Polsce mnie Litwinem zwa i łają. Pan Bóg dał rodzinę, patrzajże... Kaźmirza mi w kwiecie wieku wziął, a z Władysława nietylko pociechy

nie mam, ale zgryzotę. Niewdzięczny, tak, że wyrzec się go będę musiał. Gdyby nie on, Olbracht by był posiadł królestwo węgierskie, byłbym mój skarbiec osobisty do dna wymiótł, aby go wprowadzić do Budy. Tymczasem ten, który za moje pieniądze ma koronę czeską, wyrывa mi Węgry. Olbracht też nie odpowiedział moim nadziejom. Zabrakło mu wytrwałości... potłukli go raz, zraził się i bez mej wiedzy rzekł... za kawałek Szlązka. Struł mnie tem! — dodał — zabił! Marzyłem o połączeniu Węgier, Czech, Wołoszy, Polski i Litwy, a potem runęli byśmy na pogan.

Król nagle głos zniżył, westchnął i urwał.

Gastold starał się go pocieszać, a już mu nie odpowiadając zatopił się w myślach.

W Grodnie mieliśmy na łowy jechać po dwóch dniach odpoczynku, wszystko było gotowe. Król sobie psy ulubione kazał przyprowadzać, patrząc jak drogę odbyły, ale do polowania nie przyszło.

Apetyt stracił, boleści dostał, a Jakób z Zalesia tak był niespokojny, iż po lekarzy do Krakowa gotów był ślać, gdy myśmy jeszcze w tem ani nie tak niebezpiecznego, ani szczególnego nie upatrywali. Chorował na żołądek.

Dawano wina różne przyprawne i korzenne, nie strzymywały. Niecierpliwił się mocno, doktora fukał, sam na siebie się gniewał — słabł w oczach.

W tym stanie zdrowia i zgryzoty wszystkie czuł mocniej, nie rozchmurzył się na chwilę. Nocami sypiałem przy nim. Słyszałem mruczącego coś przez sen, a może i na jawie, rzucał się niespokojnie. Pragnienie miał, a to co pił, choć doktor sam gotował, szkodziło.

Jednego dnia obległ z wieczora wcześniej niż zwykle, a nazajutrz rano nogi miał tak opuchłe, że wstać nie mógł. Chciał, wedle obyczaju, do łaźni, pan Jakób nie dozwalał.

Wdała się gorączka, a choróbko rosło przez nie-

cierpliwość jego, bo nie zwykł był ani chorować, ani leżeć.

Jakób z Zalesia chodził ręce łamiąc. Co było w aptece podróźnej ziół, medykamentów, drjakwi, balsamów, próbował wszystkiego, nie skutkowało nic.

Gdyśmy tak biedowali, zrana przyszedł Zabrzeziński, a król, zwykle milezący, skarżyć mu się zaczął okrutnie, że tu już medyk głowę stracił i na żołądek nawet poradzić mu nie umie.

Zabrzeziński, chłop jak dąb, który pono w życiu swem nigdy z medykami i medycyną do czynienia nie miał, począł na tych mądraków wygadywać, iż więcej udają niż umieją, a lud prosty i lada stara baba często ujmie jak ręką taką chorobę, której oni nie wiedzą jak radzić.

— U nas tu — dodał — miłościwy królu, jest też prosty człek, braciszek Bernardyn Symon, który często cudów dokazuje, a lada czem leczy. Ugotuje garść ziela, posmaruje tłustością i jak ręką odjął.

— A to dajcież mi go! dajcie! — przerwał król — zlitujcie się. Jakób mój głowę stracił, na miłość Boga! a prędko... klasztorowi i jemu zawdzięczę.

Posłał zaraz po Symona Zabrzeziński, ale mnich gdy się dowiedział, że go do króla wziąć chciano, przełakł się i schował.

— Niech Bóg uchowa, abym ja nieuk miał pana mojego leczyć — wołał.

Zaczął mu dowodzić, że Jakób z Zalesia sam już nie wie co czynić, opisano chorobę, naostatek opierającego się pod wieczór, drżącego i przestraszonego, niemal gwałtem na zamek ściągnięto.

Popatrzywszy nań, jakoś mało otuchy nabrałem; opasły, zdrów, czerwony, wyglądał jak parobek, i w oczach mu nie świeciło nic. Leczyć mu było może lud prosty, ale nie pana naszego.

Kazał zaraz, zamiast innej strawy, grubego razo-

wego chleba przynieść i gruszki gotować. Gruszek zaś dojrzałych w początku czerwca u nas nie dostać, krom lichych, robaczkliwych i małych.

Leku zresztą nie dał żadnego, oprócz tego chleba ościstego i gruszek.

Zobaczywszy to pan Jakób osłupiał, bo na słaby żołądek króla była to strawa ciężka i zbójcka.

Ale mnich Symon uśmiechał się i stał przy swoim.

Nazajutrz po gruszkach i chlebie pogorszyło się znacznie, Bernardyn trwał przy tem, że to przejdzie, a dobrym znakiem jest, iż skutkuje medycyna.

Trzeciego dnia spotykam u drzwi pana Jakóba z rękami załamanymi, oczy utopił w ziemię i płacze.

Schwyciłem go za rękę.

— Co wam?

— Co? z królem nie ma już ratunku! — odparł — nie powiadam ja, żeby go chleb ten i gruszki głupie ubiły, bo i wprzód było źle, ale teraz wyjścia nie ma... Umrzeć musi!

Mnie, com ani przypuszczał, ażeby się to mogło tak skończyć, znając dobre zdrowie i siły pana, strach i boleść ogarnęły takie, żem szlochać zaczął.

— Możeż to być? niemaż sposobu...

— Nie ma — rzekł doktor. — Nogi coraz więcej puchną; gorączka wielka... z każdą godziną gorzej.

Wiadomość ta, której nie taił przed nikim doktor, w gnieniu oka się rozbiegła po dworze całym i niepokój wzbudziła niezmierny.

Jedni do Krakowa ślać chcieli, drudzy do Wilna, do synów, do królowej, aby przybywali.

— Ale to daremna rzecz — odezwał się doktor — bo go nie zastaną. Godziny policzone, nie wiele ich już jest.

Gastold pierwszy odezwał się z tem, że jeśli nie-szczęście tak wielkie i nagłe zagrażało, pierwszemu królowi o tem należało powiedzieć, bo mógł mieć takie roz-

kazy i wolą do pozostawienia, które królestwu i spokojowi duszy jego potrzebne są.

Dnia tego Kaźmirz już ani chleba, ani gruszek tknąć nie mógł, a biedny Bernardyn zniknął. Zabrzeziński siebie i jego przeklinał.

Wieczorem gorączka się wzmogła.

— Doktorze — zapytałem pana Jakóba — jak długo król żyć może?

— Alboż ja wiem? — odparł — trochę dłużej lub krócej męczyć się może, wedle siły; tylko to pewna, że już z łoża tego nie powstanie!

W nocy oprócz innych i ja czuwałem przy nim. Cierpiał mocno, lecz w tej ostatniej godzinie, dziwna a osobliwa rzecz, jak gdyby miał przeczucie nieodwołalnego końca, uspokoił się i odzyskał tę wielką władzę nad sobą, jaką miał w życiu całym.

Wychudła twarz jego nawet nie zdradzała boleści. Sen miał niespokojny, pragnienie; dawaliśmy wodę przygotowaną z chlebem i odrobiną wina.

Nadedniem, a u nas w tej porze roku wiadomo jak zawczasu dnieje, król westchnął, otworzył oczy i spojrzał na mnie.

Patrzył długo, jakby mu nie łatwo myśli zebrać było; potem ręką skinął, przystąpiłem do łoża.

— Przyprowadź mi doktora Jakóba — rzekł głosem słabym.

W drugiej izbie drzemał Zaleski o stół oparty, zbudziłem go tem, że król wołał do siebie. Szedł zaraz ze mną.

Miał już chory tak mało siły, iż do ust się kazał przychylić doktorowi.

— Nie ma na śmierć lekarstwa — rzekł cicho. — Czuję że mi bardzo źle, że bodaj ostatnia zbliża się godzina. Nie tajcie tego przedemną.

Zawahał się lekarz.

— Nakazuję, mów prawdę, dzieckiem nie jestem

a życie nie tak słodkie, aby po niem boleć wielce. Chcę wiedzieć, abym i duszy mojej radził i co mam do rozporządzenia dopełnić. Masz jaką nadzieję? — powtórzył na schylonego lekarza.

Pan Jakób milczał nie podnosząc głowy, nie śmiejąc jeszcze ust otworzyć.

Znaczące to było milczenie.

— Mów — dodał król — mów.

— Nie mam żadnej nadziei — odparł lekarz ręce łamiąc — nie mam.

Chwilę król się nie odzywał.

— A więc umrzeć! — dodał spokojnie.

Nie widać było, aby ten wyrok na nim uczynił wrażenie wielkie, snadź się go spodziewał.

Gdy rozedniało więcej, naprzód posłał po kapelana spowiednika. Chciał się na śmierć przygotować.

Zdawało się jakby pewność ta, iż żyć już nie może, uspokajająco wpłynęła na niego. Co chwila kogoś przywoływać kazał, czemś rozporządzał, coś zapomnianego wznawiał, posyłał... niektóre rzeczy, z tych które miał w drodze, rozdawał nam.

Plakaliśmy.

Z kolei Polacy, Litwa, urzędnicy, dwór, ile nas tam było, mieniali się przy łożu. Król to drzemał, jakby znużonym był wielce, to się ożywiał i mówił przytomnie.

Trwało to do wieczora, jam łoża jego nie odstępowałem. Nadeszła prawie noc i siedziałem jeszcze w ciemnym kącie ukryty łyż ocierając, gdy ostrożnie i po cichu wszedł Gastold, przystąpił do łoża króla. Poczawszy go przy sobie, Kaźmirz oczy otworzył.

Patrzałem, jak się Gastold schylił ku niemu i coś szeptać mu począł. Prosić się zdawał.

Żywo poruszył się król, tak, że głowę podniósł... i dał znak przyzwalający, ale z niepokojem jakimś.

Wtem Gastold powróciwszy ku drzwiom, chwilczkę się w progu zatrzymał.

Izba była przyciemniona, parę świec zakrytych paliły się w kacie.

Na progu ukazała się niewiasta zakwefiona cała. Na widok jej, choć twarzy widzieć nie mogłem, dreszcz przebiegł po mnie.

Poznałem ją, albo raczej przeczułem — była to matka moja! Szła, podtrzymywana przez brata, chwiejąc się, z głową pochyloną, aż do łoża samego i przy niem padła na kolana. Król wychudła ku niej rękę wyciągnął i ledwie dosłyszany szept doszedł do uszu moich.

— Przebacz...

Nawojowa, schylona nad ręką tą, jęczała wstrzymując łkanie, mówiła coś, lecz nie już pochwycić nie mogłem. We mnie wszystko kipiało i głowa się zawracała.

Jakim cudem ona tu znaleźć się mogła w tej godzinie, jaką łaską Bożą natchniona przyszła z tem przebaczeniem, którego tak długo serce jej dać nie chciało.

Gdy mi się w oczach ćmiło, jak widziało senne, przesunęła się znowu ta postać i znikła.

Usłyszałem króla słabym wołającym mnie głosem. Pobiegłem do łoża. Nie rzekł nic, tylko pochylonemu na głowie rękę położył, jak gdyby błogosławił. Łzy mu biegły po twarzy, a ja — ja nie wiedziałem, że żyję.

Wtem pan Jakób podszedł do łoża i poprawując nakrycia, przypatrywał się królowi. Dał mu napój chłodzący, radził sen i spoczynek.

A zbudzę ja jeszcze? — spytał Kaźmirz.

Doktór potwierdził to. Usunęliśmy się nieco dalej, król, zdawało się, że drzemać zaczął. Był dziwnie spokojny, oddech tylko żywszy, ciężki nas przestraszał.

Całą tak noc w milczeniuśmy przesiedzieli u łoża, czatując, czy nie zażąda czego, ale spał ciągle, nie poruszał się nawet, oddech zrazu tak przyspieszony zwolniał, ucichł...

Przez okien błony wpadał brzask pięknego dnia czerwcowego... gdy doktor Jakób na palcach się do łoża

zbliżył i, spojrzawszy na bladą twarz króla, zwieszoną dotknął ręki.

Była zimna jak lód — król nie żył.

Tak skończył życie ten męczennik dumny, co się nawet nie skarżył i rzadko gorzki wyraz z ust mu się wyrывał. Śmierć przyszła we śnie, przynosząc z sobą spoczynek.

Nigdy mi może ludzkich serc niekczemność i przywiązania niestałość nie stanęła obrzydliwiej w oczach, jak w tej godzinie.

Pan ten, przed którym wczoraj chodzili wszyscy zgięci i pokorni, oświadczając wielką miłość swą, leżał jeszcze na łożu, gdy już każdy tylko o sobie myślał.

Litwa poruszona niezmiernie, nie o śmierci pana, ale o wyborze nowego namiętnie się naradzała. Znaczniejsza część chciała natychmiast ciągnąć do Wilna, inni po Aleksandra. Panowie polscy też do Krakowa się rwali, jedni do królowej, drudzy do swych przyjaciół, z którymi natychmiast o nowym wyborze radzić pilno im było.

Gdyby nie przyboczna służba i komornicy pańscy, ledwieby było komu pomyśleć o trumnie i pogrzebie.

Wszystkim się w głowach pozawracało, a każdy zdradzał się mimolnie, iż o tem myślał tylko, jak z tej nagłej śmierci skorzysta.

W całym zamku wrzawa, bieganina, nieład, nieposłuszeństwo, tak, że podkomorzy zagrozić musiał, aby ład przywrócić.

Nawet z pogrzebem nie było zgody. Chcieli jedni prowadzić ciało do Wilna, panowie polscy i ci, co z królową trzymali, do Krakowa na Wawel. Inaczej nie powinno było się stać, a pogrzeb mógł też dla rodziny serca otworzyć i dla nieboszczyka miłość obudzić.

Często się ona dopiero rodzi przy trumnie.

Nie miałem czasu prawie do wieczora pomyśleć o tem, że mi też matki szukać należało i widzieć ją, jeżeli przy Gastoldzie, bracie swym, zechce mnie przypuścić.

Niełatwo mi się byle o jej gospodzie dowiedzieć, a że ta w mieście dosyć od zamku daleko położoną była, jechałem konno, Sliziaką naprzód chcąc wyszukać.

Gastolda brata nie zastałem już, śmierć króla zmusiła go co najrychlej do Kijowa pośpieszać i przed kilku godzinami z Grodna wyjechał.

Matkę zastałem we łzach, na klęczkach modlącą się. Gdy wpadł, odwróciła się do mnie, ręce rozpostarła i uścisnęła za szyję chwyciwszy.

Długo łzy słowa jej wyrzec nie dawały. Zaczęła pytać potem o ostatnią godzinę. Opowiedziałem o błogosławieństwie i o spokojnym zgonie we śnie.

— Porzućże teraz dwór — odezwała się — dosłużyłeś mu wiernie do śmierci, nie masz już tam co robić. Jedź ze mną.

Musiłem się tłumaczyć, iż samowolnie odbiedz od ciała nie mogę, bo nam przypada obowiązek odprowadzenia do Krakowa. Nie upierałem się zresztą przy dworskiej służbie dalszej, anim jej żadnym był, chociaż przewidywałem, że Olbracht odpuścić mnie nie zechce.

Wdowa oświadczyła mi na to, że i ona gotową jest ciągnąć za nami do Krakowa, czemu się sprzeciwić musiałem już dlatego, aby serca sobie tem nie psuła, a i dla niewygód podróży przy licznym orszaku, który na gościńcu gospody musiał zajmować i wszystko zjeść, co gdzie dostać było można.

Uprosiłem więc, aby natychmiast, poprzedzając nas udała się do Krakowa. Ledwie się to stało, a jam nazajutrz wyprawił ją z Grodna, gdy wprędce i my pociągnięliśmy powoli z ciałem królewskim.

Wszędzie je duchowieństwo, rycerstwo i lud popolity spotykał, towarzyszyli nam kapłani, żal się zdawał powszechny, lecz niemy był jakiś i serdeczności w nim się nie czuło. Ten sam los, który mu towarzyszył za życia, ścigał go i po śmierci. Żałowano go, bo nim nowy pan miał nastać, kraj był bez rządu i sądu. Trwożyło to

ludzi, ale po dobrym i sprawiedliwym monarsze nie płakał nikt.

Natychmiast po śmierci pańskiej wyprawiono gościów do Krakowa z tą smutną wieścią. Olbracht po powrocie z nieszczęśliwej wyprawy właśnie się tam znajdował.

Na niego oczy wszystkich zwrócone były. Zdawało się najpewniejszym, że nie kto inny tylko on wybranym zostanie.

Litwa tymczasem słała na gwałt po Aleksandra dla siebie, chcąc pośpieszyć z osadzeniem go na stolicy. Głośno się odzywano, że sami sobą rządzić się muszą i na Polskę oglądać nie myślą.

W tem ciągnięciu z marami, gdy się powolnie zbliżamy do stolicy, w dni cztery przed przybyciem do niej Bobrek nadbiegł od Olbrachta z żądaniem do ochmistra dworu, aby mnie odpuścił i natychmiast słał do Krakowa.

Nie było z tem trudności, lecz się zafrasowałem tą łaską pańską, widząc, że ani chce, ni myśli mnie zwolnić ze służby.

Jechaliśmy więc przodem z pośpiechem wielkim. Dopytać mi było trudno poco mnie tam żądano, tom tylko z niego dobył, że choć królowa za Olbrachtem stać będzie, w Krakowie się już wieści rozchodziły, że nie wszyscy go sobie życzą.

Wiedzano o tem dobrze, iż duszą i ciałem oddanym był Kallimachowi, a do Włocha nienawiść rosła ciągle.

— Jaki nauczyciel, taki uczeń! — mówiono — i jedni Aleksandra, drudzy Zygmunta życzyli, a nawet o Piaście mówiono.

Dziwnem mi się to wydawało. Zaledwie przybywszy na Wawel, tak jakem stał musiałem iść do królewicza.

Izba zamkowa, w której przyjmował, pełną była jak nabita, ludzi wszelkiego stanu. W krześle za stołem z dumną miną królował Kallimach niezmiernie czynny.

Olbracht z zarumienioną swą twarzą, w odzieży zaniedbanej, chodził od jednej gromadki swych gości do drugiej.

Przynoszono mu wieści, wychodziły ztąd rozkazy. Choć nie umiał nigdy Olbracht bardzo brać do serca żadnej rzeczy, ani długo się nią frasować, postrzegłem z twarzy jego, iż zaniepokojony był.

Zobaczywszy mnie, pośpieszył do progu.

Pytał naprzód o ojca, o to czy nie mówił co o nim, czy rozkazów jakich komu nie wydał. Rozpowiedziałem o podróży, chorobie i zgonie, dodając że Litwa myśli pośpieszać i Aleksandra pochwycić, a z nim się bodaj odłączyć.

Olbracht słysząc to spojrzał na Kallimacha, który rzekł obojętnie.

— Niech probują, sami się potem do unii prosić będą... Dziś temu zapobiedz trudno... Mamy tu co czynić i pilnować się, aby nam prymas i Krakowianie nie wprowadzili Piasta!

Okazałem zdumienie.

— No, tak! — zawołał Olbracht — przypomnieli sobie dawnych panów, ale tych my nie dopuścimy.

— Gdyby w istocie królowa i wasza miłość skarb i zaciągi mając w ręku dozwoliliście na pochwycenie sobie z misy pieczeni, nie warcibyście byli jej spożywać — odezwał się Kallimach.

Gawiedź, której izba była pełna, a przy której mi na pytania odpowiadać nie miłem było, poczęła się rozchodzić.

Wtem zwrócił się do mnie królewicz.

— Ja ciebie potrzebuję — odezwał się — u ojca skończyłeś służbę, u mnie ją teraz zacząć musisz. Cenię cię dlatego, że milczeć umiesz i tajemnicy dochować. Nie puszczę cię Jazsko... nie puszczę.

— Znajdziesz teraz miłość wasza wielu nademnie lepszych, młodszych i dogodniejszych... chciałbym spocząć.

— Ani myśl — zawołał Olbracht — uczynię ci służbę lekką, nagrodzę sowicie, ale zaufanego mi człowieka i do pióra i z językiem potrzeba. Miałbyś mnie w takiej właśnie chwili opuścić... ledwie nie powiem zdradzić?!

Gdy się ociagał jeszcze z odpowiedzią, dodał:

— Potem się rozmówimy obszerniej... dziś ci to tylko oznajmuję, że nie puszczę, że gwałtem zatrzymam. Ludzi nie mam... zaufać nikomu nie mogę.

Zmilkiałem przyzwalająco.

W tej chwili wsunął się do izby, a raczej wpadł, od progu już żywo coś mówiąc biskup Fryderyk. Przywitał i on mnie ze zwykłą sobie słodyczą ale i z dumą, która go cechowała.

Wszyscy trzej z Kallimachem po cichu się naradzać zaczęli. Chciałem odejść, Olbracht mnie zatrzymał. Któżby uwierzyć mógł, że w takiej chwili, wśród tej żałoby, przy troskach o koronę, szepnął mi, iż chce abym mu do Leny towarzyszył. Spojrzałem nań tak wyraziście i ostro, z takim wyrzutem, iż się zawstydził i w żart to obrócił.

Nazajutrz pobiegłem do matki, która po podróży w łóżku leżała. Musiałem się jej przyznać do tego, że Olbrachtowi oprzeć się nie potrafię przynajmniej dopóty pomagać, dopóki korony nie otrzyma. Żałobą znalazłem okrytą całą kamienicę pod złotym dzwonem. Nie było u nas nikomu wzbronionem po panujących je wdziwać i nosić, owszem wielu z nich tak opłakiwano nietylko kapturami, ale kirem. Izba Nawojowej była nim cała wybita, ona sama w czerni grubej, podobnie służba, kołębki i uprzęże.

Mnie też kazała natychmiast wdziąć kir i nie rzucać go do roku niedzieli sześciu.

Pochwycony tak przez Olbrachta, ledwiem mógł na chwilę zbiedz czasem do matki, tyle do czynienia, pisanie i układania było.

Zaledwie ciało przywieziono do Krakowa, gdy o pogrzebie uroczystym wedle obyczajów i zwyczajów dawnych myśleć było potrzeba. Zachowano przy obrzędzie tym wszystko, co królowi należało, lecz ci co pamiętali i słyszeli o składaniu zwłok dawnych panów utrzymywali, że ani wspaniałości ich, ani liczby towarzyszących, ani jałmużn jak się należało nie było na tym pogrzebie. Umysły zaś tak niespokojne, poburzone wszędzie się okazywały. iż czasu obrzędu nawet więcej mówiono o przyszłym żywym, niż o zmarłym monarsze.

Z testamentu ojca, wydziedziczony Władysław a po nim i Olbracht rad nie był. Najmniej mu z tych stu tysięcy czerwonych złotych, której w skarbcu zostawił, zapisał ojciec, choć on ich teraz najwięcej potrzebował.

Ledwieśmy króla pochowali a zaczęli się wyborem zajmować, który coraz niepewniejszym się wydawał, gdy 29 lipca część miasta spłonęła, co też za niedobry *omen* wytłumaczono.

Ogień się wziął z domu Mikoszy przy Szewskiej bramie, do którego poszedł około św. Anny kościoła i wiele dworów w popiół obrócił. Spaliło się i *Collegium artistarum majus*, na którym tylko co kosztem wielkim zegar był osadzony.

Ze śmiercią króla Kaźmirza skończył się dla mnie trzeci okres życia mojego, ten który o przyszłości człowieka stanowi, bo czego się w nim nie dorobi, tego już nie zdobędzie nigdy.

Nie mogę powiedzieć abym wiele zyskał w nim, chyba tem, że cierpieć dosyć, a wszelkie cierpienie nauką jest. Nauczyłem się też znosić w milczeniu, nie buntować przeciw losowi, ani zbyt wiele dla siebie pragnąć. Z początków moich wróżąc, tego com teraz miał, wcale się spodziewać nie mogłem. Król obdarzył mnie dobrym szmatem ziemi, więcej jeszcze winienem był matce mojej. Teraz więc, gdy się powoli zęby psuć zaczęły, przyszedł chleb, którego nie było czem ukąsić.

Dla mnie samego miałem aż nadto, a straciwszy Luchnę i starzejąc, pary sobie dobrać na starość anim się spodziewał, ani żądał.

Komu to było zostawić? Miałem zamiar wyszukać sobie sierotkę, wziąć ją, usynować i jemu po sobie przekazać spuściznę.

Matka jednak nalegała mocno, abym się żenił, ukazując mi przykłady tych, co w daleko późniejszym wieku szli do ołtarza i szczęśliwi byli.

Nie sprzeciwiając się jej, tymczasem musiałem i ją cokolwiek zaniedbać, i o sobie zapomnieć dla Olbrachta. Miał on gawiedzi przy sobie poddostatkami do kufla i do śmiechów, ale najlepiej to sam rozumiał, że niemi się w niczem posłużyć nie było można. Wszystko więc spadało na mnie. Że mi za to złote góry obiecywano, o tem już nie mówię; gdyby w istocie miał je Olbracht, pewnie by ich nie żałował. Rozrzucał haniebnie, a pochlebcy i błaznowie uwijający się około niego korzystali z tego. Jużem to mówił, lecz od powtórzenia się wstrzymać nie mogłem, jak mąż takiego rozumu, umysłu bystrego i nauki, smakować mógł w nieukach, trefnisiach i najpospolitszej gawiedzi? Dwoisty był, jakom rzekł, podczas mąż poważny i rozumny, a tuż lekki i dziecinny niemal, dla zbytnej krewkości. Lada trafne błazeństwo i lada twarzyczka świeża brały go za miękkie serce. Prawda, że też z wyjątkiem niewielu, stale się do niczego nie przywiązywał.

Ponieważ pieniędzy ze skarbcza prywatnego króla nieboszczyka na gwałt było potrzeba, zaraz testament otworzono i co przy nim było dopisków różnych, gdyż król o nim ze sług swych nie zapominał. Jam się już niczego nie spodziewał, bom był obdarowany za życia, jednakże okazało się, iż z szat, koni, siadzeń i zbroi, i mnie się coś dostało, a najprzedniejsza była szuba kunami podbita, jedwabiem kryta, którą król sam nosił, ale

nie więcej jak parę razy. Koni też ze stajni dziełnych mi się para dostała.

O innych nie zapomniał Kaźmirz także. Jednemu Władysławowi czeskiemu na zawinięcie palca nie dał nic, a nawet wzmianki o nim nie uczynił w testamencie, jakby go na świecie nie było. Aleksandra, Zygmunta i Fryderyka części były znaczniejsze, Olbrachtowa szczupła bardzo, czy dla rozrzutności jego, czy może iż na tron wstępując mniej potrzebował. Lecz teraz dopiero po śmierci króla okazało się, czego nikt na świecie przewidywać nie mógł, że wybór Olbrachta był bardzo wątpliwy. Obyczajem dawnym należało mu po ojcu na tron wstąpić, ale z rycerstwa jedni twierdzili, że im w królewskiej rodzinie wybór był pozostawiony, na co przykłady z kronik ciągnęli, a drudzy dalej idąc żądali Piasta.

Znaczyło to, przy wyborze na Litwie Aleksandra, o który się starano w Wilnie, zerwanie z nią zupełne i jakby wygnanie Jagiełłów na ich dawne dziedzictwo.

A chociaż nie wydawano się z tem głośno, wiadomem było, że arcybiskup gnieźnieński Zbigniew z Oleśnicy tak samo jak stryj jego kardynał za Piastem ciągnął. Dochodziły już do Krakowa wieści, że na zjazd wielki, na którym króla miano okrzyknąć, jeden z książąt mazowieckich w tysiąc koni się gotował i miał za sobą spory lik drobnej szlachty, kilku biskupów swych, a co najgorzej arcybiskupa, który choć chory już był i ciężko się poruszał, miał wpływ wielki i ludzi swych czynnych.

Królowa matka, która w początkach wierzyć nawet nie chciała, aby po długiem panowaniu męża jej, a więcej niż stuletniem rodu Jagiełłów, mogli Polacy pomyśleć o nowej dynastyi, przekonawszy się, że w istocie na to się zanosilo, a wiedząc, że Olbracht lekceważył sobie niebezpieczeństwo, z niezmierną energią wzięła się do dzieła.

Zawołała do siebie Kallimacha, skupiła wszystkich przyjaciół nieboszczyka, ściągnęła co mogła pieniądze

i nie spoczęła teraz ani na chwilę. Olbracht zaś widząc, że go matka tak dobrze wyręczy, tem mniej dbał i sam się zajmował wyborem swoim.

Zdawał się być albo tak swego pewien lub mało sobie ważyć będzie-li królem czy nie, iż często słuchać nie chciał najważniejszej wiadomości, a gdy tylko mógł do Leny uciekał i tam się zabawiał.

Z tego com ja między ludźmi mógł się dowiedzieć, co i w mieście powtarzano i ziemianie przywozili, widać było, że głównie Olbrachtowi Kallimach szkodził.

Niecierpiano go jako nieprzyjaciela rycerstwa i możnych, za nieboszczyka króla, kiedy się aż na życie jego targnąć chciano — teraz zaś, wiedząc że duszą i ciałem Olbracht mu był oddany, obu teraz pozbyć się usiłowano.

Ponieważ przed zjazdem wieści krążyły tak różne a mętne, iż z nich mało prawdy wyrozumieć było można, Olbracht mnie razem z Bobrkiem w świat wyprawił, byśmy mu języka przywieźli jak rzeczy stały.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Muzeum
JIK
297

